

WYJĄTKOWY PREZENT – ODBŁASKI OD



**BYLIŚMY W SMOLEŃSKU I POLECIELIŚMY ŚCIEŻKĄ TUPOLEWA:
PRZECZYTAJ W „SIECI”, OBEJRZYJ W PONIEDZIAŁEK W TELEWIZJI WPOLSCIE.PL**

SIECI

SIECI

**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

Nr 37 (302) 2018

10–16 września

CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

DANIEL OBAJTEK

W MOCNYM WYWIADZIE

WIELKIE KŁAMSTWO PLATFORMY

**„LUDZIE, KTÓRZY CAŁE LATA POZWALALI
NA ROZGRABIANIE MAJĄTKU NARODOWEGO,
DZIŚ DRUKUJĄ PLAKATY, ŻE »PiS WZIĄŁ MILIONY«.
TYMCZASEM PiS TO ZŁODZIEJSTWO ZATRZYMAŁ.
WYJĄTKOWA BEZCZELNOŚĆ”
– MÓWI NAM PREZES PKN ORLEN**

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694



9 772544 269809



TELEWIZJA

W POLSCE PL

Pilnujemy **Polski!**

OGLĄDAJ NAS CODZIENNIE

**TERAZ
JESTEŚMY
TAKŻE W**



NA POZYCJI

339

dekoder
Mediabox

121

dekodery
KAON
i Horizon

oraz w internecie:

► www.wPolsce.pl

► www.wPolityce.pl

Abordaż i rebelia

Anonimowy wysoki urzędnik federalny pisze list do „New York Timesa”, w którym przedstawia się jako członek nieoficjalnego ruchu oporu pracowników administracji, skierowanego przeciw urzędującemu – legalnie wybranemu – prezydentowi. Inny wysoki urzędnik, jeśli wierzyć dziennikarzowi Bobowi Woodwardowi, kradnie z biurka Trumpa projekt prezydenckiej dyrektywy, bo po prostu... uważa ją za niesłuszną. Sekretarz zasobów wewnętrznych Ryan Zinke mówi na zebraniu rady ministerstwa, że ok. 30 proc. jego urzędników jest niełojalnych, a sytuację swoją i swej ekipy porównuje do sytuacji desantu, który abordażem zdobył wrogi statek na pełnym morzu. W odpowiedzi część urzędników zaczyna nosić T-shirty z napisem „30-procentowo niełojalny”.

Przypomina to coś państwu?

Tak jest, Ameryka i Polska zaczynają dziś wyglądać podobnie. I tu, i tu mamy do czynienia z rebelią dotychczasowego establishmentu, który nie chce się pogodzić z tym, że władzę przejęli ludzie przez ów establishment pogardzani. I tu, i tu nowi rządzący odczuwają głęboką nieufność – by nie rzec wrogość – do podległego im aparatu; mają tendencję do traktowania go jako przeciwnika. Dodajmy, że często jest to przesada, ale też często reakcja w pełni racjonalna.

Łatwo byłoby skończyć wezwaniem do kompromisu. Ale obawiam się, że i w Ameryce, i w Polsce jest na to za późno. 

Piotr Skwirciński

Marsz jedności 11 listopada

Podczas uroczystości na Westerplatte premier Mateusz Morawiecki wystosował niezwykle ważną odezwę. Jej przesłanie: „Pójdźmy razem w jednym Marszu Niepodległości”. Nareszcie ktoś zadeklarował publicznie to, na co czekało wielu obywateli.

Marsze 11 listopada wzbudzały zawsze dużo emocji. Ten najbardziej liczny wyruszający w Warszawie z ronda Dmowskiego był wielokrotnie obiektem prowokacji, a w ubiegłym roku szkalowano jego uczestników, rozgłaszając na cały świat, że przeszło 60 tys. faszystów. Ten rok jest wyjątkowy. Narodowe Święto Niepodległości ma niezwykle, rocznicowy wymiar. Mija sto lat od chwili, gdy Polska została wskrzeszona po 123 latach zaborów. Naszym obowiązkiem jest uczczenie tego dnia w sposób godny i podniosły. Zapomnijmy na ten jeden dzień o codziennych animozjach, o ideologicznych swarach, o polityczno-swiatopoglądowych utarczkach.

Pójdźmy w jednym wielkim marszu przez Warszawę. Pokażmy światu, że nie tak łatwo nas dzielić. Jesteśmy to winni tym, którzy sto lat temu przynieśli nam wolność, ale też do brze by było, żeby następne pokolenia nie patrzyły na nas jak na niedojrzałych do niepodległej. Radujmy się Polską, bo wielu na nią czekało, a my ją mamy! 

Ryszard Makowski





28

**Smoleński
spektakl Putina**
*Marek Pyza
i Marcin Wiko*



40

**Z Markiem Jakubiakiem
i Irminą Ochenkowską**
*rozmawia
Dorota Łosiewicz*



46

**Rodzina papieża
na Powązkach!**
Milena Kindziuk

NA POZĄTEK

- 6 SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8 TĘCZOWY LIŚCIK**
Krzysztof Feusette
- 12 ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Piotr Skwieciński
- 14 OPOZYCJA NIE LUBI NIEPODLEGŁOŚCI**
Jan Pietrzak
- 16 OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
- 17 KOSMICZNY BŁĄD**
Marta Kaczyńska
- 18 ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY**
Dorota Łosiewicz
- 19 PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort
- 20 FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

- 22 Z DANIELEM OBAJTKIEM**
rozmawia Michał Karnowski

REPORTAŻ Z ROSJI

- 28 SMOLEŃSKI SPEKTAKL PUTINA**
Marek Pyza i Marcin Wiko

KRAJ

- 34 SZALEŃSTWO SCHETYNY**
Stanisław Janecki
- 37 PUNKT DLA PROWOKATORA**
Konrad Kotodziejski
- 40 Z MARKIEM JAKUBIAKIEM
I IRMINĄ OCHENKOWSKĄ**
rozmawia Dorota Łosiewicz
- 44 GORĄCE KRZESŁO W PAŁACU
PREZYDENTA**
Marcin Fijołek
- 46 RODZINA PAPIEŻA NA POWĄZKACH!**
Milena Kindziuk
- 49 Z RAFAŁEM WOSIEM**
rozmawia Piotr Skwieciński

SIECI KULTURY

- 53 POWRÓT TARANTINO**
Łukasz Adamski
- 58 ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba
- 59 LEGENDA OŻYWIONA**
Adam Ciesielski
- 60 CZYTANIE JAKO SPORT
EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski
- 62 POLECA I ODRADZA**
Łukasz Adamski

HISTORIA

- 64 RYSZARD SIWIEC: „USŁYSZCIE
MÓJ KRZYK”**
Grzegorz Majchrzak

OPINIE

- 67 OFIARA ROSYJSKIEGO STRACHU**
Piotr Skwieciński

ŚWIAT

- 70 „LAWENDOWA MAFIA”
I „HOMOHEREZJA”**
Grzegorz Górny
- 72 Z HENRYKIEM M. BRODEREM**
rozmawia Aleksandra Rybińska
- 75 MEDIOLAŃSKI PAKT
PRZECIW MACRONOWI**
Jan Rokita

GOSPODARKA

- 80 O POLSCE W EUROPIE**
Maciej Wośko
- 84 SĄD RATUJE MINISTRA Z PO**
Kajetan Kutnowski

KUCHNIA

- 86 MOJE SMAKI: AGUSTIN EGURROLA**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 87 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

- 88 BEZWSTYD**
Piotr Skwieciński
- 89 DOKOŁA EUROPY**
Krystyna Grzybowska
- 90 TRZECIA WARTOŚĆ**
Wojciech Reszczyński
- 91 FELIETONY**
Witold Gadowski, Lech Makowiecki
- 92 JEDYŃIE SŁUSZNY MOTŁOCH**
Aleksander Nalaskowski
- 93 RYNKOKRACJA**
Wiktor Świetlik
- 94 SKANDAL I NADZIEJA**
Jan Pospieszalski
- 95 FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska
- 96 PISARKA Z LALECZKĄ**
Ryszard Makowski
- 97 WRZEŚNIOWE ELEGIE**
Leszek Długosz
- 98 ANTYPIS OBALA POPRAWNOŚĆ**
Katarzyna i Andrzej Zybortowiczowie

Najnowszy raport „Bezpieczne dziecko 2018” już dostępny na portalu pzu.pl. PZU również w tym roku zdecydował się powtórzyć badania dotyczące bezpieczeństwa dzieci i opublikować je w postaci raportu „Bezpieczne dziecko 2018”. To dokument, który jest istotnym głosem i wartościowym argumentem w dyskusji, jak wspierać rodziców w wychowaniu dzieci w kontekście ich bezpieczeństwa

Raport PZU – „Bezpieczne dziecko 2018”

Jak wskazują wyniki najnowszego raportu PZU „Bezpieczne dziecko 2018”, 91 proc. (84 proc. w 2016 r.) rodziców uważa, że w dzisiejszym świecie na dzieci czyha więcej niebezpieczeństw niż w czasach, gdy sami byli mali. Zdecydowana większość badanych twierdzi, że to mama i tata powinni uczyć dzieci bezpiecznych zachowań.

Jednak aż 8 na 10 rodziców nie czuje się pewnie w tym zakresie i chętnie skorzystałoby z pomocy ekspertów.

CORAZ WIĘCEJ ZAGROŻEŃ

Mimo że większość rodziców zauważa nowe niebezpieczeństwa czyhające na ich dzieci, to jednak działania najmłodszych często pozostają poza kontrolą dorosłych. Przykładem zagrożenia, z którym rodzice nie mieli do czynienia jeszcze kilkanaście lat temu, jest internet i rozwój nowoczesnych technologii. Prawie 80 proc. przedszkolaków ma własny telefon komórkowy lub tablet. Ten odsetek wśród nastolatków jest jeszcze wyższy, sięga aż 97 proc. (93 proc. w 2016).

Dzieci i młodzież bardzo chętnie korzystają z treści zamieszczonych w internecie. Aż 77 proc. przedszkolaków ogląda filmy na YouTube lub innych serwisach (65 proc. w 2016), a 79 proc. nastolatków prowadzi aktywność w serwisach społecznościowych (wzrost o 8 pkt proc. w stosunku do 2016 r.). Jednocześnie tylko 30 proc. rodziców przedszkolaków używa specjalnego oprogramowania umożliwiającego wgląd w działania dzieci w sieci. Dodatkowo im starsze dziecko, tym rza-

dziej rodzice sprawdzają jego aktywność w internecie.

Rozwój współczesnego świata sprawia, że zwiększa się liczba możliwych zagrożeń, na które narażeni są najmłodsi. Dlatego PZU jako lider ubezpieczeń podchodzi do bezpieczeństwa w kompleksowy sposób. Nie tylko edukuje, lecz także realnie pomaga rodzicom dbać o bezpieczeństwo ich dzieci.

W tym roku w ramach akcji „Bezpieczne wakacje z PZU” postanowiliśmy powtórzyć badania dot. bezpieczeństwa i ponownie zapytaliśmy rodziców m.in. o to, jak wspierać ich w opiece swych pociech. Wyniki tych rozmów nie tylko zebraliśmy w raporcie „Bezpieczne dziecko 2018”, lecz wykorzystamy też w przyszłych inicjatywach – mówi Dorota Maciejka, członek zarządu PZU Życie.

PRZYKŁAD IDZIE Z GÓRY

Niezwykle ważną jest właściwa edukacja najmłodszych. Zdecydowana większość (96 proc.) badanych rodziców zgadza się, że to właśnie oni powinni uczyć odpowiednich zachowań. Jednak zauważają, że tempo codziennego życia utrudnia im to zadanie. Mimo iż świadomość rodziców wzrasta, to aż 57 proc. badanych stwierdziło, że obecnie coraz trudniej wygospodarować im czas dla dziecka. Rodzice przyznają, że wolny czas z dzieckiem woleliby spędzić na świeżym powietrzu lub rozwijając zainteresowania i pasje. Na poważne rozmowy na temat bezpieczeństwa nie zostaje więc dużo czasu. Dodatkowo rodzice często nie wiedzą, jak w ciekawy sposób przekazać

swoje doświadczenia, lub nie są zadowoleni ze stanu swojej wiedzy. Dotyczy to np. tak istotnej kwestii jak udzielanie pierwszej pomocy.

54 proc. badanych nie czuje się pewnie w tym zakresie. Poza tym postępowanie rodziców nie zawsze jest wzorcowe nawet w prostych, codziennych czynnościach, np. w ruchu drogowym. W 2016 r. niemal połowa z nich przekraczała dozwoloną prędkość, wioząc dzieckiem autem (dziś już tylko 38 proc.), a co dziewiąty rodzic przechodzi na czerwonym świetle w obecności dziecka.

RODZICE POTRZEBUJĄ WSPARCIA

Raport „Bezpieczne dziecko 2018” wskazuje, że rodzice nie zawsze wiedzą, jak w prawidłowy sposób i we właściwym czasie nauczyć swoje dzieci odpowiednich zachowań w domu, na drodze, na wyjazdach czy w internecie. Dlatego 78 proc. rodziców chciałoby, aby ktoś pomagał ich dzieciom w ciekawy sposób zapoznawać się z zasadami bezpieczeństwa. Odpowiadając na tą potrzebę, PZU od 2015 r. prowadzi program „Niestraszkę” w formie szerokiej platformy edukacyjnej. Dzięki niej dzieci bawiąc się, mogą się także uczyć. Wspólnie z Niestraszkami poznają świat i uczą się o zagrożeniach.

** Raport PZU „Bezpieczne dziecko 2018” powstał na podstawie badania uwzględniającego opinie 1161 rodziców dzieci w wieku 3–15 lat. W dniach 3–8 sierpnia przeprowadzono ankietowe badanie metodą CAWI.*

Sygnalista nadaje

🔊 Kulisy upadku Łapińskiego są dość banalne. Wykończyła go frakcja krakowska Pałacu Prezydenckiego, bardzo zazdrosna o wpływy. Konkretnie poszło o wywiady, których prezydent zaczął udzielać poza plecami swojego rzecznika. Niektóre się ukazały, a inne – te najbardziej szczere, prowadzone w formie towarzyskich pogaduszek – już nie. W każdym razie Łapiński miał dość i rzucił papierami.

🔊 Niektóre udające dobrze poinformowane media twierdzą, że odejście Czerepacha uradowało Nowogrodzką, bo zastąpić ma go Błażej Spychalski, były pracownik centrali i klubu PiS, wieloletni współpracownik Marcina Mastalerka. Nic bardziej mylnego! Na Nowogrodzkiej do Łapy już się bowiem przyzwyczaili. A Spychalskiego nie znoszą serdecznie, i to bardziej niż Mastalerka. Są też ludzie, którzy mają do niego różne żale. Zgodniej już było.

🔊 Nie przypadkiem nie padł do tej sprawy żaden komentarz ze strony lewicowej. Tam dzieją się rzeczy jeszcze bardziej fundamentalne. Pęka w szwach imperium polityczne Barbary Nowackiej o nazwie „Inicjatywa Polska”, co gorsza, pękła także sama Nowacka, poszła do Schetyny i Lubnauer. Nadzieja lewicy dołącza do formacji, która wszelkie wspólnotowe myślenie, także to klasowe, niszczyła i nim gardziła. Chciałoby się jakiejś weselszej puenty, ale niestety, za bardzo nam szkoda tych frajerów, którzy ciągle dają się nabierać „nadziejom lewicy”.

*Z prędkością
Kmicica
pędzącego
podpalić
Wołmontowicze
przeleciała
przez internet
wieść o dymisji
prezydenckiego
rzecznika Krzysztofa
Łapińskiego,
powszechnie zwanego
Czerepachem na
cześć groteskowego
asystenta politycznego
z serialu „Ranczo”. Mało lub
w ogóle nieukrywana radość
sympatyków prawicy i smutek
na Czerskiej i Wiertniczej wydają
się nam warte głębszej analizy,
mogą coś nam o polityce ważnego
powiedzieć. Ale chyba jeszcze nie
czas, by o tym mówić.*

🔊 Taki sam scenariusz przewidujemy u Roberta Biedronia, który tuż po tym, jak dowiedział się z „Sieci”, że żalosnego bilansu jego rządów w Słupsku nie da się dłużej maskować, ogłosił, że ucieka z miasta, nie wystartuje na prezydenta Słupska ponownie, za to spróbuje podbić kraj. Co to znaczy w praktyce, opisała Maja Narbutt w poprzednim wydaniu „Sieci”: „Zwykl przypominać współpracownikom, że oczekuje od nich »efektu wow!«. Nie powinni go więc zanudzać przyziemnymi sprawami, opowiadać o kłopotach mieszkańców, zniszczonych chodnikach czy podupadłej infrastrukturze, tylko przedstawiać wspaniałe, kreatywne pomysły”. Musimy być czujni, bo Polska kolejnej takiej hucpy nie przeżyje.

🔊 Na pewno nie przeżyje lewica. Ważny polityk SLD miał smutną minę: „Świata nie zawojuje, ale z 68 370 głosów może dostać. A tyle dokładnie w 2015 r. zabrakło nam do przekroczenia wyborczego progu”. Przyznajemy – mało przyjemna perspektywa. Cała nadzieja w tym, że Biedroń będzie sobą i szybko pokaże swoje prawdziwe oblicze.

🔊 Opozycji w ogóle nie idzie za specjalnie. **Grzegorz Schetyna** i Katarzyna Lubnauer nawet na Forum Ekonomicznym w Krynicy, nawet na swoim panelu, musieli się zderzyć z okrucieństwem tego świata. Nie jakiś piśmowiec, ale zatroskany o skuteczność opozycji wyborca uderzył straszliwie: „Czy nie uważają państwo, że skoro duża część społeczeństwa uważa tego czło-

wieka [Kaczyńskiego] za charyzmatycznego, to czy żeby z nim wygrać w walce politycznej, potrzebny jest ktoś, kto ma niekwestionowaną charyzmę? Innymi słowy ktoś, kogo słucha się z zapartym tchem, zarówno na poziomie formy, jak i treści?”. Tak – to nie ludzie, to wilki.

🔊 Niestety ani Schetyna, ani Lubnauer, nie odpowiedzieli na to ważne pytanie. Albo udali, że nie rozumieją, albo nie zrozumieli. W zamian zaczęli szydzić z Kaczyńskiego, że niby co z niego za charyzmatyk, skoro osiem razy z rzędu przegrał wybory. Na tym właśnie polega charyzma: prezes przeżył tyle klęsk, a mimo to utrzymał partię i zdobył całą pulę.

🔊 Na tle zestresowanych liderów Koalicji Obywatelskiej zrelaksowany, cieszący się życiem na krynickim deptaku Jan Rokita może być żywym dowodem, że czasami lepiej mądrze przegrać, niż głupio i po trupach wygrywać. Ale i Rokicie rzucają kłody pod nogi. Organizatorzy forum pilnie ściągnęli go na nagle osierocony panel dyskusyjny. Kiedy jednak pan Jan dojechał z Krakowa, spotkały go wyrzuty uczestników debaty. Okazało się, że ktoś pomylił godziny. Uprzedzamy domysły: udawał, że go to nie ruszyło, a nawet podobno rozśmieszyło. Jakoś nie wierzymy.

🔊 Te debaty w Krynicy uchodziły kiedyś za przewidywalne, trochę rytualne. Ale to było dawno i nieprawda. Dziś liberalowie i lewica w każdy, ale to każdy temat wnoszą tak dużą dawkę szaleństwa i nakręcenia ideologicznego, że emocje często skaczą. Na przykład pewna rumuńska pani senator z obozu liberalno-lewicowego, która wygłosiła odważną opinię, iż „ekstremizm” może się wdrzeć do brukselskiego serca Europy, bo w wyborach do Parlamentu Europejskiego obywatele zamierzają beczelnie poprzeć jakieś nowe partie. Przyznajemy, że słuchając tego, poczuliśmy nawet pewną nutę sympatii do postkomunistów rządzących dziś Rumunią.

🔊 Jeden z paneli dotyczył nowego systemu badania rynku telewizyjnego, który buduje Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji. Na fotelach zasiadli przedstawiciele TVP, TVN, Polsatu, reklamodawców i domów mediowych. Panowie ładnie się uśmiechali i zapewniali, że na nowych rozwiązaniach nikt nie straci, choć wszyscy wiedzą, że tracą największe telewizje, zwłaszcza ta z Wiertniczej. Mimo dobrej atmosfery w powietrzu wisiały siekiery, a raczej miliardy. Przecież wystarczyło tak bardzo nie dociskać TVP do ściany, a wszystko zostałoby po staremu.



🔊 Poseł Artur Zawisza podzielił się wrażeniami z forum. „Jak relacjonuje krynicki taksówkarz z 34-letnim stażem: za tej opcji wycichło to forum, bo za Platformy Obywatelskiej to było głośno. Ja pytam: a o co chodzi? Taksówkarz: no ku...y się w nocy wozilo z Sącza i nawet z Zakopanego, bo już naszych brakowało!”. Coś w tym jest, to już inna Krynica. Prezesi tak nie szastają, raczej skąpią, a i sami wolą nie rzucać się w oczy w czasie dobrej zabawy. Nawet Biedronka przestała karmić uczestników, co czyniła przez lata. Całe szczęście, że prezes Obajtek częstował polskimi sokami. To on uratował tę imprezę.

🔊 Medialną sensacją tygodnia była dymisja naczelnego „Faktu” Roberta Felusia, który polecał za wyjątkowo chamski tytuł na temat śmierci syna Leszka Millera. Dymisja najbardziej wstrząsnęła najwierniejszą kadrą niemiecko-szwajcarskiego koncernu. Bo oni naprawdę myśleli, że przelewają krew za standardy, demokrację, pluralizm, że są jak drużyna pierścienia, a niemieccy kierownicy idą z nimi ramię w ramię. A tymczasem Niemcy przy pierwszym potknięciu brutalnie powiedzieli Felusiowi – temu najwierniejszemu z wiernych – precz. Jak żyć po takim wstrząsie poznawczym? Cóż, tak się kończy pogarda dla historii i lekcji, które niesie ona z sobą.

🔊 Media zaczęły się rozpisywać, że **Antoni Macierewicz** może zostać prezesem Najwyższej Izby Kontroli. Na jakiej podstawie, nie bardzo wiadomo. Co na to Prawo i Sprawiedliwość? Europoseł Ryszard Czarnecki takiego scenariusza nie wykluczył, ale dopiero po spełnieniu pewnego warunku: „Minister Antoni Macierewicz musi dokończyć swoją życiową misję – badanie okoliczności tragedii smoleńskiej. Poświęcił temu wiele lat. Jest coraz bliżej celu, ale misja ta potrwa jeszcze przez pewien czas”. Aha, czyli wszystko jasne.

🔊 A **Ryszard Petru** został posłem zawodowym. Czyli trudno mu się utrzymać z biznesu. Dlaczego? Bo prześladuje go rząd. „Prowadząc działalność gospodarczą, spotkałem się z nieprzyjemnościami ze strony różnego rodzaju urzędów skarbowych, CBA itd. Włącznie z firmami, z którymi współpracowałem. Biznes lubi ciszę. W sytuacji, gdy utrudniano życie firmom czy też mnie, doszliśmy do wniosku, że trzeba działalność przerwać” – poskarżył się światu. Ciekawe odkrycie. To biznes zależy od władzy? To władza może niszczyć tych, którzy jej nie pasują? To czasem ktoś przegrywa nie dlatego, że jest słaby? **✓**

Kochany panie Roberto, ostatnia deska ratunku dla wszystkich obrońców tęczy z drutu, piszę do pana, bo tęsknię po tobie. Wiem, że rusza pan teraz cztery litery w Polskę, gdyż szykuje pan nowy „politykal prodżekt” (celowo piszę to po angielsku, bo wiem, jaki ma pan, za przeproszeniem, stosunek do polskiego ciemnogradu). Jakże płynne są ludzkie decyzje, patrz pan – jeszcze niedawno mówiłeś w telewizji, iż w pana przypadku „jak pupa boli, to znaczy, że było dobrze”. A jednak na prezydenckim fotelu w Słupsku pupa, zwłaszcza przy pana horyzontach, boleć musiała – i co? I nie było dobrze. W przeciwnym razie nie porzucałby pan tych 100 tys. słupskich sierot oraz możliwości nieograniczonych wyjazdów zagranicznych. Bo co, jak co, ale pojeździć to pan sobie lubi, prawda?

Nie wiem, czy pan sobie mnie przypomina, pisałem już kiedyś do pana. Z tej strony Walduś (mój partner Hawier śmieje się, że fajne imię, bo, za przeproszeniem, dwuczłonowe: „wal” i „duś”). Prosiłem pana wtedy o książeczkę o homopingwinach, które znalazły jajo i wychowały jak swoje – z dedykacją. A najlepiej dwie, żebyśmy sobie z Hawierem nie wyrwali. Chciałem, żeby pan wpisał te piękne słowa o swoim partnerze, że będzie pan się teraz poświęcał „polityce i pielęgnacji związku”, a „gdy wróci do domu, będzie kolacją, bo Krzysztof świetnie gotuje”. Pełna zazdrość. U nas w kółko parówki, tyle że na kilka sposobów. Zresztą, co ja będę panu tłumaczył, jakie są różnice w egzystencji pary jednopłciowej w stolicy i na prowincji. Bo co my możemy, proszę pana, w tej naszej zapadłej, za przeproszeniem, dziurze, gdzie psy, za przeproszeniem, dupami szczekają, a zakład fryzjerski jest jeden (słownie: jeden)?! Wy z panem Krzysztofem lubicie się np. przelecieć nad Słupskiem szybowcem, jak ostatnio w jego urodziny (widziałem zdjęcia, coś pięknego). U nas to się można co najwyżej po piwo przelecieć, a i to nie po zmroku, bo od brokatu to się Hawier wtedy świeci jak skrzyżowanie na Marszałkowskiej. Ale nie zamierzamy się ukrywać. Kiedyś spróbowaliśmy i od razu nas namierzili – po węzu. Hawier boa zgubił, więc wszyscy wszystko wiedzą.

Jak się pan zapewne domyśla, nigdy bym się tym wszystkim nie ośmielił panu tyłka zawracać, gdyby nie fakt, że pan sam tak dużo i chętnie mówi o tym, co nas boli. Tak wzruszająco pan opowiadał, że chciałby, aby facet z Młodzieży

Tęczowy liścik

KRZYSZTOF FEUSETTE



Wszepolskiej umyć panu plecy mydełkiem, albo że z Jankiem Tomaszewskim kopaliście razem w piłkę na Agrykoli, a teraz będziecie chyba musieli „przerobić jego uprzedzenia w sejmowej saunie”. Uprzedzenia – wiadomo, do czego i kogo. Na marginesie: dobrze, że pan go chociaż uprzedził. Gdyby rzeczywiście udało się panu zatrzymać w saunie człowieka, który zatrzymał Anglię, to

byłoby tak, jakby to pan ją zatrzymał! W Unii na przykład! Już widzę te nagłówki: „Boski Roberto wstrzymuje Brexit!”. W końcu mówi pan o sobie, że jest „nie do zatrzymania”. Zresztą to było widać już wtedy, jak pan policjanta, za przeproszeniem, całkiem dosłownie za palnę złapał. To znaczy policjant tak mówił, a pan na to, że nieprawda, bo za nic pan nie łapał, gdyż mundurowy „nie był w pana typie”. No jaja jak berety.

Książeczki o pingwinkach do dziś nie dostaliśmy, z czego wnoszę, że nadal polityka i pielęgnacja związku pochłaniają pana całkowicie. No i fajnie – jak mówią słowa reklamy. Warto mieć wsparcie drugiej połówki, bo nigdy nie wiadomo, kto jeszcze może w tym kraju zostać Pierwszym Damą, a może i Dalaj Lamą. Świetnie pan zgasił Schetynę, żeby nie płakał, bo przyjdzie pora i na niego, a jak się chce spotkać, to nie ma sprawy. Niech wie herbatnik, z kim się macza. Gole fakty są takie, że on może i uciula te marne dwadzieścia kilka procent, za to na pana zagłosują wszyscy głosujący inaczej! Do tego pracownicy biur podróży i sprzedaży biletów lotniczych, w końcu znają pana lepiej niż słupscy urzędnicy. Wszyscy biegacze z całej Polski, bo biegacz to jest takie bezmyślne stworzenie, że jak zobaczy drugiego biegacza, od razu na niego zagłasuje. Na końcu fryzjerzy, tancerze baletowi, wielu aktorów i modeli, projektanci, prezenterzy plus ci, którzy chcieliby, a się boją.

Inna sprawa, że jak się popatrzy, ilu nas w tych wszystkich paradach równości uczestniczy, to tych ukrywających się chyba zbyt wielu już nie zostało. Fakt pozostaje faktem – sporo głosów ma pan zapewnionych. A teraz jeszcze, jak pan rzucił piłeczkę, że chce odnowić „oblicze tej ziemi”, niczym Jan Paweł II, to i katolicy pójdą za panem wszędzie. No prawie wszędzie. I na pewno nie będą panu mieli za złe, że tak na co dzień to pan z Kościołem walczy jak z zarazą, a krzyże w Słupsku też same się nie ściągnęły, jak, za przeproszeniem, ślipy na płocie.

Szybki dostęp do lekarza

bez skierowania
i kolejki



Wybierz prąd z pakietem medycznym

Zapewnij sobie i swojej rodzinie wsparcie medyczne najwyższej jakości. Zyskaj szybki dostęp do wykwalifikowanych lekarzy (do 24h u lekarza podstawowej opieki oraz do 5 dni roboczych u specjalisty), badań laboratoryjnych, USG i RTG.

Zamów już dziś na energa.pl/nazdrowie



Energa

W ramach Oferty „Energia na zdrowie Premium Rodzinna”, obowiązującej od dnia 10 lipca 2018 do dnia 31 stycznia 2019 r., Klienci, którzy są konsumentami, są przyłączeni do sieci dystrybucyjnych Operatorów Systemów Dystrybucyjnych – Enea Operator Sp. z o.o., ENERGA OPERATOR S.A., PGE Dystrybucja S.A., innogy Stoen Operator Sp. z o.o., Tauron Dystrybucja S.A. (zwanym dalej OSD), korzystają z jednostrefowych grup taryfowych lub dwustrefowych grup taryfowych u swojego OSD i nie korzystają z taryfy antysmogowej (grupa taryfowa G12as u dystrybutora), zawierają Umowę kompleksową ze Sprzedawcą i nie korzystają z liczników przedpłatowych zostaną objęci Pakietem medycznym od dnia wskazanego w umowie, nie wcześniej niż po skutecznym przeprowadzeniu procesu zmiany sprzedawcy. Oferta obowiązuje przez okres 24 miesięcy. Zakres usług medycznych oraz świadczeń wykonywanych przez placówki medyczne jest zróżnicowany w zależności od wybranego Pakietu medycznego. Oferta nie obejmuje opłat za dystrybucję prądu. Szczegóły znajdują się u przedstawicieli ENERGA – OBRÓT SA.

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Opozycja nie lubi niepodległości

Minał odświętny, arcykowski miesiąc Sierpień. Bo to Powstanie, Bitwa Warszawska, „Solidarność”. Przemaszzerowała przez Warszawę defilada w najlepszym miejscu z dotychczasowych, nie po skompromitowanym placu Defilad, nie po urzędowych Alejach Ujazdowskich, ukryta wśród drzew, lecz nadwiślańskim bulwarem, w pełni słonecznego blasku, u podnóża Zamku Królewskiego. Było pięknie.

W stulecie niepodległości możemy być dumni, że tamtą pozabiorową niepodległość sprzed stu lat po trafiliśmy przechować w tajnych skrytkach pamięci, w czasie morderczej wojny z faszyzmem i komunizmem, a wreszcie odzyskać od sowieckich złodziei w paru etapach, ostatecznie w wyborach roku 2015.

Niestety, nie wszystkim mieszkańcom naszego pięknego kraju obecna Polska się podoba. Niemal każdy tydzień jest testem na stan niepodległości Polaków. Wielu ziomali nie ceni tego, że „jesteśmy wreszcie we własnym domu”, jak recytowali stadnie aktorzy z początkiem przemian ustrojowych. Ci sami aktorzy obecnie demonstracyjnie opowiadają, jak nie lubią polskości, wstydzą się mówić po polsku, brzydzą się innymi Polakami. Niesamowite...



Jan
Pietrzak

Opozycja w ogóle odmawia udziału w państwowych uroczystościach. To nie jest dla nich żaden odświętny powód.

Lekce sobie ważą niepodległość. Spokojnie by ją sprzedali za uścisk Timmermansa lub poklepanie z Verhofstadtem Guyem. Respektują dyrektywę Tuska, że polskość to nienormalność. Latają z antypolską histerią po Europie, by się wyżalić i zlorzeczyc na polską demokrację. Niektórzy wprost, jak pani Gersdorf w Karlsruhe, domagają się ingerencji zwanej niegdyś bratnią pomocą. Inni nadają w zagranicznych mediach kłamliwe sensacje.

Problem w tym, że każdy obywatel domagający się zewnętrznej ingerencji jest zwolennikiem ograniczenia naszej suwerenności. Podpowiada wrogom, że Polacy sami nie potrafią się rządzić, że nie potrafią być niepodlegli. A przecież tej dzisiejszej niepodległości nikt nam nie podarował, sami ją zdobyliśmy. Wiarą, pamięcią dawnych bohaterów, miłością do ojczyzny, „Solidarnością”...

Gdyby pokolenie „Solidarności” nie wyrwało Polski z łap komuny, nie byłoby świętowania niepodległości sprzed stu lat.



Fot. Jacek Piotrowski

Z aktorem **Krzysztofem Szczepaniakiem** rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Główna rola na otwarciu sezonu Teatru TV to nie byle co. Do tego taka postać...

Krzysztof Szczepaniak: Z wielką przyjemnością przyjąłem propozycję, tym bardziej że spektakl „Fryderyk” (premiera 10 września w TVP1) skupia się na czasie przez

większość produkcji biograficznych raczej pomijanym lub traktowanym wzmiankowo.

O jakim okresie mówimy?

Czasie zderzenia się młodego, wybitnego, znanego wówczas w całej Warszawie pianisty, złotego dziecka epoki romantyzmu, z ogromną ścianą, bezlitosnym, cynicznym wielogłowym monstrem, jakim była stolica kulturalna świata tamtych czasów – Paryż roku 1931. Miejsce obiecujące złote runo, wieczną chwałę w panteonie najlepszych muzyków Europy, ale tylko nielicznym i w większości tym, którzy zaprzęśli swoją duszę ówczesnym układom i modom.

Z tak plastyczną twarzą i temperamentem zagrać romantycznego kompozytora. To było wyzwanie?

Bez wątpienia. Przede wszystkim dlatego, że zależało mi, by opowiedzieć o człowieku z krwi i kości. Ale mało kto wie, że Chopin był też doskonałym parodystą, z niezwykle umiejętnościami aktorskimi. Im bardziej poznawałem tę postać, głównie na podstawie listów, tym bardziej się orientowałem, że niezwykle wytworność i błogi spokój, który widzimy, patrząc na jego wizerunek namalowany przez Eugène'a Delacroixa, to tylko część jego osoby, niezwykle kompatybilna z tą neurasteniczną, bezlitosną dla siebie samą drugą stroną: człowieka, który przez całe życie najbardziej bał się odrzucenia.

PIELGRZYMKA

DO OJCA PIO

POD PATRONATEM TYGODNIKA
KATOLICKIEGO „NIEDZIELA”

7-16.10.2018 r.

- Asyż – Rzym – Watykan
- Monte Cassino Neapol – Pompeje
- Pietrelcina – San Giovanni Rotondo
- Lanciano – Manoppello – Wenecja

CENA: 2300 zł + 120 euro

www.pielgrzymka.niedziela.pl

REDAKCJA TYGODNIKA KATOLICKIEGO „NIEDZIELA”

ul. 3 Maja 12, 42-200 Częstochowa

tel.: 34 369 43 25 tel. kom.: 506 744 552

TRADE & TRAVEL COMPANY SP. Z O.O. :

ul. Piotrkowska 92, 90-103 Łódź

tel./fax: 42 630 48 66, 42 630 48 68

42 630 48 69, 42 636 98 38, 42 633 06 74

biuro@konsorcjum.com.pl

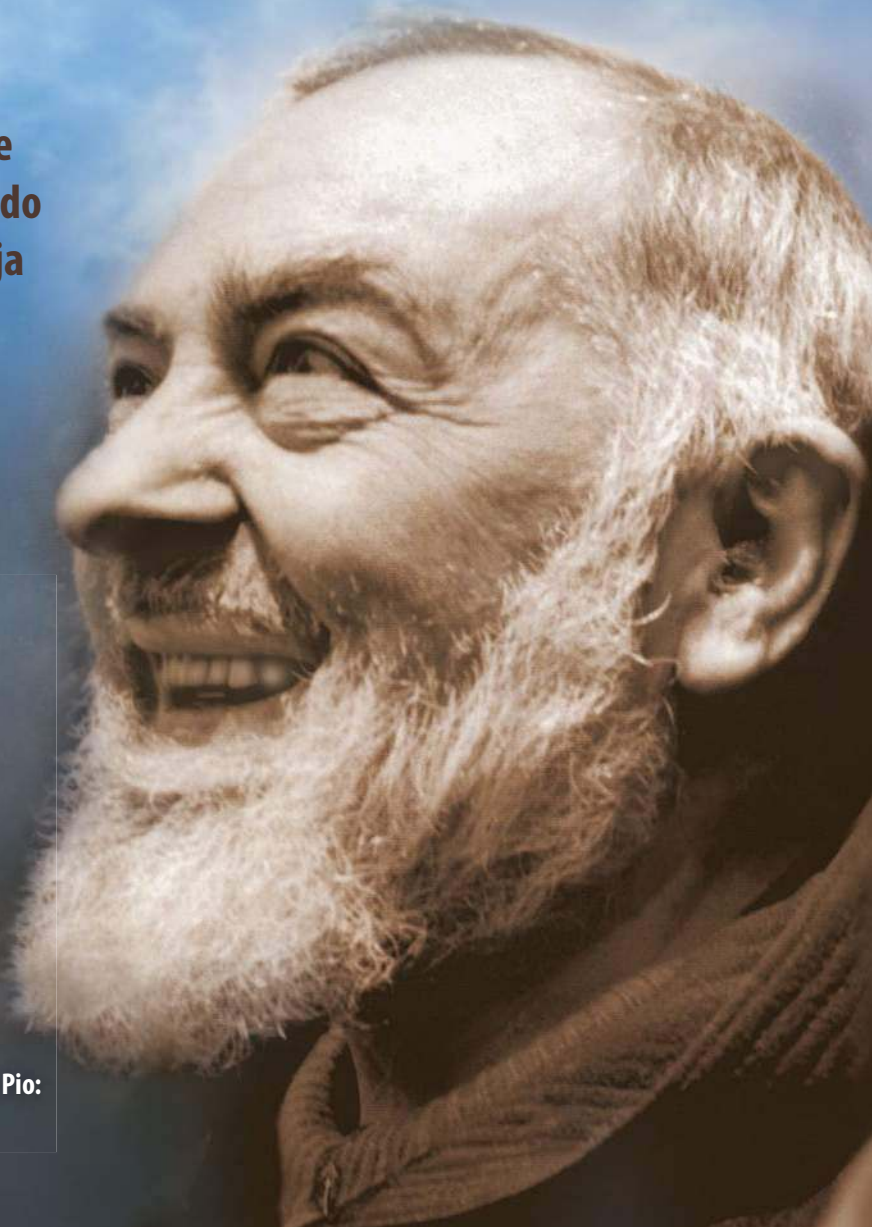
ul. Koszykowa 53, 00-659 Warszawa

tel./fax: 22 622 82 96, 22 622 46 82

biurowaw@konsorcjum.com.pl

Więcej informacji o obchodach Roku Jubileuszowego o. Pio:

www.kapucyni.pl



ORGANIZATOR:



PATRONATY HONOROWE NAD ROKIEM JUBILEUSZOWYM O. PIO:



KONFERENCJA
EPISKOPATU
POLSKI



PATRON:



Musimy być razem, musimy być uczciwi

Jarosław Kaczyński znów ograł totalniaków. Konwencja PiS okazała się tak precyzyjnym uderzeniem, że Koalicja Obywatelska długo musiała zbierać myśli. Prezes PiS przedstawił spójną wizję Polski lokalnej i ani słowem nie wspomniał o PO. Nie tego spodziewali się ludzie Grzegorza Schetyny.

„Ogromnie ważna jest uczciwość. [...] Ogromną wartość naszej pracy dla Polski ma jedność, jedność polskiej prawicy, jedność w działaniu na rzecz Rzeczypospolitej. [...] Idziemy razem, idziemy ku zwycięstwu, idziemy ku Polsce lepszej, dużo lepszej niż tej, która jest dziś. Idziemy ku temu, byśmy za 15–20 lat mogli powiedzieć: w Polsce jest tak samo jak na zachód od naszych granic. To będzie wielkie osiągnięcie w skali 1050 lat naszej ojczyzny, bo nigdy jeszcze tak nie było. Prawo i Sprawiedliwość, Zjednoczona Prawica jest w stanie do tego doprowadzić. Musimy być razem, musimy być uczciwi” – mówił Kaczyński na konwencji.

Co na ten program odpowiedzieć może PO? Trudno oczekiwać, by tandetna akcja billboardowa „PiS zabrał miliony” mogła być dla kogokolwiek wiarygodna. Afera taśmowa, afera autostradowa, afera reprowatyzacyjna, afera stadionowa, afera hazardowa, afera stoczniowa i wiele innych przekrętów, jakich Polacy boleśnie doświadczyli za PO, są w pamięci zbyt świeże. Nie pomoże zaklinanie rzeczywistości przez polityków Koalicji Obywatelskiej, którzy mówić z ożywieniem potrafią jedynie o obaleniu obecnego rządu. PO miała pewność, że wieloletnie zohydowanie Jarosława Kaczyńskiego skutecznie przeformatowało świadomość społeczną. Sądziła, że ośmieszenie lidera PiS wyłączy go z działań i osłabi cały prawicowy obóz. Nie bez przyczyny na antypisowskich billboardach pojawił się zdemoniowany wizerunek Kaczyńskiego. Miało go to wyłączyć z kampanii lub przynajmniej sparaliżować w działaniach. Jednak nawet w czarnym PR Platforma okazała się nieskuteczna.

Jarosław Kaczyński z nową energią stanął na czele Zjednoczonej Prawicy. Posypały się plotki o śmiertelnej chorobie, o przekazaniu władzy następcom, o głębokiej frustracji. Konwencję PiS otworzył silny przywódca, przytomnie rysujący dalekosiężne cele, stawiający na jedność i uczciwość prawicy. Czy sfatygowana PO ma w tym zderzeniu realne szanse? Stare metody przestały działać.

Marzena Nykiel







„Gwiazdy i paski” już nie kręcą

Hollywood zawsze był ważnym ośrodkiem propagandy. To właśnie słynnej fabryce snów Ameryka w dużym stopniu zawdzięcza wizerunek najpotężniejszej demokracji, ojczyzny wszelkich cnót oraz kraju, w którym spełniają się ludzkie marzenia. Rzeczywistość jest oczywiście nieco bardziej skomplikowana, ale nie ulega wątpliwości, że napędzana wielkimi pieniędzmi amerykańska soft power ma ogromną siłę rażenia.

Nic też dziwnego, że wraz ze zmianami społecznymi zachodzącymi w Ameryce od końca lat 60. hollywoodzka propaganda stała się coraz mniej amerykańska, a coraz bardziej internacjonalistyczna. Świadomie używam tu kojarzącego się z lewicą słowa

„internacjonalizm”, bo to właśnie lewica w największym stopniu określa dziś tematykę i przesłanie hollywoodzkich produkcji.

Wkrótce na ekrany wejdzie „First Man”, film opowiadający o Neilu Armstrongu, amerykańskim astronautcie, który przeszedł do historii jako pierwszy człowiek na Księżycu. Myśląc o Armstrongu, wszyscy mamy zapewne przed oczami jego słynne zdjęcie, na którym stoi on na Księżycu obok wetkniętej flagi USA. Okazało się jednak, że twórcy filmu zrezygnowali z tej sceny, uznając najwyraźniej, że amerykańska flaga jest przejawem niedopuszczalnego nacjonalizmu. Jak wyjaśnił odtwórca roli Armstronga kanadyjski aktor Ryan Gosling lot na Księżyc nie

był osiągnięciem Stanów Zjednoczonych, lecz całego rodzaju ludzkiego. „Nie sądzę, aby Armstrong uważał się za amerykańskiego bohatera” – stwierdził aktor. Dlatego amerykańskiej flagi na Księżycu w filmie nie będzie.

Stara, dumna z własnych dokonań Ameryka nie jest już w Hollywood powodem do chwały. Ale promocja Ameryki postępowej i otwartej na mniejszości również napotyka przeszkody. Kilka miesięcy temu wybuchł spór na temat obsady filmu „Rub & Tug”, w którym w główną rolę transseksualisty miała się wcielić Scarlett Johansson. Na wieść o tym wielki raban podniosł środowisko LGBT. Ich zdaniem niedopuszczalne jest, aby role genderowe odgrywali... heteroseksualni aktorzy. Zdaje się jednak, że pod ideologicznym pretekstem (heteroseksualny aktor jest zbyt uwięziony w swojej tożsamości płciowej, aby odegrać rolę transseksualisty) kryją się bardziej przyziemne pobudki. Transseksualna aktorka Tracey Lysette wyjawiała bowiem, że byłaby znacznie mniej wściekła, gdyby dostawała takie same angaże co Johansson.

W rezultacie Johansson zrezygnowała z intratnej roli i możliwej nominacji do nagród filmowych. Najwyraźniej przeszedł czas na zupełnie nowe kino i Oscary dla transpłciowych aktorów.

Konrad Kołodziejski

Po aneksji Krymu w 2014 r. Rosja obdarowała swym obywatelstwem wszystkich mieszkańców półwyspu – za wyjątkiem tych, którzy złożyli pisemną odmowę przyjęcia paszportu Federacji. Ci ostatni pozostali przy obywatelstwie ukraińskim, ale w związku z tym mogą legalnie przebywać na terenie Krymu tylko przez 90 dni – chyba że złożą wniosek o wizę lub prawo stałego pobytu. A z tym są już problemy...

Władzom w Kijowie udało się zebrać 2 425 przypadków osób przymusowo deportowanych z półwyspu za naruszenie reżimu wizowego. Wśród nich oprócz 1 018 Ukraińców są obywatele Gruzji, Azerbejdżanu, Uzbekistanu i innych państw. Wielu urodziło się na Krymie, mieszkało tam od lat, pracowało, a nawet zostawiło majątki i rodziny. W ten sposób okupanci pozbawiają się ukraińskich lub krymsko-tatarskich działaczy, a także osób uznanych za niewygodne dla Moskwy z innych powodów. Kimś takim jest np. obrońca praw człowieka Konstantin Sizariw, który latami procesował się z ukraińskimi władzami na Krymie i chętnie przyjął obywatelstwo rosyj-

Ukraina Masowe deportacje z Krymu

skie, a jednak nie dostał paszportu i został deportowany, pozostawiając na półwyspie żonę i dziecko. Okupanci uznali, że Rosjanin, który zbyt uważnie patrzy rządzącym na ręce, nie jest na półwyspie mile widziany.

W rosyjskim prawodawstwie istnieją dwa rodzaje deportacji: kontrolowane samodzielne i przymusowe. W pierwszym przypadku ludzie dostają pięć dni na opuszczenie kraju, w drugim – są wywożeni do specjalnego miejsca odosobnienia, gdzie przybywają przez pewien czas, nim zostaną usunięci poza granice. Na Krymie nie ma takich miejsc, więc deportowani są od razu wywożeni w głąb Rosji i przetrzymywani niekiedy bardzo długo. Na przykład krymski Tatar Neditim Chaliłow przesiedział półtora roku przed wydaleniem do Uzbekistanu.

Działania okupantów są pogwałceniem konwencji genewskiej. Ukraina uważa je za element kolonizacji swego terytorium i zamierza zaskarżyć Moskwę do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. Sprawa jest więc rozwojowa.

Grzegorz Górny

Czy gdyby Clinton wiedział...

Sztandarowa teza i kremlowskich propagandzistów, i – szerzej – bardzo wielu rosyjskich obserwatorów brzmi: po upadku komunizmu Rosja była przez zwycięską Amerykę upokarzana, oszukiwana (bo nie realizowano danych jej obietnic) oraz konsekwentnie spychana do roli państwa mniejszego znaczenia. Putinizm jest więc logiczną konsekwencją, ripostą na tę sytuację, będącą nie do zniesienia dla dumnego narodu.

Analitycy dostali dziś materiał pozwalający na częściową weryfikację tej tezy. W Ameryce opublikowano bowiem zapisy rozmów telefonicznych, które w latach 90. odbywali Clinton i Jelcyń. Z tego samego materiału zainteresowani nim eksperci rosyjscy i amerykańscy wyciągają jednak diametralnie przeciwne wnioski.

W jakimś sensie i jedni, i drudzy mają rację. Z jednej strony bowiem w stenogramach ze świeczką szukać można jakichkolwiek przejawów manifestowania przez prezydenta USA poczucia wyższości wobec Borysa Nikołajewicza. Odwrotnie – Clinton demonstracyjnie okazuje Jelcynowi szacunek i przyjaźń, a rozmowom, jak to ujął Leonid Bershidsky na portalu Bloomberg, dodają pikanterii żarciki, jakich nie szczędzą sobie obaj utalentowani populiści, którzy najwyraźniej czują się bardzo dobrze w swoim towarzystwie. Co więcej – i co jeszcze

bardziej nie pasuje do tezy o wrednych Jankesach, z satysfakcją wdużających matuszkę Rosję w błoto – większość rozmów odbyła się na prośbę... Clintona, który ewidentnie starał się wciągnąć Jelcyna w ważne decyzje międzynarodowe, choć wcale nie zawsze było to konieczne. Jest to, dodajmy, zgodne z polską pamięcią o tych latach – obserwatorów znad Wisły uderzało wtedy (ale też za rządów George'a Busha młodszego) wychodzenie przez Amerykę Rosji naprzeciw, co zgodnie z naszą narodową skłonnością uważaliśmy wtedy za przejaw nadciągania nowej Jałty.

Z drugiej jednak strony z tych samych stenogramów aż bije bezsilność prezydenta Rosji, a także to, że w kluczowych sprawach (jak rozszerzenie NATO, m.in. o nasz kraj) Clinton nie czuje potrzeby, by ustępować mu kroku. Co nie dziwi w sytuacji, w której Jelcyń niemal cały czas musi prosić swego rozmówcę... o pieniądze. Albo bezpośrednio amerykańskie, albo spowodowanie korzystnej dla Rosji decyzji finansowych instytucji międzynarodowych.

Rozmowy były, oczywiście, tajne, ale ta rzeczywistość była wyczuwalna. Co przynosiło skutki. Gdy premier Primakow, stary kagebista, leciał z wizytą do Waszyngtonu, nad Atlantykiem dotarła do niego wiadomość o amerykańskiej interwencji w Jugosławii, której Rosja była przeciwna i której z nią nie uzgodniono. Kazał demonstracyjnie zawrócić samolot. Liberalna prasa moskiewska krzyknęła jednym głosem: jaki ten Primakow jest nierozsądny, przez jego niedzisiejsze pobrękiwanie szabelką wszyscy stracimy pieniądze, których Amerykanie za karę nam nie dadzą! Ale okazało się, że ratingi popularności rządu... poszły radykalnie w górę. I taki był początek nastrojów, które chwilę później zrodziły Putina.

Ciekawe, czy gdyby Clinton potrafił to przewidzieć, zmieniłby cokolwiek w swojej polityce.

Piotr Skwieciński

Chemnitz, czyli lewicowy maccartyzm

Po trwających ponad tydzień zamieszkach i protestach w Chemnitz premier Saksonii Michael Kretschmer zarzucił niemieckim mediom, że kłamały, donosząc o „wściekłych tłumach, nagonce na imigrantów i pogromach” w tym mieście. „Nic takiego nie miało miejsca” – zaznaczył polityk CDU, zaprzeczając swej szefowej Angeli Merkel, która uparcie utrzymuje, że demonstrujący „prześladowali niewinnych ludzi”, czyli imigrantów.

Jeszcze bardziej sfrustrowani niż Kretschmer są mieszkańcy Chemnitz, a przy okazji całej Saksonii, którzy zostali w środkach przekazu, w tym mediach publicznych, przedstawieni jako „ciemny, ksenofobiczny i rasistowski motłoch”. Niektórzy, jak publicysta tygodnika „Der Spiegel” Jakob Augstein, sugerowali nawet, że należy Saksonię „wyrzucić z Niemiec”.

Narracja o zachodzie Niemiec, do brym, tolerancyjnym i otwartym, oraz ciemnym, ponurym i ksenofobicznym wschodzie ciągnie się przez niemieckie media od chwili powstania Alternatywy dla Niemiec (AfD) i Pegidy. Nic dziwnego więc, że dziennikarze mainstreamowych mediów nie są już we wschodnich landach RFN mile widziani. Korespondenci telewizji, radia i gazet przybyli więc do Chemnitz – jak donosi „Sueddeutsche Zeitung” – w kaskach na głowach i z ochroniarzami.

Narracja, według której problemem są ludzie oburzeni śmiercią Daniela H. z rąk dwóch uchodźców z Iraku i Syrii (to rasistowskie mieć o to pretensje), a nie polityka imigracyjna rządu, jest mimo to uporczywie podtrzymywana. Jak twierdzą ci nieliczni publicyści, którzy zachowali intelektualną niezależność, „niemieckie media i elity polityczne” ogarnął swoisty lewicowy maccartyzm. W konsekwencji oderwały się one od rzeczywistości i zamiast zająć się przyczynami protestów w Chemnitz, walczą z ich skutkami.

Aleksandra Rybińska



OGNIEM NA WPROST

W pogoni za złodziejem



Dni „chwały” posła PO Sławomira Nitrasa przypadły na czas puczu sejmowego 2016/2017, który przeszedł do historii III RP pod nazwą „ciamajdanu”. Wszyscy pamiętamy, jak Nitras biegał wtedy dzień i noc po korytarzach parlamentu nadmiernie pobudzony. Niektórzy podejrzewali, że jak ruski czołg chodzi na każdym paliwie, a w tamtym czasie, jak podejrzewa wielu, musiał „zatankować do baku” coś mocniejszego niż zwykły alkohol. Teraz nadpobudliwy deputowany znowu postanowił dać o sobie znać. Twierdzi wszem wobec, że na ul. Śląskiej w Szczecinie gonił go 13-latek, wykrzykując: „Nitras złodziej!”. Na pytanie Nitrasa: „Dlaczego tak mówisz?” chłopak miał odpowiedzieć, że „wszyscy w Platformie to złodzieje” i że to mu „wujek powiedział, on jest posłem PiS”. Poseł PO się dziwi. Nie wiem czemu. Przecież to chyba jasne, że dzieciak nie dowiedział się tego od Grzegorza Schetyny ani jego partyjnych kolegów. Całkiem rezolutny chłopak trafił w sedno sprawy, czego nie można powiedzieć o dorosłym już pośle. Ale najlepsze jest to, że Nitras najprawdopodobniej sam to wszystko wymyślił.

Krakowski filozof i polityczny klaun w jednej osobie prof. Jan Hartman po raz kolejny wypowiada „prorocze” słowa: „Zbitka katolicko-narodowa staje się coraz bardziej odrażająca dla coraz większej liczby obywateli. System propagandy jest nieszczelny, a młodzież coraz bardziej impregnowana na drętą mowę politruków – zupełnie jak w latach 70. i 80. Kościół jest w sposób oczywisty jego integralną częścią i musi upaść

razem z rządami PiS”. Swoje profetyczne wywody zakończył przypuszczeniem graniczącym z pewnością, że „księża i biskupi przez nową, miłującą Zachód, wolność i demokrację władzę zostaną pociągnięci do odpowiedzialności za liczne swoje »ciemne sprawy«”. Panie Hartman, opamiętaj się pan! Na dziesięć pańskich prognoz do tej pory dziewięć było nietrafionych. Co do ostatniej, to pragnę zauważyć, że chrześcijaństwo, chwalić Boga, liczy sobie ponad 2 000 lat. Zachód przeminie jak Cesarstwo Rzymskie, a Kościół jakoś trwać będzie. Niech się pan o to nie martwi.

W Playa de Palma na Majorce dwaj niemieccy turyści wdali się w dyskurs z Arabem. Jeszcze nie wiadomo, czy był to Libijczyk, czy Marokańczyk. Skończyło się standardowo. W ruch poszedł nóż, który definitywnie rozstrzygnął spór. Jeden z Niemców jest w ciężkim stanie, gdyż został ranny w klatkę piersiową. Drugi oberwał w plecy, ale jego życiu nie zagraża niebezpieczeństwo. Przyjechała policja. Z racji bariery językowej i niemożności porozumienia się z wykrzykującym coś sprawcą funkcjonariusze otworzyli ogień.

Oddano dwa strzały: jeden w powiętrze, a drugi już w nogę. Nie byłoby o czym pisać, gdyż takie sytuacje na zachodzie Europy są już normą, gdyby nie zachowanie przybysza z Południa na komisariacie. Jak donosi gazeta „Cronica Balear”, pierwszą rzeczą, o którą zapytał, było: „Ilu zabiłem?”. Kiedy został poinformowany, że nikogo, odpowiedział: „Fuck”. Zaraz dodał: „Gdybym miał kałasznikowa, liczba zgonów by-

łaby większa niż w Paryżu i Barcelonie”. Jeden przed snem marzy o końcu Kościoła katolickiego i uwięzieniu biskupów, którzy mu nic nie zrobili, a drugi o tym, żeby wytłuc jak najwięcej Europejczyków. Naprawdę czasem dziwny jest ten świat.

RPA od czasu końca apartheidu i podzielenia się władzą z czarnymi obywatelami stacza się coraz niżej. W tym pięknym i bogatym niegdyś kraju dziś szerzy się bandytyzm. Biali mieszkają na strzeżonych osiedlach i ze strachu nie chodzą sami po ulicach. Teraz RPA dopadła recesja gospodarcza. Ten jeden z najzasobniejszych w surowce mineralne krajów świata podupada gospodarczo. Produkt krajowy brutto w jeszcze najbardziej rozwiniętej gospodarce Afryki spadł o 0,7 proc. od kwietnia do czerwca. Rand południowoafrykański poleciał na głowę aż o 2,6 proc. do 15,2 względem dolara. Rentowność obligacji skarbowych denominowanych w randach wzrosła o 22 punkty bazowe do 9,22 proc., najwyższego poziomu od czasu, gdy w grudniu Ramaphosa został wybrany na przywódcę rządzącego Afrykańskiego Kongresu Narodowego (partia czarnej większości). Trwają brutalne działania, które mają na celu wywłaszczenie białych farmerów. W sąsiedniej Rodezji (dziś Zimbabwe) skończyło się to głodem. Murzyni prześlągnięci lewicową ideologią tworzą zestaw wybuchowy, który doprowadził już niejednego afrykański kraj do ruiny. Zawsze kończy się to na Czarnym Lądzie scenariuszem najgorszym z możliwych – głodem.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

Kosmiczny błąd

Polscy studenci od kilku lat regularnie wygrywają międzynarodowe konkursy na konstrukcję łazików marsjańskich. W tym roku studenci z Politechniki Częstochowskiej zwyciężyli w University Rover Challenge, które odbyły się w Stanach Zjednoczonych. Trzecie miejsce zajął pojazd skonstruowany przez studentów Politechniki Świętokrzyskiej, a czwarte urządzenie wyprodukowane przez zespół Raports z Politechniki Łódzkiej. Na ósmym miejscu uplasowała się ekipa z Uniwersytetu Warszawskiego, a w finale wzięli udział także przedstawiciele Politechniki Warszawskiej i uczelni technicznej w Rzeszowie.



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

Mocna polska reprezentacja przyszłych inżynierów w wysoko wyspecjalizowanej dziedzinie techniki świadczy o potencjale, jaki tkwi w naszym młodym pokoleniu w przyspieszającym w ostatnich latach dążeniu do eksploracji kosmosu. Splot okoliczności związanych z trudną sytuacją naukowców w Polsce w ostatnich dziesięcioleciach sprawił, że wielu młodych, zdolnych konstruktorów i specjalistów odnalazło odpowiednie wsparcie na uczelniach i w firmach poza granicami Polski. Traciła na tym nie tylko polska nauka, lecz także gospodarka, która dla zapewnienia sobie konkurencyjności musi stawiać na innowacyjność i – zarówno dosłownie jak i w przenośni – także na kosmiczne rozwiązania.

*Projekt rozporządzenia ministra nauki
i szkolnictwa wyższego o nowym podziale
dyscyplin naukowych nie przewiduje
na swojej liście astronomii*

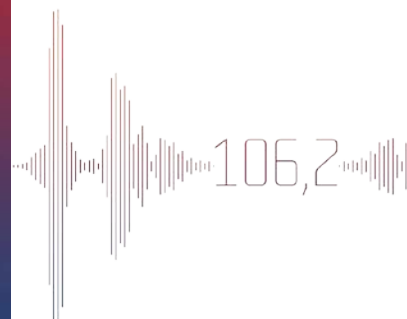
W 2014 r. powołano Polską Agencję Kosmiczną, której celem jest działanie na rzecz budowy polskiego przemysłu kosmicznego poprzez usuwanie barier pomiędzy biznesem a nauką oraz pośrednictwo w pozyskiwaniu funduszy z Europejskiej Agencji Kosmicznej (ESA) dla rodzimych przedsiębiorców. Agencja ma wpływać na rozwój technik satelitarnych, łączności, nawigacji, monitoringu środowiska prognozowania pogody, a także dziedzin związanych z bezpieczeństwem państwa.

Powstanie Polskiej Agencji Kosmicznej można postrzegać jako zwiastun oficjalnych, polskich aspiracji w międzynarodowym wyścigu kosmicznym. W kompilacji z regularnymi sukcesami polskich studentów uczelni technicznych można sądzić, że myślimy systemowo i zamierzamy szerokim frontem podbijać przestrzeń ponadziemską, zwłaszcza że jako rodacy wielkiego astronoma Mikołaja Kopernika powinniśmy być do tego szczególnie predystynowani.

Nauką niezbędną do podejmowania kolejnych pozaziemskich wyzwań jest astronomia, której rozwój powinien być szczególnie ceniony w Polsce właśnie w obliczu kosmicznych ambicji – rodzimych i światowych. Posiada ona wielowiekową tradycję, z polskimi odkryciami o przełomowym znaczeniu dla ludzkości. Międzynarodowe rankingi dowodzą, że krajowi astronomowie są szczególnie cenieni na arenie międzynarodowej (według danych przedstawianych przez Polskie Towarzystwo Astronomiczne poziom cytowań prac polskich naukowców jest o jedną czwartą wyższy niż pozostałych badaczy). Astronomia jest obecnie naszą najmocniejszą dyscypliną naukową.

Tym bardziej zaskakuje informacja o projekcie rozporządzenia ministra nauki i szkolnictwa wyższego o nowym podziale dyscyplin naukowych, który nie przewiduje na swojej liście astronomii. Ten pomysł nijak wpisuje się w systemowe rozwiązania, które zdaje się powinny funkcjonować także pod auspicjami Polskiej Agencji Kosmicznej.

REKLAMA



www.radiowarszawa.com.pl

42/0818/F

Buciki



Po 13 latach amerykańskiej policji udało się odnaleźć czerwone buciki, które nosiła Judy Garland w kultowym filmie „Czarnoksiężnik z Krainy Oz”. Buty skradziono w 2005 r. z muzeum w Minneapolis. Pantofle, które wcielająca się w Dorotkę Judy Garland nosiła podczas kręcenia filmu w 1939 r., były ubezpieczone na milion dolarów. O sprawie informuje TVP Info. Ja rozumiem, że można mieć hopla na punkcie butów, ale żeby aż takiego? 



85,8
tys.

– tyle osób może zostać objętych programem Mama 4+, czyli otrzymać tzw. matczyną emeryturę. Program ma zacząć obowiązywać od stycznia 2019 r.

900
mln zł

– tyle rocznie wyniesie szacunkowy koszt realizacji programu Mama 4+.

17

– tyle nowych tras uruchomi Ryanair w 2019 r. z Polski. Samoloty polecą m.in. do Ammanu, Marsylii czy Bordeaux.



Za trudne

„Z przeprowadzonej w Wielkiej Brytanii ankiety wynika, że prawie połowa dzieci w wieku do 10 lat nie potrafi wiązać sznurowadeł. [...] Badanie wykazało również, że 42 proc. dzieci poniżej 10. roku życia nie potrafi określić czasu, 25 proc. nie potrafi pewnie używać noża i widelca, a 44 proc. nie wie, jak odczytać mapę” – informuje rp.pl. Za to te same dzieci doskonale wiedzą, do czego służy prezerwatywa i jak sobie z nią poradzić. Polski system edukacji wcale nie jest taki zły. 

Dziobiący problem

Rzym ma problem z mewami. Ptaszyska żerują w poszukiwaniu odpadów i dodatkowo zaśmiecają stolicę Włoch, która z czystości i tak raczej nie słynie. Dlatego władze Rzymu wpadły na pomysł, jak rozwiązać ten problem. Chcą zainstalować nowe kosze na śmieci, takie, które będą zabezpieczone przed mewami. Burmistrz Virginia Raggi z Ruchu Pięciu Gwiazd, zabierając głos w tej dyskusji, oświadczyła: „Musimy odzyskać dumę z tego, że jesteśmy rzymianami”. A co, jeśli się okaże, że mewy nie gęsi i sobie z nowym ustrojem poradzą? Od mew chyba Rzym nie upadnie? 



Przyszło nowe

Tego w historii konkursów piękności jeszcze nie było. Kandydatka na miss wystąpi w hidżabie. Chodzi o 20-letnią Sarę Iftekhar, która liczy, że zdobędzie koronę Miss Anglii. Studentka prawa będzie pierwszą uczestniczką, która podczas finału wystąpi w tym arabskim stroju. Właściwie to najsprawiedliwiej byłoby wtedy, gdyby wszystkie uczestniczki konkursów piękności występowały w czadorach, a zwyciężczynię wylaniano by drogą głosowania. Wtedy wszystkie kobiety miałyby równe szanse, a feministki byłyby zachwycone. 



”

Musiałem [...] przejść na posła zawodowego, czyli takiego, który otrzymuje wynagrodzenie – ogłosił Ryszard Petru. I tak narodził się Petru Zawodowiec.

Po chińsku

Jedno z chińskich przedszkoli wpadło na zaskakujący pomysł podczas inauguracji roku przedszkolnego. Dzieci i rodzice mogli obejrzeć pokaz tańca na rurze. Występ zbulwersował rodziców, którzy zaczęli wypisywać dzieci z placówki, uznając, że, owszem, dzieci powinny się w przedszkolu uczyć, ale nie tańca na rurze. Powiało normalnością. 



Fot. Andrzej Wiktor, iStone/Shutterstock.com Shutterstock (r.9), Instagram.com

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

W obliczu śmierci

Pracując w różnych mediach, zawsze pilnowałem jednej zasady: o zmarłym nigdy źle. Prawdopodobnie z tego powodu nie opublikowaliśmy wielu barwnych sylwetek różnych znanych ludzi tuż po ich śmierci. Bo „barwny” musiałoby oznaczać wielowymiarowy, pokazujący dobre i złe strony człowieka. A co zrobić, jeśli osoba zmarła źle się zapisała w pamięci? Jeśli miała na sumieniu czyny, które są trudne do zaakceptowania, niemożliwe do wybaczenia?



**Dominik
Zdort**

Wtedy lepiej nie pisać nic. Czas pierwszych dni żałoby jest w naszej kulturze – i chyba nie tylko w naszej – wyjątkowy. Zdajemy sobie sprawę, że rodzina zmarłego w tych dniach zasługuje na wyjątkową delikatność, na ciepłe słowa, które złagodzą ból – nawet jeśli ów zmarły sam na takie słowa nie zasługiwał. Tuż po śmierci głośno wspominamy tylko to, za co można pochwalić, to, co zasługiwało na sympatię i szacunek. Na pisanie całej prawdy przyjdzie czas niebawem.

Niektórzy uważają, że istnieją wyjątki od tej reguły. Są ludzie, w których obronie naprawdę trudno znaleźć parę dobrych słów: zbrodniarze, mordercy, zdrajcy ojczyzny. Ja i w tym przypadku mam wątpliwości, czy nie lepiej milczeć – nawet obrzydliwi przestępcy zazwyczaj mają bliskich, którzy darzyli ich miłością i którzy przeżywają po ich śmierci ogromny ból. Często owi bliscy nie odpowiadają za zbrodnie zmarłych. Czy dziecko komunistycznego polityka tuż po jego śmierci powinno wysłuchiwać spisu jego win? Czy – nawet jeśli nigdy nie wyparło się ojca i starało się go bronić – zasługuje na dodatkowy ból? Moim zdaniem – nie.

Co więcej, uważam, na szacunek w obliczu śmierci kogoś bliskiego zasługuje także człowiek, którego nie lubimy, nie cenimy, który w historii naszej ojczyzny nie zapisał się najlepiej. Myślę o sytuacji odwrotnej niż opisana powyżej. Jeśli umrze dziecko komunistycznego polityka, to kultura, w której się wychowaliśmy, zobowiązuje nas do jak największej wrażliwości, bo w obliczu śmierci wszyscy są równi.

Oczywiście nie wolno nam zapominać, że ów polityk był kiedyś de facto funkcjonariuszem obcego państwa, że realizował politykę wyznaczaną w Moskwie, że uczynił Polsce wiele krzywd. Możemy pamiętać mu zdradę, nawet wykluczać go z polskiej narodowej wspólnoty. Ale ten, kto nie ma szacunku dla innego człowieka w obliczu tragicznej śmierci jego syna, sam się wyklucza z naszej – rzymskiej, chrześcijańskiej – wspólnoty kulturowej. 

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

RZECZY POSPOLITE

Rękoczynny

Spolickowanie „Rudej z KOD-u” przez Dominikę Arendt-Wittchen odbiło się echem o wiele większym niż zwykle echo, które rozlega się zawsze, gdy ktoś zostanie uderzony w twarz. Rozgłos zapewniło sfilmowanie owego zdarzenia. Oczywiście pozbawione kontekstu – nie widać na nim ani weteranów, ani nie słychać, w jaki sposób wrzaski „Rudej” zakłócały nastrój całkiem niepolitycznej przecież uroczystości. Nie widać też tego wszystkiego, co „Ruda” robiła wcześniej (i robi zresztą nadal) – wielkiego festiwalu tępej agresji, krzyków czy popychania starszych ludzi. Jej zachowania na marszach KOD są taką kwintesencją agresji. Dlatego, oczywiście, cały ten kontekst jest ważny, ale... No właśnie...

Niestety jest jedno „ale”. To „ale” dotyczy kwestii sprawowania urzędu. Otóż „bycie na urzędzie” państwowym zobowiązuje do kontrolowania własnych, choćby nie wiem jak uzasadnionych z punktu widzenia emocjonalnego czy dotyczących wyznawanych wartości, reakcji. To właśnie ta kwe-



**Tomasz
Łysiak**

stia wyznacza granicę, która została przekroczona. Z tego względu dobrze się stało, że pani Dominika (osoba o szlachetnych pobudkach i działająca od lat w środowiskach patriotycznych) złożyła rezygnację z urzędu. Co nie oznacza, że należy złożyć rezygnację z poglądów czy też rezygnację z wyrażania oburzenia na skandaliczne zachowania szaleńców i chamów z obozu tzw. opozycji. Tyle że nie należy tego robić przez rękoczynny.

Popisy tego „oboju” stały się już codziennością, wylewającą się zresztą poza Polskę. Wystarczy obejrzeć nagrania z wystąpienia europosła Dobromira Sośnierz w Parlamencie Europejskim, przerwane na koniec dzikim wrzaskiem opozycji skandującej „Konstytucja!”, żeby zrozumieć, na czym rzecz polega. Oto wobec braku kontrargumentów nie prowadzi się już żadnej dyskusji, tylko sięga po pałkę wrzasku. Pałkę owiniętą napisem „Konstytucja”. Wtedy są „mniejsze ślady”. Kiedyś ZOMO owijały pałki np. koszulą, żeby nie było sinia-ków. To są takie metody.

Wyścig szczurów

„O jciec wybrał politykę, syn sznur” – brzmiał tytuł cover story w „Fuckcie”, pardon, „Fakcie” – polskojęzycznym tabloidzie spółki Ringier Axel Springer, wydającej w naszym kraju także polskojęzyczny tygodnik „Newsweek”. Tym ostatnim dowodzi Tomasz Lis, tym pierwszym do ubiegłego tygodnia Robert Feluś, który odszedł właśnie po publikacji o śmierci syna ekspremiera i byłego szefa SLD Leszka Millera. Zrezygnował czy poproszono go o rezygnację... – nieważne, był Feluś, nie ma Felusia, Lis jest. Po tym, co naczelny „Newsweeka” wydziela z siebie publicznie na portalach społecznościowych i w kierowanym przez siebie periodyku, dawno powinien zniknąć, ale trwa i „trwać mać”. Widać, dobrze wykonuje powierzone mu zadanie i pracodawcom jest przydatny.

Z jednej strony tragedia rodzinna, z drugiej dramat w ogólnospołecznym wymiarze – destrukcji na własne życie. Nie znam poważnego kraju w Europie, który pozwoliłby kształtować opinię publiczną, czytając: odmóżdzać swych obywateli, obcym udziałowcom. Bo, że znajdą się kreatury gotowe do świadczenia takich usług – to jasne. Ale mamy i rodzimych wydawców, jak tajemnicza spółka HGA Media, do której należy m.in. portal Pikio.pl – nie austriacki,

nie kreolski, ale ze stuprocentowym polskim kapitałem. Takie informacje można znaleźć w internecie. I ponoć jest to dziś jeden z głównych portali, z których miliony internautów czerpią informacje. Jakież? Takie jak na przykład o Marcie Kaczyńskiej.

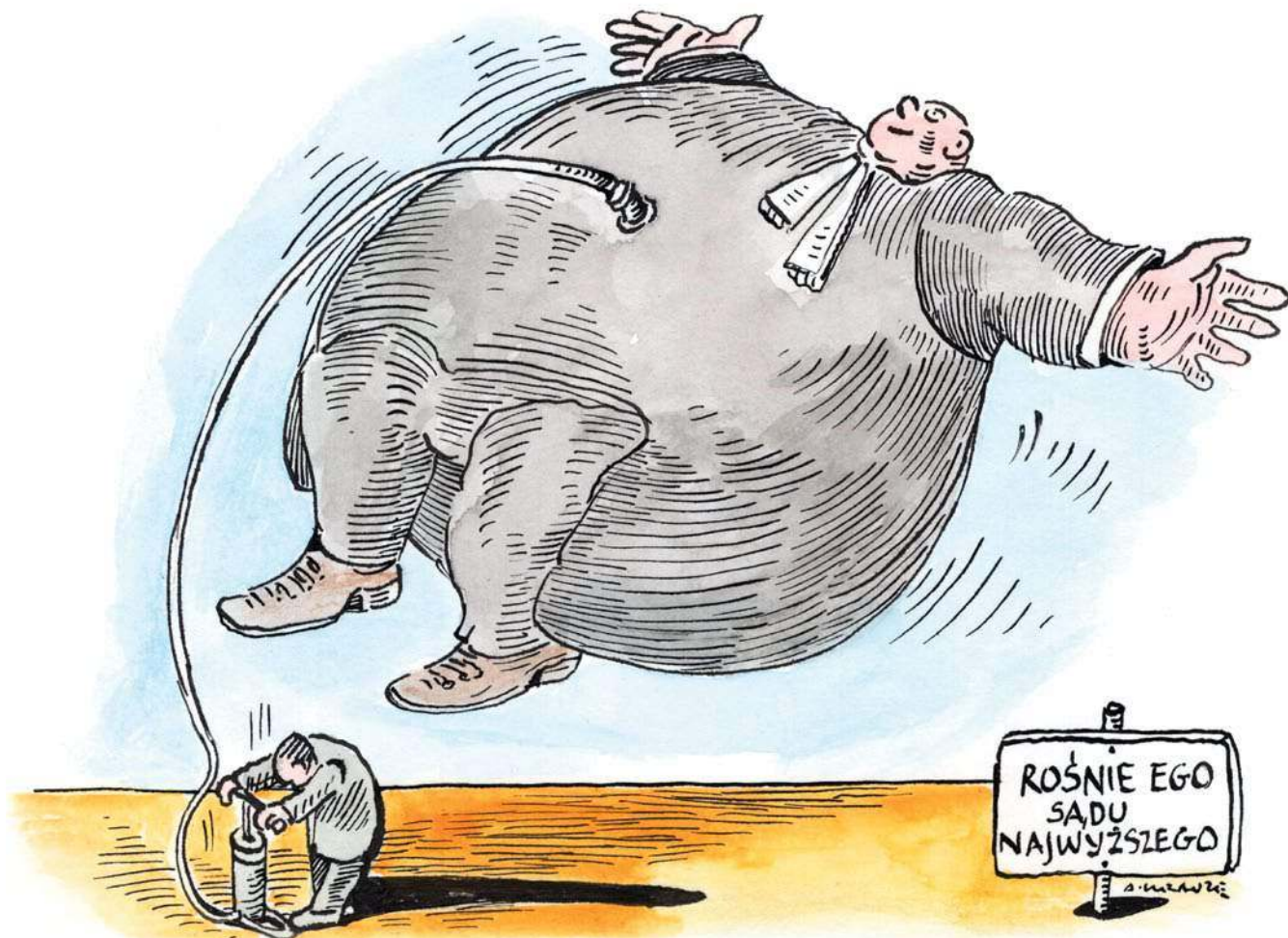
Oczywiście tekst na temat córki śp. prezydenta i bratanicy prezesa PiS przepojony jest współczuciem, że nie cieszy się sympatią, że „cały czas bezlitośni ludzie nabijają się z jej tragedii”. Pojawilo się nawet przerobione zdjęcie, na którym widzimy Martę Kaczyńską na okładce magazynu „Playboy”, i to jak widzimy... Portal przybliży to z detalami w tekście pt. „Kaczyńska samotna jak smoleńska brzoza. Wściekli Polacy zmasakrowali Martę!”. Znaczą, gdzie i co się pojawiło, że jest fanpage o nazwie „Marta Kaczyńska musi odejść”, co się „nie mieści w głowie”... – no, dziennikarski majstersztyk, to

jakby zepchnąć teściową ze schodów i spytać, gdzie mamusia się tak spieszy...?! Albo tekst pt. „Dawna ukochana Kaczyńskiego ujawnia! Tak będzie wyglądał jego koniec”, a w nim prof. Jadwiga Staniszkis, która – w relacji Pikio – przewiduje nieuchronną porażkę PiS. Wyścig szczurów trwa. Podobno towarzyszy temu brak zadowolenia z pracy i nikłe możliwości korzystania z jej rezultatów. Feluś coś o tym wie...



**Piotr
Cywiński**

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE



SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARŃOWSKI
ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:
PIOTR SKWIECINSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY:
ŁUKASZ ADAMSKI, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI (BERLIN),
LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FUJEK,
WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWÓRNA, GRZEGORZ
GÓRNY, KRYSZYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ,
STANISŁAW JANECKI, JACEK KARŃOWSKI, MICHAŁ KARŃOWSKI,
KONRAD KOŁODZIEJSKI, GRZEGORZ KOSTRZEWA-ZORBAS,
CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, DOROTA ŁOSIEWICZ,
TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT,
MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ
RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI,

JAN ROKITA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, PIOTR SKWIECINSKI,
WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIELIK, EWA WESOŁOWSKA,
MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDESTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ
ZAWISTOWSKI, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR,
JOANNA MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE:
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI – KIEROWNIK
ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL,
MACIEJ MAJTCZAK, LIDIA SŁOWIKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN

FOTOEDYCJA:
EWA FALKIEWICZ, EWA.FALKIEWICZ@FRATRIA.PL,
ANNA ŁABECKA, ANNA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS



WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY
NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL

**WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY
DOKONYWAĆ NA KONTO:**

91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA,

W TYTUŁE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE
ADRESOWE DO WYSŁYKÓW ORAZ RODZAJ
PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI
PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ
BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA
ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL
LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI
Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00
LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE
W GODZINACH 7⁰⁰ – 17⁰⁰.

KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

NAKLAD: 110 000 EGZ.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 616 36 00
PAULINA KAKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
WOJCIECH KOPACZ – WOJCIECH.KOPACZ@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYM.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.

BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNA.



FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR, RADEK PIETRUSZKA PAP,
CHAMBURG/FONSGE/SHUTTERSTOCK.COM



Wielkie kłamstwo Platformy



Michał Karnowski rozmawia z *Danielem Obajtkiem*, prezesem PKN Orlen

Dziwnie się rozmawia z prezesem dużego koncernu paliwowego, który nie chciał podwyżki. Coś tu chyba nie gra. Padła taka propozycja w Radzie Nadzorczej Orlenu, motywowana rażącą różnicą między obecnymi zarobkami prezesa tej firmy i innych, porównywanych spółek tego sektora w naszym regionie Europy. Pan prosił, by tego nie robić. Uznał pan, że za wcześnie? Że pan nie zasługuje?

Daniel Obajtek: Naprawdę się pan zdziwił?

No dobrze, biorąc pod uwagę pana wcześniejszy dorobek, raczej zdziwił mnie ten pomysł, wiedziałem, że pan powie nie. Ale wielu było w szoku.

Uważałem ten pomysł za niepotrzebny. To wszystko trzeba widzieć w całości. Jest prawdą, że każdy człowiek chce dobrze zarabiać, każdy chce, by jego praca była doceniana. Zwłaszcza gdy cele, jakie mu zostały postawione i które sam sobie założył, są osiągane. Ale to tylko część prawdy. Podejmując wyzwanie w Orlenu, kierowałem się innymi czynnikami: pragnieniem zrobienia czegoś dobrego dla Polski, pokazania, co to znaczy patriotyzm w praktyce. Proszę też nie zapominać, z jakiego jestem politycznego środowiska – z Prawa i Sprawiedliwości. Media wrogie naszej formacji czy opozycja szyją nam nieustannie buty zachłanności. I możliwe, że takie przypadki jak w każdym zbiorowisku ludzkim się zdarzają. Ale to wyjątki. My naprawdę wierzymy w to, co podkreśla tak często prezes Jarosław Kaczyński: do polityki nie idzie się dla pieniędzy. Dlatego tylko w środowisku PiS mógł się znaleźć ktoś taki jak premier Mateusz Morawiecki, który

bez mrugnięcia okiem porzucił doskonałą płatną pracę w dużym banku, by wybrać służbę w rządzie.

Różnica między zarobkami szefa Orlenu a podobnych firm na Węgrzech, w Czechach, nie mówiąc o Niemczech, jest jednak kolosalna. To nie jest problem?

Powiem więcej: jest kolosalna różnica między moimi zarobkami a tymi, jakie mieli moi poprzednicy. Były trzykrotnie wyższe. Dalej: jeżeli zsumujemy wszystkie dodatki i nagrody, które otrzymywali tamci menedżerowie, to wyjdzie, że każdy z nich miał tyle, ile dziś zarabia cały zarząd, łącznie ze mną. Takie wyliczenie zrobiłem nie dlatego, byśmy o tym co dzień myśleli, ale by odpowiedzieć na nieuczciwe ataki, które się powtarzają. Na co dzień myślimy o celu nadrzędnym, jakim jest mocne pchnięcie Orlenu do przodu i wzrost jego wartości. A dzięki temu i polskiej gospodarki, bo nasz koncern może być kołem zamachowym, może kreować innowacyjność i rozwój, może się przyczyniać do pomyślności obywateli.

Złośliwy odpowiedź: odbił pan sobie na odprawie, jaką otrzymał, odchodząc z pomorskiej firmy Energa, spółki z udziałem skarbu państwa, którą pan kierował.

I się pomyli. Ani w związku z tą zmianą, ani wcześniej odchodząc z Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa, nie wziąłem żadnej odprawy, żadnej nagrody. Więcej: w każdym z tych miejsc natychmiast ograniczyłem te drugie, nieformalne części składowe pensji. Niektórzy uważali, że należy im się po 200 czy 300 tys., wy-

Ludzie poprzedniej ekipy rozkradali państwo przez osiem lat. W paskudny sposób godzili się na grabienie majątku narodowego, kombinowali. Nie jak zwiększyć bogactwo Polski, ale jak wyrwać skarbowi państwa kolejne zasoby, firmy, jak się na tym uwłaszczyć. I ci ludzie teraz mają czelność drukować plakaty, że „PiS wziął miliony”. A mowa o ekipie, która właśnie to złodziejstwo zatrzymała!

syłali mi wezwania do wypłaty nagród. Nie. Tak działać nie wolno. Nikomu z kadry menedżerskiej, którą zatrudniłem, nie dałem złotówki nagrody. Dałem za to rozsądne nagrody szeregowym pracownikom, ludziom z produkcji. Tak postrzegam dobrą zmianę.

Polakom podsusza się jednak inny obraz: zachłannej ekipy z PiS, która nie zna umiaru i zagarnia miliony. Takie hasła wiszą na tysiącach plakatów w całym kraju, opłaconych przez PO, takie billboardy objazdowe organizuje ta sama partia, nazywając je „konwojami wstydu”.

Każdy, kto chce się zapoznać z rzeczywistymi działaniami w obszarze spółek skarbu państwa obecnej ekipy i poprzedniej, będzie głęboko urażony treścią tych kampanii politycznych. Trudno o większe kłamstwo. Myślę, że także ich organizatorzy wiedzą, iż bardzo mijają się z prawdą, ale działają na zasadzie, że jak się rzuci w człowieka błotem, to coś tam zawsze przyłgnie. Nie każdy interesuje się dogłębnie polityką, nie każdy śledzi zmiany w spółkach skarbu państwa. Część osób może w te kłamliwe hasła uwierzyć.

To jaka jest prawda?

Ona jest dla poprzedników kompromitująca. Po pierwsze, PiS doprowadziło do tego, że spółki skarbu państwa osiągają coraz lepsze wyniki, a niektóre nawet znacząco wyższe niż kiedykolwiek. Inwestują, rozwijają się, szukają innowacji, kooperują z sobą. Zauważają to również inwestorzy giełdowi. Nie ma mojej zgody na nieprawość w życiu publicznym. Zastanawiałem się nad motywami tych działań i dochodzę do wniosku, iż jest tu także żal, że nie zdążyli wszystkiego sprzedać swoim kumplom, że nie udało im się tego sprywatyzować.

Mocny zarzut.

Mocny? Rozkradali państwo przez osiem lat, a patrząc szerzej: trzy dekady. W paskudny sposób godzili się na grabienie majątku narodowego,

kombinowali. Nie jak zwiększyć bogactwo Polski, ale jak wyrwać skarbowi państwa kolejne zasoby, firmy, jak się na tym uwłaszczyć. A gdy nie potrafili czy nie mogli tego zrobić, to otorbiali te spółki, oplatali je siecią powiązań, spółczek, umów transferujących zyski do prywatnych kieszeni, odsączali z pieniędzy. I ci ludzie, którzy sami wyciągnęli dziesiątki milionów z tych spółek, teraz mają czelność drukować plakaty, że „PiS wziął miliony”. A mowa o ekipie, która właśnie to zło dziejstwo zatrzymała!

Metoda wyprowadzania majątku poza Orlen była prosta: jeśli gdzieś jakiś wycinek był zyskowy, to otaczało się go siecią umów i kontraktów, które odsączały zysk. Następnie tak osłabioną strukturę sprzedawało się za półdarmo kumplom

Plakatowa odpowiedź PiS była trafiona?

Oczywiście. Była prawdziwa. Komu PiS wzięło miliony? Mafiom i szarej strefie. Ludziom, którzy okradali ten kraj. A komu przekazało? Polskim rodzinom, polskim dzieciom. Ale też przy okazji rozpedziło gospodarkę, bo ruszył mocno rynek wewnętrzny.

To otorbianie firm spółkami, zerowanie na nich działo się też w Orlenie?

Niestety tak. Metoda była prosta: jeśli gdzieś jakiś wycinek był zyskowy, to otaczało się go siecią umów i kontraktów, które odsączały zysk. Następnie tak osłabioną strukturę sprzedawało się za półdarmo kumplom i zaczynało w kolejnym miejscu. Dzisiaj musimy część spółek zależnych reanimować, odtwarzać. Również dlatego, że mając

w grupie Orlen pewne usługi, możliwości, korzystano z zewnętrznych dostawców. Pewne działania zaczęto już za mojego poprzednika, my mocno przyspieszamy. Ten proces wyprowadzania majątku poza grupę Orlen miał jeszcze jeden bardzo niekorzystny skutek: zmniejszenie bezpieczeństwa infrastruktury i pracy Orlenu. Część krytycznych dla funkcjonowania elementów była całkowicie poza naszą kontrolą.

W tym kontekście można wspomnieć ciekawe dane, które ostatnio wyczytałem: za rządów PiS usługi ochroniarskie o wartości 1 mld zł zostały odzyskane przez te instytucje i firmy państwowe, które za poprzednich rządów zlecały te usługi prywatnym firmom.

To są kwestie kluczowe dla bezpieczeństwa, struktury kluczowe w tym obszarze muszą pozostawać pod naszą kontrolą. Nasza spółka ochroniarska wreszcie jest rentowna, w ciągu ostatniego roku przejęła ochronę spółek w grupie Orlenu, wychodzi też na rynek zewnętrzny. Czyli zamiast zająć się odbudową wartości własnej spółki ochroniarskiej, przez lata korzystano z usług spółek zewnętrznych. Nie mogę pojąć, jak to możliwe. Inny przykład: na stacjach Orlenu w Niemczech, funkcjonujących pod nazwą Star, sprzedawano wyłącznie niepolskie oleje silnikowe. Nasze produkty nie były tam w ogóle obecne!

Kilka miesięcy temu portal wPolityce.pl podawał, że do niedawna Orlen miał podpisaną umowę ramową z agencją Walk Events, spółką z o.o. działającą od 2006 r. Członkiem zarządu tej spółki jest m.in. Szymon Walkiewicz, znany także jako bliski współpracownik Ryszarda Petru, specjalista od PR.

Zakończyliśmy tę współpracę. Mogę powiedzieć to samo: nie uważałem tego kontraktu za gospodarny. Na pewno wyjaśnia to niektóre ataki, jakie są na mnie kierowane. Trudno, ale mnie się nie uda zaszantażować.



Fot. Andrzej Wiktor

Orlen może napędzać polską gospodarkę, znakomicie wpisać się w kierunki wytyczone w Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju – innowacyjność, impuls rozwojowy – i przynosić dywidendę akcjonariuszom. Orlen musi też szanować swoich pracowników, musi dbać o inżynierów, ludzi z produkcji – to oni budują siłę firmy. Dlatego podpisaliśmy porozumienie ze związkami zawodowymi w głównej spółce, negocjujemy w kilkudziesięciu zależnych. Događujemy się. Bo tu trzeba też patrzeć społecznie. Nie może być tak, że nie pamiętamy o pracownikach, którzy mieli mniejszą siłę przebicia, zostali wypchnięci do firm zewnętrznych, na dużo gorsze warunki pracy, chociaż świadczą tę samą pracę co wcześniej.

Co tu można zrobić? Oni pracują już w firmach nienależących do grupy.

Odbudowujemy kompetencje i siłę spółek koncernu, chcemy, by jak najwięcej usług wytwarzać wewnątrz grupy. Wraz z tym wrócą pracownicy.

Może być drożej.

Nie do końca. Wypchnięcie jakichś usług na zewnątrz daje niekiedy chwilowy zysk, ale po pewnym czasie ceny rosną i zaczyna się tracić, bo już nie ma wyjścia, już się samemu tego zrobić nie umie.

Przejrzałem depesze gospodarcze – co kilka dni wiadomość o nowej

inwestycji Orlenu. Jaka jest skala tych projektów?

W najbliższych latach planujemy zainwestowanie w rozwój koncernu, w tym na rozwój petrochemii przeznaczenie wielu miliardów. Nie mamy wyjścia. Cel, jaki sobie stawiamy, jest prosty: musimy pogłębić przerób ropy, musimy mocno wejść w przemysł petrochemiczny. I taką decyzję podjął zarząd pod moim kierownictwem. To już się dzieje, uzyskujemy koncesje, powstają instalacje. W sumie wydamy na to ponad 8 mld zł. To jest też ogromna szansa, bo mając rafinerie, można rozwinąć także gałąź petrochemiczną. Z analiz wynika, że zapotrzebowanie na produkty petrochemiczne w 2040 r. wzrośnie dwukrotnie. Ale to tylko początek: mając już konkretne produkty chemiczne, możemy z nich tworzyć inne produkty, jeszcze bardziej opłacalne. Czy pan wie, że w Polsce nie produkuje się podstawowego składnika styropianu? Ani wielu innych komponentów petrochemicznych? Musimy to zmienić. Tym bardziej że ropy na potrzeby paliw płynnych będziemy w dłuższej perspektywie zużywali coraz mniej.

Dlaczego mamy zużywać coraz mniej ropy?

Bo świat idzie w kierunku elektromobilności, bo coraz więcej jest samochodów elektrycznych, bo gospodarka jest coraz mniej energochłonna.

Samą energetykę też macie. Niektórzy żartują, że Orlen stał się niepostrzeżenie również koncernem energetycznym.

To prawda. Ostatnio oddaliśmy blok gazowo-parowy w Płocku, produkujemy rocznie ok. 4 TWh (terawatogodzin), a będziemy łącznie wytwarzać 8 TWh. Ta produkcja zabezpiecza przede wszystkim nasze działanie, a prąd, który zostaje, oddajemy do systemu.

Przemknęło hasło: niech Orlen wybuduje elektrownię atomową.

Nasze kierunki są jasno określone: mocny rozwój sektora petrochemicznego i połączenie z Lotosem. Tym się zajmujemy.

Wspomniał pan o połączeniu Orlenu z Lotosem. Decyzja zapadła, choć opory były potężne. Emocje nie słabną. Pan nie ma żadnych wątpliwości co do tej decyzji?

Żadnych. To już dawno powinno być zrobione! Co najmniej 20 lat temu. W całym naszym otoczeniu w regionie, w całej Europie mamy do czynienia z koncernami już dawno połączonymi. Spójrzmy na potęgi takie jak OMV, Total, Shell, BP, MOL i zadajmy sobie pytanie: czy gdyby to się nie opłacało, oni by się nie konsolidowali? To im daje większą siłę, możliwość udźwignięcia potężnych inwestycji, efekt obniżenia kosztów i lepsze argumenty w negocjacjach

z partnerami. Dziś Orlen i Lotos są często rozgrywane.

W jaki sposób?

Dostawcy wiedzą, że obie firmy biją się o te same dostawy, wytwarza się sztuczną rywalizację. Jest też różnica w cenie, gdy kupuje się – a tyle będzie wspólnie – 50 mln ton rocznie, a nie 40 mln ton czy 10 mln ton. Poważne oszczędności nastąpią także dzięki połączeniu logistyki. Teraz jest tak, że np. nasza cysterna transportuje z Płocka paliwo do stacji Orlenu w Gdańsku, a do stacji Lotosu koło Płocka jedzie cysterna z Gdańska. To poważna sprawa, wielkie oszczędności. Interes kilku osób z Pomorza zainteresowanych trwaniem obecnej sytuacji nie może wywracać interesu narodowego.

Pan jednak też chce utrzymać Lotos jako osobną spółkę?

List intencyjny jest jasny: w pierwszym kroku chcielibyśmy wykupić od skarbu państwa 32,9 proc. akcji, potem ogłosić wezwanie na zakup akcji od innych właścicieli do poziomu 66 proc. Ostatni etap to możliwe wydzielenie rafinerii jako spółki zależnej, z siedzibą w Gdańsku. W ten sposób Gdańsk nie straci na podatkach.

Nie ma ryzyka powstania monopolu?

Nie ma takiej możliwości. Działamy na konkurencyjnym rynku. Orlen nigdy nie wykorzystywał i nie wykorzystuje swojej pozycji na rynku paliw. Mamy silną konkurencję w postaci rosnącego importu paliw.

Ceny paliw na stacjach jednak rosną. Dlaczego?

W tej chwili się ustabilizowały. Proszę jednak pamiętać, że znaczący wpływ na ceny ropy ma sytuacja na rynkach światowych, a także kurs dolara. W ciągu roku cena baryłki ropy zdrożała o 50 proc., zmienił się kurs dolara do złotówki, a cena paliw wzrosła o kilkanaście groszy. Nie lekceważę tego. Wiem, że to nieprzyjemne dla klientów, ale staramy się robić wszystko, m.in. optymalizując koszty, aby cena oferowanych przez nas paliw rosła wolniej, mniej niż cena surowca.



Od końca 2015 r. do połowy 2018 r. sprzedaż diesla w Orlenie wzrosła o 45 proc., sprzedaż benzyny o 21 proc. Skąd tak radykalna zmiana, użyjmy tego słowa, przyzwyczaję Polaków?

Szacujemy, że około 10 proc. tego wzrostu zużycia paliwa wynika ze wzrostu gospodarczego. Pozostała część, ok. 35 proc., wcześniej była w szarej strefie. Gdy więc pan mnie zapytał o te miliony, które wedle opinii miało wziąć PiS, to odpowiadam: tu właśnie są te miliony. Myśmy je znaleźli. Przepływały wcześniej obok, bez podatków, tucząc rozmaite układy, a nawet mafie, często zakolegowane z partią rządzącą. Dziś wróciły do gospodarki, dziś przynoszą podatki, budując zyski Orlenu. A ludzie za to odpowiedzialni bawią się dziś w zakłamane plakaty. Hipokryzja, jakiej świat nie widział. To są ogromne interesy i my je naruszamy.

Słyszałem, że spotykają pana pogroźki?

Każdy taki sygnał analizujemy. Ale nie dziwię się tym atakom. Jeśli Orlen i państwo polskie zaczynają zarabiać na większej sprzedaży paliw, to ktoś traci. Jeśli rozwijamy przemysł petrochemiczny, to niektórzy boją się, że wyschnie im żyła złota. Swoją drogą to, że przez 15 lat, mając możliwości i surowce, nie rozwijano tego przemysłu, uważam za zbrodnię na polskiej gospodarce. Ale podobnie było z Możejkami.

W jakim sensie?

To była świetna inwestycja. Śp. prezydent Lech Kaczyński miał całkowitą rację, przekonując do tej inwestycji, wspierając zakup tej litewskiej rafinerii przez Orlen. Ale trzeba było pewnego wysiłku, by to poukładać. Platforma robiła odwrotnie – z wszelkich sił starała się udowodnić, że to było niepotrzebne, błędne. Byle dołożyć śp. prezydentowi. W rzeczywistości, w mojej ocenie, chodziło o to, by doprowadzić do odsprzedaży rafinerii Rosjanom.

To Litwini rozebrali tory do lotewskiego Renge.

No to trzeba było przeciwdziałać, organizować ofensywę dyplomatyczną, przekonywać, rozmawiać. I takie działania podjął premier Mateusz Morawiecki, i są efekty. Dzisiaj relacje polsko-litewskie są bardzo dobre. To ułatwia prowadzenie biznesu. Ruszyła odbudowa torów. Orlen dziś nie tylko zarabia na Możejkach, nie tylko kraje bałtyckie mają z nich korzyści, lecz również Polska. Bo skąd byśmy brali dziś tego diesla, którego sprzedaż w Orlenie tak bardzo poszła do góry? Zapewne z Białorusi. A tak to przyjeżdża z rafinerii Orlenowskiej.

Także w ofercie detalicznej widać tę zmianę. Na Forum Ekonomicznym w Krynicy ogłosił pan: „Na stacjach PKN Orlen w ofercie mamy już 68 proc. polskich produktów, a 83 proc. produktów wytworzono

Prawda jest dla poprzodników kompromitująca. PiS doprowadziło do tego, że spółki skarbu państwa osiągają coraz lepsze wyniki, a niektóre nawet znacząco wyższe niż kiedykolwiek

w Polsce. W ten sposób realizujemy nasze deklaracje i wspieramy rodzimy biznes". Symbolem tej akcji jest promocja polskich soków, która ma pomóc rolnikom i sadoownikom. Koncern przez pana kierowany wyrasta na ogromną sieć handlową. To świadoma polityka?

„Pij polskie soki” to nasz projekt biznesowo-społeczny. Jestem z niego dumny. Mamy wolny rynek i każdy decyduje, gdzie i co kupuje. Warto jednak pamiętać, że kupując polskie produkty, wzmacniamy rodzimą gospodarkę. Polacy chcą kupować polskie, dobre jakościowo produkty, to potwierdziły zlecane przez nas badania rynku. Dlatego w ofercie naszych stacji jest ich coraz więcej. Dziś mamy 1,7 tys. stacji. Do tego mamy ponad 1 tys. stacji poza granicami kraju. To potężna szansa dla polskich producentów. Ta forma działalności to biznes, ale również jedna z form patriotyzmu gospodarczego, która nadaje konsumpcji większy sens. Ten trend, że konsumując, zaspokajają się nie tylko własne potrzeby, lecz również wspiera rodzimą gospodarkę, jest coraz bardziej popularny na świecie. Nie wyobrażam sobie, aby kierując taką firmą jak PKN Orlen, można było zapomnieć o patriotyzmie gospodarczym.

Pobrzmiwa w tej rozmowie pana zaangażowanie w sprawy kraju. Czy to się nie kłóci z rolą menedżera? Szefa koncernu, który ma dbać o zyski?

PKN Orlen to spółka giełdowa z udziałem skarbu państwa, co niesie korzyści, ale i zobowiązania. Z jednej strony prowadząc działalność biznesową, musimy ciągle pamiętać, aby była ona opłacalna, aby podejmowane

przez nas inwestycje przekładały się na wzrost wartości koncernu, z drugiej – nie zapominamy o naszych zobowiązaniach w ramach społecz-

nej odpowiedzialności biznesu. Tak robią wszystkie światowe koncerny. Dlatego współdziałamy z rządem w realizacji pewnych zadań. Dotyczy to m.in. sponsoringu zdolnych sportowców, stypendiów dla Polaków chcących studiować za granicą, ale po to, by wrócić do kraju i tu pracować. To wszystko zahacza o politykę rozumianą jako troska o dobro wspólne. Powtarzam to, od czego zaczęliśmy rozmowę: przyszedłem tu z Prawa i Sprawiedliwości, a my nie udajemy, nie wzięliśmy władzy, by udawać, że coś robimy. Obiecaliśmy zmienić Polskę i to robimy, także w Orlenie. 

REKLAMA



PATRONAT NARODOWY
PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ ANDRZEJA DUDY
W STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI 1918-2018

NASZA NIEPODLEGŁA 1918-2018

Jeden z najważniejszych projektów muzycznych na 100. rocznicę odzyskania niepodległości przez Polskę



Projekt realizowany w ramach obchodów stulecia odzyskania niepodległości

Partner strategiczny:

Partnerzy oficjalni:

Promotor projektu:

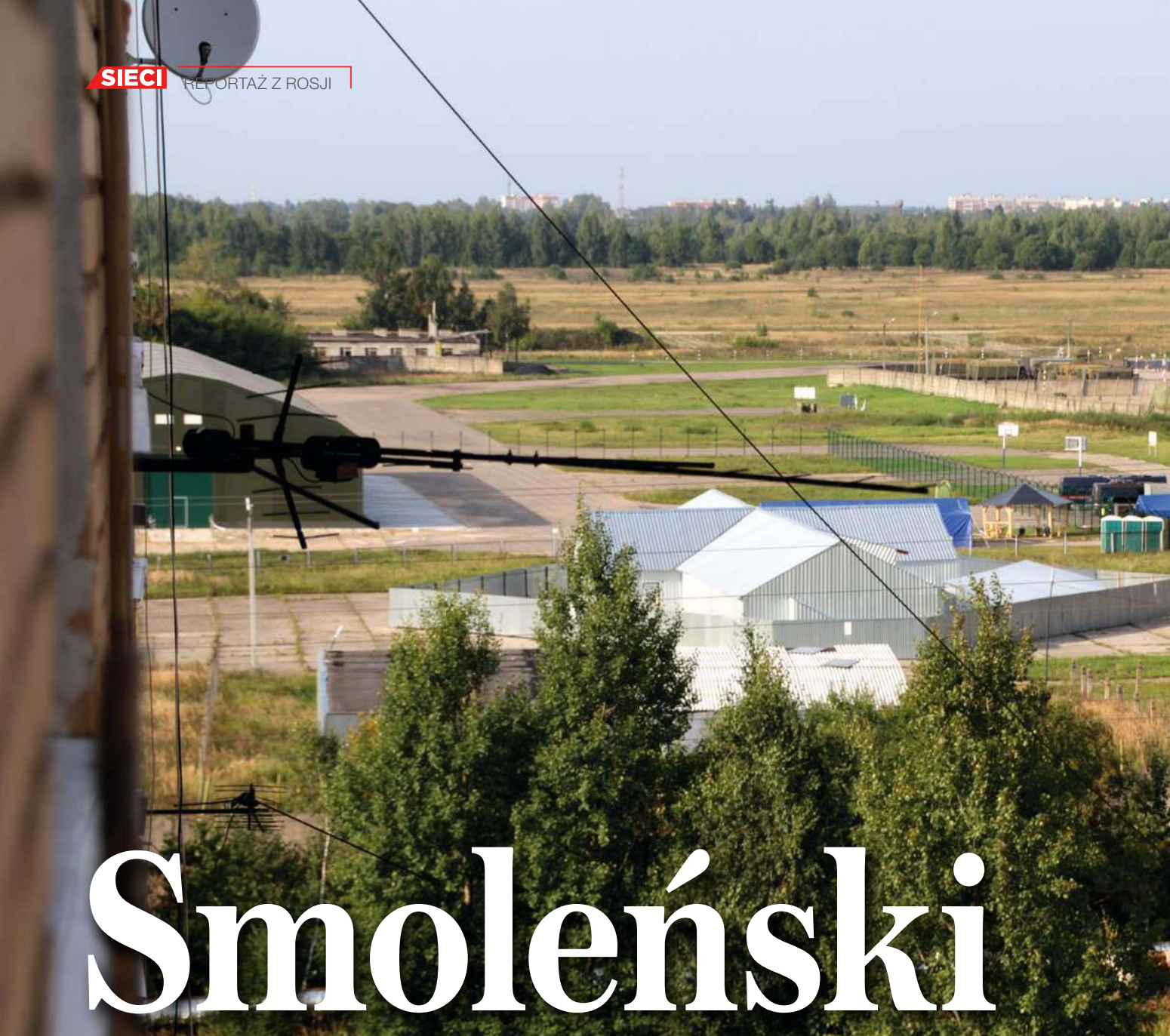


Producent wykonawczy:



Wydawca albumu:





Smoleński spektakl Putina



Fot. M. Czajko



MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

Dwa i pół roku po tym, jak Prokuratura Krajowa przejęła postępowanie smoleńskie, pojawiła się wreszcie okazja, by śledczy osobiście obejrzieli szczątki tupolewa, których oddania Rosja konsekwentnie odmawia.

Wiemy, jaki naprawdę sygnał dostali od Rosjan polscy prokuratorzy: z naszej strony nie liczcie już na nic.

Wraku nie tylko wam nie oddamy, lecz nawet nie pozwolimy go dotknąć. Świadkowie, których chcecie przesłuchać, nie żyją, wyjechali albo stracili pamięć.

Byliśmy w Smoleńsku. Miejsce polskiej tragedii narodowej coraz bardziej zarasta chaszczami. Niedługo będzie biegł tędy gazociąg. Poleciliśmy też ścieżką, jaką nad Siewiernyj zniżał się rządowy tupolew. Film z unikatowymi zdjęciami prezentujemy w telewizji wPolsce.pl

Nie można było nie skorzystać z tej okazji, więc prokuratorzy drobiazgowo zaplanowali swoje czynności. Przygotowania do wyjazdu odbywały się w porozumieniu ze służbami specjalnymi – włącznie z ustalaniem trasy przejazdu. W 20-godzinną podróż do Smoleńska pojechało pięcioro śledczych oraz technicy z Żandarmerii Wojskowej i policji, w tym specjaliści od obrazowania 3D.

Plan badań był ambitny, ale trudno powiedzieć, by został zrealizowany choć w podstawowym wymiarze. Rosjanie zorganizowali bowiem kolejną atrapę czynności śledczych.

GRA POZORÓW

Jeszcze przed wyjazdem było wiadomo, że polscy specjaliści będą mocno ograniczeni w swoich działaniach. Komunikaty Komitetu Śledczego wskazywały, że „badania” prowadzone będą przez Rosjan, a ich wyniki przekazane do Warszawy. Rosyjskie media pomogły tamtejszym służbom zorganizować fasadę. Tylko lokalni reporterzy, usłudźni wobec moskiewskich władz, zostali wpuszczeni na teren lotniska, by pokazać, jak pieczołowicie dba się o detale w tym postępowaniu. Rosyjscy widzwie dostali obraz profesjonalizmu: ste-

rylne warunki, specjalne kombinezony dla wszystkich, którzy mieli się zbliżyć do wraku, a do tego pełna otwartość i współpraca. Wątpliwej jakości teatr. Bo w rzeczywistości Polakom uniemożliwiono wykonanie większości zaplanowanych prac.

– Już na pierwszym spotkaniu organizacyjnym koledzy usłyszeli, że w hangarze nie wolno będzie niczego przenosić, podnosić, a nawet dotykać. To zburzyło nasz główny plan. Chcieliśmy wszystkie elementy wraku wyciągnąć, obejrzyć element po elemencie i zinventaryzować. Nie wiem, jak można przeprowadzić sensowne oględziny szczątków samolotu bez ich dotykania – mówi nasze źródło zbliżone do Prokuratury Krajowej.

Jak słyszymy, Polacy nie mogli używać własnego sprzętu. Żadnego, włącznie z telefonami. – Przed wejściem czyszczą nas ze wszystkiego, łącznie ze starymi komórkami, takimi „cegłami”, którym daleko do dzisiejszych smartfonów, a w które wyposażyliśmy się na potrzeby komunikacji przy tym wyjeździe.

Kontakty z centralą w Warszawie były dość oszczędne. Z oczywistego powodu – bezpieczeństwa śledztwa. Ekipa w Smoleńsku dzwoniła tylko na specjalny numer telefonu, który

odbierał jeden ze śledczych z Prokuratury Krajowej. Rozmowy prowadzono półsłówkami, byle tylko przekazać najogólniejsze kwestie. Z Rosji nie płynęły jednak pozytywne komunikaty.

– W zasadzie wszystko ogranicza się do fotografowania przez Rosjan, i to bardzo powolnego. Mimo spędzania każdego dnia na lotnisku wielu godzin nie wiem, czy zdążą wszystko obejrzeć. Rosjanie w ogóle nie są elastyczni, sztywno trzymają się przedstawionych na początku reguł, ewidentnie narzucanych z góry. Trudno wierzyć w jakieś przełomy – konstatają nasi rozmówcy.

Z relacji, jakie do nas docierają, wynika, że prokuratorzy mają nałożone przez stronę rosyjską ograniczenia większe niż poprzednie polskie ekipy, które w ciągu ośmiu lat udawały się do Smoleńska. Przedstawiciele komisji Millera i eksperci pomagający prokuraturze wojskowej mogli przynajmniej samodzielnie fotografować elementy wraku. Dziś to już wykluczone.

Świadczy o to tym, że Rosjanie za wszelką cenę starają się uniemożliwić prowadzenie rzetelnego śledztwa i ukrywać materiał dowodowy. To nie nowość, ale dziś okazują to już bez żadnego udawania.

Dowodzi tego szczegółowa odpowiedź, jaka nadeszła na wniosek polskiej prokuratury, który zakładał m.in. przesłuchanie pięciorga osób, które miały widzieć, jak doszło do katastrofy. Rosjanie bez żadnego skrępowania odpisali, że jest to niemożliwe, bo jeden ze świadków już nie żyje, w przypadku kolejnego nie można ustalić miejsca pobytu, dwoje następnych w czasie wrześniowych czynności nie będzie obecnych w Smoleńsku, a piąty (Nikołaj Bodin, na którego działce stoi brzoza, o którą według raportów MAK i komisji Millera miał zahaczyć skrzydłem samolot) stracił pamięć w wyniku wypadku. Cała Rosja...

Z LEWEJ STRONY PASA

Hasło „Smoleńsk” w ustach polskich dziennikarzy przekraczających granicę lotewsko-rosyjską (przez Białoruś pojechać się już nie da) działa na pograniczników jak płachta na byka. Oznacza to drobiazgową kontrolę i konieczność odwrotu przy choćby minimalnych

nieścisłościach w papierach. – Znowu do Smoleńska? Znowu dziennikarze? – celniczka przewraca wielkimi oczami skrytymi nieco pod trwałą undulacją i z niechęcią wbija pieczętkę wjazdową. Tym razem jedziemy do Rosji, by się przekonać, jak bardzo zmienił się teren katastrofy od naszej ostatniej wizyty, ponad dwa lata temu.

Postanawiamy polecieć ścieżką tu-polewa. Chcemy spojrzeć na ten teren z góry, z pozycji pilotów. Warunki są oczywiście mało porównywalne, bo oni lecieli w kwietniu w gęstej mgle. My jesteśmy w Smoleńsku we wrześniu, a pogoda jest wspaniała.

Z obwodnicy A-132 skręcamy przy znaku „miejsce pamięci”. Leśna droga prowadzi nas do pomnika Ofiar Faszyzmu. Rzut oka na mapę Google, jesteśmy mniej więcej w osi pasa lotniska Siewiernyj, ok. 2,5 km przed jego progiem. Okazały monument postawiono przy porośniętej trawą hałdzie, która skrywa prochy 3 tys. Żydów pomordowanych w lokalnym getcie 15 lipca 1942 r. Mężczyźni, kobiety, dzieci, całe rodziny. Najmłodsza z wymienionych ofiar miała 3 miesiące, najstarsza – 92 lata. „Wieczna pamięć, wieczny spokój”. Wokół porządek, ale trudno powiedzieć, by Rosjanie otaczali to miejsce należyta czcią. To miejsce dosyć dyskretne, i po tym, co znajdujemy w lesie, widać, że wykorzystywane jest przez tych, którzy właśnie dyskrecji pragną. Mnóstwo chusteczek higienicznych, opakowania po prezerwatywach, jakaś strzykawka...

Jeśli przyjmiemy, że tupolew leciał tutaj z prędkością 270 km/h, to nasz dron odwzoruje ostatnie pół minuty tragicznej podróży z 10 kwietnia 2010 r. Nie do końca wiadomo, jak wtedy wyglądał ten teren, bo polskich specjalistów wówczas nie dopuszczono do oblotu. Później co prawda w mediach pojawił się niskiej jakości film nagrany przez paralotniarza, a niektóre telewizje także latały tutaj dronami, ale interesowało



Fot. Orzeł 7



Fot. Andrzej Świąrczyński

je tylko ostatnie kilkadziesiąt metrów przed miejscem tragedii.

Z naszej kamery dobrze widać, jak bardzo pofalowany jest to teren, jak głęboki jest jar

za lasem, by potem natychmiast stromo wyjść w górę. Mijamy bliższą radiolarnię, potem kurs na „brzozę Bodina”. Za chwilę podlecimy, by zobaczyć te miejsca z bliska, ale z góry widać, że okolica jest o wiele bardziej zarośnięta krzakami niż nawet dwa i pół roku temu, gdy byliśmy tutaj ostatnio. Nasz dron po wprowadzeniu parametrów zbliżonych do tych z systemu TAWS widzi na horyzoncie pas lotniska, ale po wąwozie wychodzi nie na wprost, lecz z jego lewej strony. Dokładnie tak – nieprawidłowo – pokierowany został tupolew 10 kwietnia (złożyło się na to wprowadzanie w błąd pilotów przez kontrolerów, przekazane przez Rosjan nieprecyzyjne karty podejścia oraz wadliwie działająca radiolarnia



– co wiemy z zeznań załogi jaka). Film z naszego oblotu z obszernym komentarzem i objaśnieniami można obejrzeć w telewizji wPolsce.pl.

OBJAZD Z OPIEKUNAMI

Miejsca, które widzieliśmy z góry, chcemy zobaczyć z bliska. Najpierw radiolatownia, obskurna buda z odrapanymi ścianami i resztką lampy na dachu. Dwa lata temu na budynku był jeszcze maszt, teraz już go brakuje. Brama z rosyjskimi emblematami jest coraz bardziej powyginana, ale wciąż broni dostępu do wojskowej strefy, tak obwieszcza tabliczka na drucie kolczastym, który trzyma się solidnych betonowych słupów. Patrząc na tę rudę, przychodzi jedna myśl: rosyjski „bardak” to nie fikcja, mamy go tutaj w całej okazałości.

Kolejny punkt to „brzoza Bodina”. Tym razem nie ma go na działce, którą uwielbiał uprawiać, był tutaj właściwie zawsze. Wszyscy przyjeżdżający z Polski dziennikarze spotykali go w tym miejscu. Czyżby w wyniku doznanej

amnezji zapomniał, jak trafić na swoją rozlatującą się daczę? Kikut drzewa wciąż stoi i straszy. Niewiele się zmieniło przez lata, może roślinność nieco bardziej wybujała. Dopiero kiedy się podejdzie bliżej, widać, że ktoś położył tu prawosławny krzyż. Przy nim kilka wypalonych zniczy i jakaś wstążka. Naszą uwagę zwraca samochód, który pojawił się wraz z nami. Dostatek elegancki, jak na tę okolicę, przyciemniane szyby, moskiewska rejestracja. W środku dwóch mężczyzn, siedzą i obserwują, co robimy. Nie interesuje ich nic innego.

Obok ciąg starych garaży. Tam spotykamy Aleksandra, który w czapce złożonej z zakupionej przed wieloma laty gazety pracuje przy samochodzie. To oczywiście stara łada. U starszego mężczyzny połyskują srebrne zęby. Mówi, że 10 kwietnia 2010 r. też tu był i prawie widział, jak tupolew się rozbił. Czyli jak? – Wasz samolot zahaczył skrzydłem o brzozę i się rozbił – mówi pewnym głosem i zachęca, byśmy jeszcze raz poszli na działkę Bodina, by zobaczyć, jakie to solidne drzewo. – Ale pan to widział, czy tak mówili, że

zahaczył skrzydłem? – dopytujemy. Odpowiedź już nie jest jednoznaczna. – Może i mówili w telewizji. Dużo osób tu było i wszyscy pobiegli potem tam, gdzie spadł tupolew.

Gdy mężczyzna orientuje się, że mamy „opiekunów”, kończy rozmowę i wraca do pracy. Trochę przypomina nam to rozmowy, które w tym miejscu prowadziliśmy dwa lata temu. Też spotkaliśmy mężczyzn, którzy twierdzili, że w dniu katastrofy tutaj byli. Niby wszystko widzieli, a jednak niczego nie byli pewni.

TUTAJ NIE WOLNO

Ulica Kutuzowa, nad którą zdołał jeszcze przelecieć rozpadający się tupolew, jest wciąż tak samo ruchliwa, bo to wyjazd na drogę krajową z Mińska do Moskwy. Dwa lata temu odkryliśmy, że teren, na który spadały odłamki samolotu, był na sprzedaż, właściciel oferował go pod budowę kolejnych salonów samochodowych. Teraz wiadomo, że powstanie tutaj gazociąg. Do miejsca katastrofy prowadzi wygodna droga

z betonowych płyt. Brama zazwyczaj jest zamknięta, ale można zadzwonić, wtedy ktoś otwiera bez problemu. Teraz, gdy w Smoleńsku są polscy prokuratorzy i dziennikarze, wierzeje są otwarte przez cały czas.

Blisko głazu z tablicą pamiątkową kilka zniczy ułożonych w krzyż. Na prowizorycznym podeście (świeżo pomalowanym) te same od lat krzyże z coraz bardziej wyblakłymi tabliczkami. Wypłowie flagi i szaliki na siatkowym ogrodzeniu, które okala miejsce, gdzie leżał wrak. Robi się smutno, gdy przychodzi świadomość, że tutaj życie stracił polski prezydent i jego towarzysze podróży. Już chyba wiemy, że żadnego pomnika tam nie będzie, więc ten teren z czasem po prostu zarosnie. Już niewiele widać zza ogrodzenia...

Przechodzimy przez zagajnik, wychodzimy na łąkę przed pasem startowym. Dochodzimy do pasa. Tabliczka: „Stop! Strefa zamknięta”, również po polsku – co jest tu rzadkością. Ustawiamy kamerę, robimy zdjęcia pasa, budynków wojskowych, „wieży” kontrolnej. Już oddali widać ciężarówkę. Po kilku minutach pojazd rusza w naszym kierunku. W kabinie trzech młodych żołnierzy. Jeden wysiada. Tłumaczymy, że jesteśmy dziennikarzami z Polski i przygotowujemy materiał o katastrofie polskiego samolotu. Stanowczo informują, że nie wolno tu przebywać, spoglądają na kamerę, aparat. No, jeśli nie można, to nie można, „Da swidania” i się wycofujemy. Zanim podjechali, sfilmowaliśmy wszystko, co nas tu interesowało.

Gdy byliśmy tu przed dwoma laty, lotnisko było od tej strony tak „chronione”, że udało nam się na nie wejść,

dojść do „wieży”, sfotografować ją w środku i nieniepokojeni wrócić na miejsce katastrofy. Teraz nie ma na to szans. W czasie pracy na Siewiernym polskich śledczych obstawa jest większa niż zwykle.

TOI TOI DLA PROKURATORÓW

Spodziewamy się, że od południowej strony, przy ul. marszałka Jeremienki, będzie podobnie. To w tej części Siewiernego znajdują się szczątki Tu-154M. Od spotkanych w centrum Smoleńska kolegów z innej redakcji wiemy, że na osiedlu przed blokiem, z którego dachu w 2016 r. fotografowaliśmy miejsce składowania wraku, czekają tajniacy w aucie z przyciemnianymi szybami i przeganają dziennikarzy z Polski, którzy chcieliby się wdrapać na budynek.

Zgadza się, ale bloki są dwa. Próbuujemy więc się dostać do drugiego. Domofon niestety działa, inaczej niż przed dwoma laty. Przed budynkiem jakiś mężczyzna w dresie i klapkach pali papierosa, wygląda na mieszkańca. Nie tłumacząc po co, prosimy, by umożliwił nam wejście do budynku. „Otworzyć drzwi?” – upewnia się i bez słowa używa swojego klucza. Wjeżdżamy na ostatnie piętro. Krata przy schodach prowadzących na dach zabezpieczona jest zaspawaną kłódką. Gdy ostatnio tu byliśmy, wystarczyło tylko odplatać giętki drucik... Rosjanie zainwestowali w zabezpieczenia przed wścibskimi żurnalistami z Polski. Ale okna na korytarzu nie zabili deskami. Wychylamy się – wszystko widać. Długi obiektyw pozwala się przyjrzeć infrastrukturze przygotowanej na przyjazd polskich śledczych.

I tu spora zmiana. Hangary są dwa. Większy, zielony został postawiony niedawno. Ten w kształcie krzyża, który podobno kryje większość szczątków, jest teraz solidną blaszaną konstrukcją. Dwa lata temu był to prowizoryczny daszek z brezentowymi porwanymi ścianami. Teraz nie widać ani milimetra białoczerwonego poszycia maszyny. Tuż obok jest... zadaszona altanka. Na stoliku widać napoje i jakieś potrawy. Gdyby ktoś potrzebował, nieopodal ustawiono trzy toi toie. Nie mamy wątpliwości, że to dalszy ciąg picu, jaki Rosjanie przygotowali na przyjazd polskich śledczych. Podczas ostatniego pobytu tutaj rozmawialiśmy z szeregowymi żołnierzami stacjonującymi w jednostce. Byli zdziwieni naszym zdziwieniem, gdy oznajmili nam, że od lat nikt przy tym wraku nie przebywał ani nikt tam niczego nie badał. Wtedy tuż obok stał jeszcze rozbity samochód, jak to na wrakowisku. Teraz go oczywiście usunięto.

Chcemy zobaczyć hangary z możliwie najbliższej odległości – w tym celu trzeba przejść przez tory tramwajowe, krzaki i przemknąć pod rurą ciepłowniczą. Rosjanie są naprawdę dobrze przygotowani na „przyjęcie” polskich dziennikarzy, wiedzą, że stamtąd da się coś sfotografować. Z daleka widać, że stoją tam mundurowi, czyli będą problemy. Ale – jak większość rzeczy w Rosji – pozorne. Idziemy z nastawieniem, że w razie pytań będziemy nie rozumieć, o co im chodzi. Okazuje się, że nie ma takiej konieczności. Dwóch żołnierzy, widocznie znużonych wielogodzinnym pilnowaniem swojego odcinka, kładzie się w krzakach i odpoczywa. Śmieją się, opowiadają dowcipy, a nas nie zauważają. Zdjęcia, wideo, kilkanaście ujęć hangaru z bliska i już nas nie ma. Jeszcze przez chwilę słyszymy, jak młode soldaty zanoszą się ze śmiechu...

BRATERSTWO BRONI

Będąc w Smoleńsku, nie można zapomnieć, w jakim celu leciała tutaj polska delegacja. Prezydent Lech Kaczyński i towarzyszące mu osoby mieli uczcić polskich żołnierzy na cmentarzu wojennym w Katyniu. Odwiedzamy zatem Memorial, z daleka widać wykończoną już cerkiew ze złotymi kopułami



Fot. M. Gzulin



Aleksander twierdzi,
że widział moment katastrofy

– tutaj miejscowi mogą się pomodlić za pomordowanych Rosjan. W sklepiku z suvenirami niczym na Krupówkach: magnesy, kufle z rosyjskim godłem, talerzyki z panoramą Smoleńska. Książek mało, głównie o historii woj-skowości Rosji. Są też zabawki, żołnierzyki i puzzle z „gierojami sowieckoj armii 1943–1945”. Z bohaterami 1940 r., którzy tuż obok z taką determinacją mordowali Polaków, nic nie ma. Może wykupione.

Polaków można wspomnieć na cmentarzu. Jego teren jest zadbany i bacznie obserwowany. Wyjęcie kamery powoduje, że natychmiast zjawia się człowiek i pyta, dlaczego chcemy filmować. Dziennikarze? Do reportażu? Proszę bardzo. Zanim dojdziemy do polskiej części cmentarza, trafiamy na okazałe tablice zapraszające na wystawę, którą od grudnia 2017 r. można oglądać w nowym budynku centrum wystawienniczego Memoriału „Katyń”. Jej tytuł: „Rosyjsko-polskie relacje w XX wieku”.

Brzmi bardzo zachęcająco, ale to, co widzimy dalej, spowoduje, że każdemu przyzwitemu Polakowi zagotuje się krew. Bo czegoż tu dowiemy się o tych naszych relacjach? Najpierw odnotowano postać Piłsudskiego i odzyskanie przez Polskę niepodległości w 1918 r., ale chwilę później wsiadamy w prawdziwy radziecki rollercoaster historyczny. „Lata 1939–1945. II wojna światowa. Polsko-sowieckie braterstwo broni”.

Trudno uwierzyć w tę hipokryzję, tym bardziej że jesteśmy tuż obok grobów tysięcy polskich żołnierzy pomordowanych właśnie przez Sowietów. Ale to nie koniec! „Lata 1946–1952. Pomoc ZSRR w odbudowie Polski”. Na zdjęciu częściowo postawiony Pałac Stalina w Warszawie. Wspaniale zobrazone – portretem uśmiechniętego Leonida Breżniewa – są także kolejne lata naszych relacji: „1953–1990. Rozwój wzajemnej współpracy pomiędzy PRL a ZSRR”. I wreszcie: „Lata 1990–2010. Rozpad Związku Radzieckiego i upadek systemu socjalistycznego. Budowanie nowych relacji pomiędzy Polską i Rosją”. Dalej nie ma nic. Ciekawe, dlaczego ta nasza „wspólna historia” ma się niby kończyć w roku 2010...

Teraz, analizując na bieżąco wizytę prokuratorów, jesteśmy pewni, że jedno nie zmieni się nigdy. Rosjanie wciąż będą co innego pisać i mówić, a co innego robić.

ŚLEDZTWO Z PRZESZKODAMI

Co zaskakujące i przykre, kłopoty prokuratorowskiego śledztwa na wschodnim odcinku próbuje rozgrywać kierujący podkomisją smoleńską Antoni Macierewicz. Jeszcze kilka tygodni temu wskazywał, że wyprawa do Rosji nie ma sensu (po tym, jak Rosjanie odmówili przeprowadzenia rekonstrukcji samolotu w Smoleńsku), w ubiegłym

tygodniu zaś strofował śledczych, że nie zaprosili do wyjazdu członków podkomisji. Sugerował niechęć Prokuratury Krajowej do współpracy z nim (zupełnie pomijając fakt, że obie instytucje prowadzą oddzielne badania). Chodzi o to, że on sam nie kwapi się do kooperacji z prokuratorami. Świadczy o tym choćby to, że na wielokrotne pisma z PK o udostępnienie wyników badań prowadzonych przez podkomisję nie nadesłał żadnych konkretów, zasłaniając się trwającymi pracami.

Komisja ma zresztą własne problemy. Od kilku miesięcy trwa w niej konflikt wokół formułowania daleko idących hipotez niepopartych rzetelnym materiałem dowodowym bądź wybiórczym wykorzystywaniem analiz, pod z góry założoną tezę. Kilku członkom komisji nie podoba się takie działanie, mocno przeciw temu protestują, odmówili nawet podpisania tzw. raportu technicznego, opublikowanego w kwietniu. Jednym z nich był dr Grzegorz Szuladziński, specjalista ds. skutków wybuchów, którego ekspertyzy od lat wykorzystywał Macierewicz. Jak się dowiedzieliśmy, naukowiec z Australii właśnie zrezygnował z zasiadania w podkomisji. Nie podobala mu się także organizacja pracy tej instytucji.

Wracając do prokuratorów, w powietrzu wciąż wisi pytanie o umiędzynarodowienie śledztwa i przede wszystkim wyniki badania próbek wysłanych do zagranicznych laboratoriów. Z naszych informacji wynika, że te prace – choć powoli – to jednak trwają. Nie ma się co niepokoić brakiem oficjalnych informacji w tej sprawie, bo od początku było jasne, że nie będą ogłaszane częściowe wyniki analiz.

Natomiast po wizycie naszych śledczych w Smoleńsku można wyciągać tylko przynębiające wnioski. Jest jasne, że ze strony Rosjan można się spodziewać wyłącznie kolejnych kłód rzucanych śledczym pod nogi. Wraku nie tylko nie zwrócą, lecz nawet nie pozwolą go dotknąć. Takie decyzje zapadają na szczeblu politycznym, bo markujący postępowanie Komitet Śledczy to instytucja bezpośrednio pod-porządkowana Władimirowi Putinowi.

Współpraca
Andrzej Skwarczyński

Szaleństwo Schetyny

Popychanie PO i Schetyny w „szaleństwo” może być przemyślaną strategią zastąpienia Platformy inną partią

Im bardziej przewodniczący Platformy Obywatelskiej Grzegorz Schetyna dominuje po stronie opozycji, tym bardziej staje się zakładnikiem. Zarówno tych, którzy mu w zapewnieniu tej dominującej pozycji pomagają, jak i tych, którzy uznają to za mniejsze zło, skoro nie ma lepszego rozwiązania. To bycie zakładnikiem pcha następcę Donalda Tuska ku coraz większej irracjonalizacji i radykalizacji najsilniejszej partii opozycyjnej oraz własnego przywództwa po stronie opozycji. Sam Schetyna jest cynikiem robiącym to, co musi (przynajmniej z własnej perspektywy), jednak raz uruchomionej spirali irracjonalizmu i radykalizmu nie będzie w stanie zatrzymać. Będzie też musiał przedstawiać coraz radykalniejsze propozycje, żeby sprostać oczekiwaniom najbardziej radykalnych zwolenników i konkurentów do przywództwa. Nieprzypadkowo nawet w szeregach PO coraz częściej mówi się o „szaleństwie” Schetyny.



STANISŁAW JANECKI

demokrację, zostaną osądzeni. To nasza deklaracja”. Narracja o łamaniu konstytucji i prawa jest tylko usprawiedliwieniem dla radykalnych działań odwracających reformy PiS i stawiających autorów tych reform (w rozumieniu PO i Schetyny zamachowców na ustrój III RP) przed czymś w rodzaju nadzwyczajnego trybunału rewolucyjnego, a przynajmniej specjalnych sądów.

Groźby pod adresem rządzącej Zjednoczonej Prawicy Schetyna wypowiadał podczas prawie każdego publicznego wystąpienia od 2016 r., szczególnie na posiedzeniach Rady Krajowej PO oraz na wiecach i marszach. Na wiecu Komitetu Obrony Demokracji 16 lipca 2017 r. mówił: „Obiecuję jedno: że po wyborach ich rozliczymy”. 1 lipca 2017 r. straszył: „Odpowiedcie za to wszystko, co dzisiaj robicie”. Podczas Marszu Wolności 6 maja 2017 r. groził: „Po zwycięskich wyborach ci wszyscy, którzy łamali prawo, odpowiedzą za to. Rozliczymy ich!”. A szef klubu PO Sławomir Neumann dodawał: „Chcę powiedzieć urzędnikom, członkom PiS-u, [...] nie wszyscy zdołacie uciec”.

Porównanie strategii Schetyny do postępowania jakobinów i bolszewików narzuca się z tego powodu, że podobna jest spirala radykalizacji i irracjonalizacji. Pod koniec XVIII w. we Francji początkowo łagodny Klub Bretoński (powstały w 1789 r.) przemianowany na Stowarzyszenie Przyjaciół Konstytucji ewoluował w skrajnie radykalną, krwiożerczą dyktaturę. Najpierw tylko straszono rządzących żyronistów, potem ich masowo aresztowano, a na końcu ścinano ich na gilotynie. Podobnie było z bolszewikami w Rosji: najpierw tolerowali ludzi starego systemu, a potem przystąpili do ich masowej eksterminacji. Jeszcze kilka miesięcy temu specjalne sądy czy rodzaj Berezki Kartuskiej dla rządzącego PiS wydawały się tylko strachami na Lachy, po radykalizacji Schetyny i stałym dążeniu do radykalizacji ulicy coraz więcej „rewolucjonistów” uznaje je za normalny program. A początkiem procesu jakobinizacji PO i Schetyny są listy proskrypcyjne dotyczące różnych środowisk, które „oddolnie” powstają. Towarzyszą im zapowiedzi izolacji tych, którzy „zagrożą praworządności, spokojowi społecznemu i bezpieczeństwu Polski”. Warto przypomnieć, że utworzone 12 lipca 1934 r. Miejsce Odosobnienia w Berezie Kartuskiej też początkowo miało tylko izolować „osoby zagrożące bezpieczeństwu, spokojowi i porządkowi publicznemu”. A gdy już istniało, stało się najważniejszym narzędziem prześladowania politycznych przeciwników i odwetu na nich.

KALENDARIUM „SZALEŃSTWA”

29 sierpnia 2018 r. „szaleństwo” Schetyny przybrało postać powszechnego referendum dotyczącego m.in. wprowadzenia do konstytucji instytucji impeachmentu prezydenta RP. Ale to właściwie tylko pretekst do uzasadnienia pomysłu usunięcia z urzędu nie każdej głowy państwa, lecz konkretnie prezydenta Andrzeja Dudy. Niczego innego nie można się było spodziewać, skoro w kwietniu 2018 r. Schetyna wystąpił z pomysłem przygotowania Aktu odnowy Rzeczypospolitej, czyli prawa hurtowo anulującego wszystko to, co ustawami zmieniało Prawo i Sprawiedliwość. Pomysł ten, jako powielenie pomysłów jakobinów i bolszewików, przeraził nawet sprzyjającą PO prof. Ewę Łętowską, sędzię w stanie spoczynku Trybunału Konstytucyjnego.

Idea Aktu odnowy Rzeczypospolitej była z kolei konsekwencją tego, że w marcu 2018 r. przewodniczący Schetyna zradyzalizował swoje stare groźby zemsty, odwetu i rozliczeń PiS. 25 marca 2018 r. napisał na Twitterze: „Nie odpuścimy tym, którzy złamali konstytucję, zrujnowali autorytet polskiego prawa, a sądownictwo upartyjnili. Dziś deklaruje: Platforma nie powtórzy błędów i postawi przed wymiarem sprawiedliwości tych, którzy łamali prawo. Muszą to wiedzieć”. 27 marca 2018 r. powtórzył: „Publicznie zapowiedziałem, że wszyscy, którzy łamią dziś w Polsce prawo, konstytucję,

ZAKŁADNIK MICHNIKA I NIEMIECKICH MEDIÓW

Do irracjonalizacji i radykalizacji PO oraz jej przewodniczącego, co określa się mianem „szaleństwa” Schetyny, prowadzi wiele nakładających się procesów. Najmniej ważny, choć mający znaczenie historyczne, jest nacisk środowisk wywodzących się z tej części „Solidarności”, która opowiedziała się po stronie Lecha Wałęsy. Radykałem jest sam patron tej grupy, ale też takie osoby, jak Władysław Frasyniuk, Jerzy Borowczak, Henryka Krzywonos, Jan Lityński czy Henryk Wujec. Wałęsa nawoływał do wyrzucania ludzi obecnej władzy przez okna, do ich represjonowania i izolowania. Frasyniukowi marzył się jakiś rodzaj partyzantki. To środowisko to jednak egzotyka. Znacznie poważniejsza jest presja tzw. młodych wilków w PO, których Schetyna nie zneutralizował, wystawiając w wyborach samorządowych (zrobił to tylko z Rafałem Trzaskowskim w Warszawie i Sławomirem Nitrasem w Szczecinie). Prym wiedzie tu Bartosz Arłukowicz, wręcz opętany przez negatywną kampanię przeciw PiS, zaangażowany w kolportaż „konstytucyjnych” gadżetów. Arłukowicz jest przykładem największej irracjonalizacji tej grupy nacisku na przewodniczącego PO. Tą samą ścieżką podążają Jan Grabiec, Arkadiusz Myrcha i jego żona Kinga Gajewska, Agnieszka Pomaska, Joanna Mucha, Michał Szczerba. Wydawało się, że Schetyna zneutralizował ich na początku 2017 r., głównie swoim radykalizmem, a teraz się okazuje, że dla nich przewodniczący partii jest za mało radykalny. Chcąc się przed nimi bronić, Schetyna sam się radykalizuje, choć nie popada jeszcze w takie stany jak Arłukowicz.

Największy wpływ na irracjonalizację i radykalizację Schetyny wydaje się mieć środowisko „Gazety Wyborczej”. Nie tylko na każdym kroku egzaminuje go ono z radykalizmu i konsekwencji w wojnie totalnej z PiS, lecz wymusza też na nim coraz większe skrajności ideologiczne, głównie lewicowe. Środowisko „GW” Schetyny nie lubi, gdyż nigdy nie był on „ich”, ale skoro wygrał walkę o przywództwo w PO i generalnie na opozycji, stara się go opleść wieloma zależnościami i rozliczać ze swoich postulatów, co najczęściej robi faktyczny naczelny Jarosław Kurski. Ale przede wszystkim środowisko „Wyborczej” radykalizuje część posłów PO oraz część elektoratu tej partii, żeby te stawiały przewodniczącemu kolejne żądania. Za cenę posiadania takiego kanału wpływania na opinię publiczną jak „GW” i jej portale Schetyna idzie na różne koncesje, choć to posiadanie jest iluzoryczne, bo w każdej chwili te media mogą przystąpić do frontalnego ataku na niego. Zresztą na bieżąco robią wiele, by poddawać go jakiemuś rodzaju postępowej reedukacji.

Skutek jest taki, że Schetyna sądził, iż to on wykorzystuje „GW” do swoich celów, gdy tymczasem jest w coraz większym stopniu jej zakładnikiem. A przez to także jej politycznych koncepcji, w których nie ma miejsca dla PiS u władzy. Dla mediów Adama Michnika liczą się nie tylko cele



polityczne, lecz przede wszystkim fizyczne przetrwanie, bowiem kolejne lata w opozycji zagrażają pozycji biznesowej tego środowiska, znajdującego się w poważnym kryzysie. Ono ma więcej do stracenia niż Schetyna, dlatego stara się go radykalizować i uzależniać od siebie, żeby potem stawiać coraz więcej warunków.

Początkiem procesu jakobinizacji PO i Schetyny są listy proskrypcyjne dotyczące różnych środowisk, które „oddolnie” powstają

Warunki stawiają też Schetynie niemieckie media w Polsce. Owszem, oferują mu one swój wielki potencjał (Onet, Interia, RMF FM, „Fakt”, „Newsweek Polska”, regionalne dzienniki grupy Polska Press), ale nie bezwarunkowo. Gdy tylko Schetyna nie spełnia ich oczekiwań i wymagań, natychmiast pojawiają się krytyczne materiały. Nawet w PO mówi się o bodźcowaniu Schetyny przez niemieckie media w Polsce. Za tym wszystkim kryje się interes Berlina: jeśli nie odsunięcia PiS od władzy, to maksymalnego utrudnienia mu rządzenia. Schetyna nie cieszy się nawet ułamkiem tego zaufania, jakie w rządzie Niemiec oraz w centralach niemieckich mediów miał Tusk, dlatego jest na bieżąco bodźcowany. A to sprawia, że w coraz większym stopniu staje się zakładnikiem także tych mediów. I podobnie jak w wypadku mediów Michnika, nie może się wyzwolić z tej zależności, bo służy ona utrwaleniu jego dominującej pozycji po stronie opozycji oraz umacnianiu pozycji lidera własnej partii.

Do tego trzeba dolożyć większe znaczenie mediów dla samego Schetyny, wynikające z marginalizacji ulicy oraz ugrzęźnięcia zagranicy w procedurach (Komisja Europejska, TSUE), przez co oba te czynniki straciły rewolucyjny potencjał. Gdy Schetyna mógł bardziej liczyć na ulicę i zagranicę, mógł mniej ulegać medialnej presji. Obecnie nie ma właściwie wyjścia, tym bardziej że zagranica istnieje właściwie tylko poprzez obraz kreowany przez środowisko „Gazety Wyborczej” oraz poprzez niemieckie media w Polsce.

STRATEGIA „SZALEŃSTWA”

Irracjonalizacja i radykalizacja PO oraz jej lidera prowadzą do tego samego po stronie elektoratu Platformy, co jeszcze zwiększa presję na Schetynę, żeby coraz bardziej popadał w skrajności i „szaleństwo”, aby radykalizowanych wyborców zadowolić. Ta spirala jest o tyle niebezpieczna, że „szaleństwo” rządzi się swymi prawami i już prowadzi do posunięć niewyobrażalnych jeszcze kilka miesięcy temu, np. pomysłu impeachmentu. Z jednej strony Schetyna się radykalizuje w kategoriach czysto politycznych, ale z drugiej – przekracza granice powagi i staje się groteskowym liderem opozycji, także w kategoriach politycznego „wariactwa”. Efekt jest taki, że Schetyna i PO zaczynają odstraszać centrum i umiarkowanych wyborców, jednocześnie torując drogę jakiejś nowej formacji – centrowej, centro-lewicowej lub lewicowej. I może o to właśnie chodzi różnym grupom interesu i nacisku oraz różnym lobby, które dotychczas Schetynę wspierały. Poprzez eskalację „szaleństwa” w końcu przewodniczącego PO skompromitują, co osłabi Platformę i ułatwi utworzenie jakiegoś nowego ugrupowania. Nieprzypadkowo niektóre media tak nachalnie lansują obecnie Roberta Biedronia i jego nowy ruch mający się objawić w lutym 2019 r., czyli w sam raz w perspektywie wyborów parlamentarnych jesienią 2019 r. Może więc popychanie PO i Schetyny w „szaleństwo” jest całkiem przemyślaną strategią.

REKLAMA

wSIECI
HISTORII

Nowe wydanie w kioskach
od piątku



 DOŁĄCZ DO NAS NA FACEBOOKU. WWW.FACEBOOK.COM/WSIECIHISTORII



Magdalena Klim podczas protestu Obywateli RP, KOD i Strajku Kobiet. Warszawa, okolice Sejmu, 18 lipca 2018 r.

Punkt dla prowokatora

Trzy lata nieustannych prowokacji ze strony antypisowskiej opozycji podniosły temperaturę emocji w Polsce na niebezpiecznie wysoki poziom. Jednak jeśli prawica ulegnie bojowym nastrojom, antypisowcy znajdą się o krok od zwycięstwa



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Zakłócanie uroczystości państwowych i spotkań wyborczych nie jest w dzisiejszej Polsce niczym nowym. Prowokacje były stałą metodą działania palikociarzy atakujących tłum modlący się po katastrofie smoleńskiej na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie (można

tutaj przypomnieć choćby postać niejakiego Andrzeja Hadacza). Później, już po objęciu władzy przez PiS w 2015 r., podobną taktykę przyjęli Obywatele RP. Ich lider Paweł Kasprzak wprost mówił, że „kiedy zagrożone jest prawo do demonstracji, to w jego obronie należy stawać raczej właśnie tam, gdzie jeszcze pozwalają”, co oznacza publiczne nawoływanie do łamania prawa.

Istotą działania antypisowskich bojówek jest bowiem prowokacja. Najpierw chodziło o sprowokowanie policji do użycia siły po to, aby przedstawić jej działania w zagranicznych mediach jako represje reżimu wobec opozycji.

Gdy ta taktyka okazała się wobec policji nieskuteczna, bojówkarze zaczęli ją stosować wobec zwolenników PiS.

„RUDA” WKRACZA DO AKCJI

W Warszawie szczególnie aktywna na tym polu okazała się Magdalena Klim, nazwana od koloru włosów „Ruda z KOD”. „Ruda” stała się bohaterką niezliczonych filmów umieszczanych w internecie. Na jednym z nich wyraźnie podekscytowana wpada do miejskiego autobusu, wykrzykuje tam do zaskoczonych pasażerów antypisowskie hasła, a po chwili – zanim autobus zamknie drzwi i odjedzie z przystanku

– wysiada i spokojnie odchodzi. Na innym wywołuje awanturę na spotkaniu z kandydatem na prezydenta Warszawy Patrykiem Jakim. Jej największym „osiągnięciem” było – jak dotąd – chamskie popchnięcie starszego mężczyzny, który ośmielił się jej zastąpić drogę, również podczas spotkania z Jakim. Wydaje się, że „Ruda” cierpi na jakąś obsesję na punkcie Patryka Jakiego, regularnie podąża jego śladem, czeka na niego ulicy i gdy tylko polityk Zjednoczonej Prawicy pojawi się na horyzoncie, energicznie wkracza do akcji. Po każdej rozróbie chętnie wypowiada się do kamery i jest z siebie wyraźnie dumna.

Klim oficjalnie nie przyznaje się do członkostwa w żadnej organizacji. Jak mówi, jej „korzenie” są w KOD. „Przychodzę na spotkania z Jakim i z innymi politykami PiS, bo chcę zamianifestować obywatelską postawę i zawalczyć o normalność” – tłumaczy w rozmowie z portalem naTemat.pl.

NAKRĘCANIE SPIRALI

Nic dziwnego, że niestroniąca od agresji fizycznej, a przy tym ostentacyjnie bezkarna „Ruda” zaczęła działać na wielu stronników PiS jak czerwona płachta na byka. 1 września podczas uroczystości z okazji Dnia Weterana na placu Piłsudskiego w Warszawie doszło w końcu do incydentu. Do skandującej wraz z grupką antypisowców roześmianej Magdaleny Klim podeszła kobieta i publicznie ją spoliczkowała. I choć po chwili uśmiech zniknął „Rudej” z twarzy (zaczęła wzywać policję na pomoc), to można powiedzieć, że – w pewnym sensie – odniosła zwycięstwo. Bo udało jej się wreszcie sprowokować „prawicowego wroga” do reakcji.

Niestety, ta reakcja była niewłaściwa. Nie tylko dlatego, że „Ruda” zamieniła się w oczach antypisu w „męczennicę” i że antypis ma wreszcie dowód na to, że zwolennicy prawicy też są agresywni. A nawet nie tylko dlatego, że rękoczyn nie są metodą rozwiązywania sporów – tutaj prawica, wbrew krzykliwej propagandzie, miała przecież ogromną przewagę nad antypisem, wykazując

się wobec chamskich zaczepek anielską wręcz cierpliwością. Przede wszystkim chodzi o to, że przejście po obu stronach od agresji słownej do fizycznej nakręca spiralę przemocy, a to może wprowadzić konflikt w Polsce na znacznie bardziej niebezpieczny poziom. Niebezpieczny nie tylko jeśli chodzi o rosnącą temperaturę emocji, lecz również w kategoriach politycznych. Wdając się w spontaniczne bitwy z prowokatorami, prawica może się znaleźć w oczach szerokiej – niezaangażowanej w politykę – opinii publicznej na prostej drodze do tego, aby zrównać się wizerunkowo z antypisowskimi „oszołomami” organizującymi przy każdej okazji burdy.

Bezkarność prowokatorów opiera się na wsparciu ze strony zagranicy oraz poczuciu, że „sądy są nasze”. Gdyby było inaczej, większość z nich straciłaby swoją dzisiejszą „odwagę”

Dobrze rozumie to zagrożenie minister spraw wewnętrznych Joachim Brudziński, który zaraz po spoliczkowaniu „Rudej” oświadczył, że „absolutnie potępia” taką reakcję wobec agresywnej demonstrantki. „Odpowiedzią na agresję werbalną nie może być agresja fizyczna” – dodał.

FRUSTRACJA ROŚNIE

Oświadczenie Joachima Brudzińskiego nie zadowoliło jednak najbardziej krewkich zwolenników konfrontacji po obu stronach barykady. W przypadku antypisowców jest to poniekąd zrozumiałe, skoro strategią tego obozu jest nieustanne dążenie do starcia. Jednak bojowa reakcja części zwolenników PiS daje do myślenia. Otóż wielu z nich uważa i dzieli się tymi spostrzeżeniami publicznie, że rządząca prawica jest

zbyt miękka. Że mają dość ciągłego nadstawiania drugiego policzka. Że nie są w stanie spokojnie znosić niekończących się obelg, kłamstw i bezkarnego szargania wyznawanych przez nich wartości. Słowo „bezkarne” jest tutaj słowem kluczowym. Część prawicowej opinii publicznej ma bowiem wrażenie – wydaje się, że dość uzasadnione – że rząd, starając się uniknąć kłopotów np. na arenie międzynarodowej, zbyt powściągliwie egzekwuje prawo wobec swoich przeciwników. Że, mówiąc wprost, najlepiej byłoby im pewnego dnia spuścić zasłużone manto, rozgonić i wytoczyć procesy. A skoro tak się nie dzieje, to – jak twierdzą – trudno się potem dziwić, że pojawiają się ludzie, którym puszcza nerwy. Dlatego też Dominika Arendt-Wittchen, była pełnomocniczka wojewody dolnośląskiego ds. obchodów 100. rocznicy niepodległości, której puściły nerwy i uderzyła w twarz „Rudą”, stała się dla niektórych zwolenników PiS niemalże bohaterką narodową i mściwiecą za doznawane upokorzenia.

Niezależnie od krytycznego stosunku do agresji fizycznej nie lekceważyłbym tych nastrojów. Pokazują one bowiem, że być może niewiele nas dzieli od przekroczenia masy krytycznej i utraty kontroli nad społecznymi emocjami.

Do tej pory znajdowały one swoje ujście w internecie, głównie w mediach społecznościowych, które codziennie są zalwane falą pomyj pod adresem – w zależności od poglądów autorów – czy to rządzącej prawicy, czy antypisowców. Poziom werbalnej agresji zaczął się jednak wylewać coraz szerszym strumieniem z wirtualnej rzeczywistości do realnego świata. W pewnym momencie może wystarczyć tylko iskra, aby doszło do wybuchu.

ZACHOWAĆ ZIMNĄ KREW

Nic dziwnego, że od chwili zwycięstwa PiS w wyborach Jarosław Kaczyński bardzo sceptycznie odnosił się do pomysłów organizowania kontrmanifestacji mających być odpowiedzią na demonstacje najpierw KOD, a potem jego pogrobowców. Istniało bowiem zbyt duże

ryzyko konfrontacji między obydwoma grupami, co – rzecz jasna – byłoby potem wykorzystane przeciwko rządowi.

Ta ostrożność, zarówno w kwestii „policzenia się na ulicy”, jak i w przypadku działań policji wobec antypisu, bywa odbierana przez część zwolenników prawicy jako nieuzasadnione przejście do defensywy, a nawet jako rodzaj niesprawiedliwości („oni tacy grzeczni wobec nas nigdy nie byli”). Nawet niniejszy artykuł może być potraktowany przez niektórych czytelników jako przesadnie koncyliacyjny. Iskądinąd słusznie, bo antypisowcy nie mają w zwyczaju roztrząsać problemów związanych z agresją w ich szeregach, nie kają się, nie przepraszają, gdy ktoś z ich strony poniosą nerwy. Przeciwnie, arogancko uważają to za właściwą reakcję oburzonego obywatela.

Mimo tych uwag spuszczenie narzeczonych emocji z łańcucha byłoby nierozważne. Słabość antypisowskiej opozycji nie polega bowiem tylko na braku jakiegokolwiek pozytywnego programu, lecz jest również skutkiem awanturnictwa i agresji tego środowiska. Przeważająca część Polaków oczekuje od parlamentarnej większości nie ciągłych potyczek, ale sprawnych rządów. Antypisowcy – świadomie bądź mniej świadomie – o tym wiedzą, dlatego próbują uniemożliwić prawicy efektywne rządzenie. Bitwy uliczne, samosądy, byłyby ukoronowaniem ich kilkuletnich dążeń do zdestabilizowania życia publicznego w Polsce. Na to nikt rozsądny nie może się zgodzić, nawet nie tyle w obronie obecnej ekipy rządzącej, ile po prostu w trosce o własne państwo.

GDZIE JEST ROZWIĄZANIE?

Czy to jednak oznacza, że obóz rządowy jest bezbronny wobec prowokatorów? Niezupełnie. Konieczne jest jednak bardziej konsekwentne stosowanie prawa. Oczywiście można się spodziewać tutaj obstrukcji ze strony sądów, czego dowodem jest niedawne uniewinnienie Władysława Frasyniuka, który podczas jednej z nielegalnych blokad organizowanych przez Obywateli RP drwił sobie z legitymujących go policjantów (w innej sprawie – o udział Fra-

syniuka w nielegalnej blokadzie – uniewinniający wyrok został uchylony przez sąd wyższej instancji). Jednak uniewinniające – mimo złamania prawa – orzeczenia sądów nie muszą wcale oznaczać zwycięstwa antypisowskiej opozycji. Wręcz przeciwnie, w oczach wielu zwykłych (zwykłych, czyli zdystansowanych od bieżących sporów) Polaków są one dowodem na upolitycznienie sądownictwa i nierówne traktowanie obywateli przez sądy. Dają zatem rządzącej prawicy dodatkowy, nośny społecznie, argument za reformą sądów.

Bezkarność prowokatorów opiera się bowiem przede wszystkim na wsparciu

ze strony zagranicy oraz poczuciu, że „sądy są nasze”. Gdyby było inaczej, większość z nich straciłaby swoją dzisiejszą „odwagę”. Rozwiązanie problemu znajduje się więc nie na ulicy – do czego dąży antypisowska opozycja – ale w sprawnej dyplomacji (Unia Europejska) i w dokonaniu reformy sądów. Na pewno są to arcytrudne zadania dla rządu. Ale uleganie emocjom w niczym tu nie pomoże, wręcz przeciwnie. Dlatego nie warto się cieszyć z tego, że „Ruda” dostała „na co zasłużyła”. Bo chodzi o coś znacznie ważniejszego niż o ukaranie jednej – zresztą chyba niezbyt zrównoważonej – prowokatorki.

REKLAMA

RMF CLASSIC
OD 15 LAT
NAJPIĘKNIEJSZA
MUZYKA FILMOWA

TITANIC

15
RMF Classic

www.rmfflclassic.pl

najpiękniejsza muzyka filmowa

30/08/18/F

Pieniądze zobowiązują

Odkąd Marek ogłosił start w wyborach, czuję się tak, jakbyśmy wsiedli do pociągu, który pędzi na oślep i nie zatrzymuje się na żadnej stacji. Nasze życie rodzinne stanęło teraz na głowie

Z Markiem Jakubiakiem,
kandydatem Ruchu Kukiz '15
na prezydenta Warszawy
i prezesem Browarów Regionalnych
Jakubiak, oraz wiceprezes tej firmy
Irminą Ochenkowską
rozmawia Dorota Łosiewicz

Zdjęcia: Zuzanna Kruschewska



Pan chce zostać prezydentem Warszawy, pani Irmina kandyduje do sejmiku województwa mazowieckiego. Mało państwu pracy w browarze?

Marek Jakubiak: Wcale nie cieszysz mnie to, że Irmina kandyduje, ale ona jest twórczynią struktur Kukiz '15 w okręgu 16., prowadziła kampanię ruchu w Ciechanowie i okolicach, więc decyzja o kandydowaniu jest dość naturalna. Boję się jej wejścia do polityki, bo wystarczy, że mnie to zżera emocjonalnie. Tracę czas na jałowy spór, którego racjonalnie myślący człowiek nie może pojąć, np. o to, czy bić się na Dniu Weterana, czy się nie bić. Przestaję się od tego wszystkiego uśmiechać. Nie chciałbym, żeby Irmina też przestała, bo ma piękny uśmiech. Na szczęście, gdy jesteśmy razem, dużo się śmiejemy i to się nie zmienia.

Irmina Ochenkowska: Odkąd Marek ogłosił start w wyborach, czuję się tak, jakbyśmy wsiedli do pociągu, który pędzi na oślep i nie zatrzymuje się na żadnej stacji. Nasze życie rodzinne stanęło teraz na głowie. Media, spotkania w sztabie, obmyślanie strategii. Marek jest najlepszym możliwym kandydatem na prezydenta Warszawy, cieszę się więc, że startuje. Z drugiej strony z niecierpliwością wyglądam 20 października, czyli dnia ciszy wyborczej. Czekam, kiedy to wszystko się uspokoi.

Po co wam więc ta polityka? Moglibyście leżeć gdzieś na jakiejś bajecznej plaży i niczym się nie przejmować.

M.J.: To prawda, nawet zastanawialiśmy się przez chwilę nad kupnem domu w Portugalii.

I.O.: Domy tam nie są takie drogie i nie jest tam znowu tak daleko.

M.J.: Jednak powód, dla którego jesteśmy w polityce, to sprzeciw, bunt. On nas doprowadził do Pawła Kukiza, choć miałem zaproszenia na listy ze wszystkich partii. Nie zgadzamy się na marketing gospodarczy zalatujący Gierkiem. Ludzie dadzą się nabrać tylko raz. Ja dałem się nabrać PO i już nigdy na nią nie zagłosuję. Miały być JOW, 3 x 15, wyższa kwota wolna od podatku. I nic. PiS ludzie też się rozczarują.

I.O.: Czasem w polityce potrzebny jest ogląd kogoś z zewnątrz. Zajmuję się dużym biznesem i wiem, czego potrzebują polscy przedsiębiorcy, by żyło im się lepiej. Nasz start w wyborach to także kwestia patriotyzmu, miłości do ojczyzny i tego, że jeśli coś można dla niej zrobić, to nie wolno siedzieć bezczynnie.

M.J.: Miałbym wyrzuty sumienia do końca życia, gdybym wiedział, że mogłem coś zrobić dla Polski, żeby zmienić rzeczywistość, ale nie zrobiłem nic.

Polityka więc was łączy, a co was połączyło przed polityką?

I.O.: Poznaliśmy się na strzelnicy wojskowej i „wystrzelaliśmy się w siebie”. To było przy okazji zawodów, ja byłam w drużynie kobiecej, Marek w męskiej. Moja drużyna zajęła ostatnie miejsce, Marka pierwsze i...

M.J.: ...musiałem ją pocieszyć [śmiech].

I.O.: Strzelanie wciąż jest naszą wspólną pasją, mamy nawet u siebie małą strzelnicę. Bierzymy udział w różnych zawodach.

M.J.: A ja mogę opowiedzieć tę historię romantycznie? To była jesień. Było zimno. Podszedłem do drużyny dziewczyn, żeby pogadać, i zobaczyłem, że najładniejsza z nich siedzi na murku i się trzęsie. Otuliłem ją kurtką. Na szczęście potem musieliśmy się spotkać, żeby tę kurtkę odebrać. I tak to trwa od kilkunastu lat. Cały nasz świat jest wspólny. Biznes, dom, polityka...

Pani jest wiceprezesem browarów. Jakim szefem jest Marek Jakubiak?

I.O.: Jest wymagający. Wysoko stawia poprzeczkę sobie i innym. Ale daję sobie z nim radę. Czasem stawiam na swoim, sprzeciwiam się, przedstawiam swój punkt widzenia. Czasem się kłócimy. Kiedyś mieliśmy wspólny gabinet, pracowaliśmy biurko w biurko. Później przenieśliśmy się do dwóch osobnych pokoi, połączonych drzwiami i te drzwi często waliły.

M.J.: To może dlatego, że mam większe doświadczenie w biznesie i czasem muszę gasić entuzjazm Irminy. Realizujemy tylko realne plany. Irmina jest bardzo pojętnym uczniem, ma bardzo dobre pomysły, ale często angażuje w pracę zbyt dużo emocji. Czasem jest zbyt dobra dla innych. Tam, gdzie pokazała serce, zawsze dostała po plecach. W biznesie trzeba stosować zasadę ograniczonego zaufania.

Poznaliśmy się na strzelnicy wojskowej i „wystrzelaliśmy się w siebie”

Skoro o pomysłach mowa, to czym pomysłem było sprzedanie Browaru Tenczynek Januszowi Palikotowi?

M.J.: W biznesie poglądy mają mniejsze znaczenie. Nie widziałem w tej transakcji niczego złego. Kiedyś miałem do Palikota sentyment, o mały włos bym na niego zagłosował. Był przedsiębiorcą i mówił jak przedsiębiorca. Odbiło mu w drugiej kadencji. Zaczął latać ze świniakami i wibratoremami w rękę. Wcześniej mówił całkiem rozsądnie. Później zaczął stosować marketing jak w biznesie, pomylił swoje życiowe funkcje. Powiedziałem mu to prosto w oczy i przyznał mi rację. Jednak Palikot obiecał mi, że wyjdzie z polityki, żeby nie było kolizji. I słowa dotrzymał.

I.O.: Bardzo nas prosił, żebyśmy mu ten browar sprzedali, miał wobec niego plan i wizję rozwoju.

M.J.: Finalizacja transakcji zajęła półtora roku, ale wszystko zostało doprowadzone do końca.

I.O.: Palikot popełnił ten błąd, że za szybko poszedł z tym do mediów i to też odbiło się atakiem na Marka. A tak naprawdę w biznesie mniej ważne są poglądy, a ważniejsze jest to, czy ktoś jest wypłacalny, czy ma wizję itd. Palikot wizję miał, miał też dobre intencje. Przekonał nas, że zależy mu na tej transakcji, miał pomysł na marketing, miał ludzi do pracy. Słowa dotrzymał. Cały czas mu kibicuję, widzę, jak rozwija

się ta inwestycja, i się tym cieszę. Gdy zauważam billboard „Tenczynek”, to się do niego uśmiecham.

M.J.: Inwestorów było wielu. Uznaliśmy, że lepiej sprzedać część siebie (takie trochę nasze dziecko) Polakowi niż obcemu kapitałowi. A oferta była od Belgów, Niemców itd. Teraz scenariusz się powtarza. Wystawiliśmy na sprzedaż Lwówek Śląski. I znów jest podobny dylemat. Palikot zrobił to dla syna, więc była pewność, że firma nie upadnie, nikt jej np. nie podpali dla odszkodowania...

A wy co zostawicie synowi i starszym dzieciom pana Marka?

M.J.: Mój najstarszy syn objął browar w Bojanowie, a małemu budujemy browar w Darłowie.

I.O.: W tym roku wbijemy łopatę pod ten nowy browar, mamy tam już minibiuro. W przyszłym roku wszystko powinno być gotowe i mam nadzieję, że niedługo napiję się piwa z Darłowa.

Denerwuje mnie miałość polityki,
unikanie urażenia kogokolwiek,
bezsensowny bełkot

Jak odnajduje się kobieta w browarze?

I.O.: Pracuję tam już ponad 10 lat. To prawda, że tam są głównie mężczyźni. Mamy jedną panią piwowar, panie są też w administracji. Nigdy jednak od nikogo nie usłyszałam, że browar to nie jest miejsce dla kobiet. W firmie nikt nie kwestionuje moich kompetencji. Zdarzało się, że ludzie z zewnątrz dziwili się, że jakaś „paniusia” im tu z pomysłami wyskakuje. Ale po krótkiej wymianie zdań okazywało się, że może i to „blondyna”, ale coś tam wie. Lubię to, co robię. To jest pasja.

Stoją za wami służby?

M.J.: Za mną stoi Irmina. A ja stoję za nią. Jeśli zaś chodzi o generała Leona Komornickiego, który był kiedyś członkiem rady nadzorczej, to nie kto inny jak premier Olszewski do spółki z panem Macierewiczem go awansowali. A teraz pan Macierewicz chodzi po mieście i opowiada głupoty. Gen. Komornicki jest prezesem Fundacji Poległym i Pomordowanym na Wschodzie. Wiele w życiu przeszedł i zrozumiał. Ale przecież nie może być tak, że wszyscy, którzy żyli w starym systemie, mają teraz popełnić samobójstwo. Gen. Komornicki służy Polsce, nowej Polsce, został pozytywnie zweryfikowany.

Jak się żyje z takim szowinistą jak Marek Jakubiak? Tabloidy podejrzwały, że pani nosi siatki z zakupami, a nie pan poseł...

I.O.: Prawdą jest, że wtedy to ja niosłam tę siatkę. Ale ja nie lubię robić zakupów.

M.J.: Ja też nie lubię.

I.O.: Ale to ty częściej chodzisz do sklepu. A wtedy miałam w siatce białe pieczywo i kielbasę. Nie jesteśmy na żadnych dietach, nie odchudzamy się [śmiech].

M.J.: Nie jestem szowinistą. Wszyscy ludzie mają jakąś rolę do odegrania na świecie, jednak nie dzielę tego na płeć. Kobiety są dowodem na to, że Bóg istnieje, a mężczyźni, którzy mówią, że rozumieją kobiety, wyśmiewam na stojąco. Mam wielki szacunek dla kobiet. Uwielbiam przebywać w ich towarzystwie, świetnie mi się z nimi pracuje. Są ambitne, punktualne, zdyscyplinowane.

Czy jest coś czego Marek Jakubiak nie robi w domu?

I.O.: Jedna rzecz. Nie wstawia pralki. Nie lubi, nie umie, nie wie...

M.J.: A co to jest pralka? [śmiech]

Jak pani znosi polityczne ataki na życiowego partnera, np. oskarżenia o molestowanie?

I.O.: To jest trudne, ale chyba najtrudniej było w latach 2014–2015. Teraz już okrzeplam, do pewnych rzeczy się przyzwyczaiłam, stwardniała mi skóra. Jeśli chodzi o zarzuty o molestowanie, to oczywiście zapytałam, czy to prawda, jednak, gdy usłyszałam, że o żadnym molestowaniu mowy być nie może, uznałam, że taka jest prawda. Znam Marka i mu ufam. Wiem, że jest wiele osób, które chcą mu zaszkodzić.

M.J.: Nie da się całkiem ochronić rodziny przed atakami z zewnątrz. Jednak w moim przypadku one nie są jakieś ogromne. Właściwie nie mam negatywnego elektoratu. Nie czuję się ani lepszy, ani gorszy, rozmawiam z ludźmi ich językiem. W zestawieniu polityków z negatywną oceną społeczną uplasowałam się na ostatnim miejscu. Przecież nawet tu, na wejściu [rozmawiamy w jednej z warszawskich kawiarni – przyp. red.]



podszedł do mnie człowiek, powiedział, że jest z Nowoczesnej, ale chciałby uścisnąć moją dłoń. Nie szukam wrogów, tylko rozwiązań, nie chcę dzielić, tylko łączyć.

Może nie ma pan negatywnego elektoratu, ale na pewno opinię polityka kontrowersyjnego.

M.J.: Bo mówię, co myślę, nie owijam w bawełnę. Nie należę do ludzi, którzy gadają przez pół godziny, żeby nic nie powiedzieć. Szybko określę cele do realizacji i sposoby ich osiągnięcia. Natychmiast wyciągam wnioski. Może czasem za wcześnie. Nauczyłem się już trochę milczeć. Denerwuje mnie miałość polityki, unikanie urażenia kogokolwiek, bezsensowny belkot. Jeśli powiedzenie o kimś, że jest durniem, bo coś tam zrobił, jest kontrowersyjne, to może jestem kontrowersyjny.

I.O.: Raczej jesteś szczery, spontaniczny, bezpośredni. Jak Marek jest oburzony, to oburza się dosadnie i nie każdemu ten rodzaj oburzenia musi się podobać. Nikt z nas nie lubi krytyki i ci krytykowani mogą być niezadowoleni.

M.J.: Tematy, które mnie szczególnie mocno dotyczą, mogą mnie doprowadzić do wyrażania najmocniejszych stwierdzeń, to dzieci i ojczyzna. Jestem chory, jak dzieciom dzieje się krzywda, mogę być wtedy groźny.

Skoro jesteście przy dzieciach, to jakim ojcem jest Marek Jakubiak?

M.J.: To zależy od tego, o jakim okresie życia mówimy. Teraz bardziej dojrzałem do ojcostwa. Nigdy nie uderzyłem dziecka, uważam, że krzyk nie przynosi żadnych efektów, trzeba jasno wytyczać granice i wymagać, ale nie bić ani nie krzyżeć.

I.O.: Marek jest wspaniałym ojcem. Nawet za dobrym, bo rozpieszcza naszego syna i o to się często sprzecamy. To ja trzymam wszystko żelazną ręką. Markowi w wychowaniu brak konsekwencji.

M.J.: Między Irminę i Mieszka wkraczam, gdy między nimi iskry lecą i wtedy staram się uspokoić sytuację. Ale oni są jednością, tworzą mentalną całość, czasem sobie dokuczają, ale jak przesadzą, to się wtrącam.

Wróćmy jeszcze do tej kontrowersyjności. Wiele środowisk zarzuca panu homofobię, pana kariera polityczna zaczęła się od akcji wylewania Ciechana...

M.J.: Kocham ludzi w ich różnorodności i kolorycie. Kiedyś na antenie TVN24 redaktor Andrzej Morozowski pytał mnie o homofobię, byłem w studiu z Pawłem Rabiejem i zapytałem go na antenie, czy kiedyś spotkała go jakaś przykrość z mojej strony, po tym jak przyznał w Polsacie, że jest homoseksualistą. Przyznał, że nigdy, i powiedział, że wręcz odwrotnie, więc mu powiedziałem, żeby nie przesadzał. Nic mnie nie obchodzi, kto z kim śpi i kto kogo kocha. Jednak robienie z tego mody, nachalne promowanie, wprowadzanie tego jako normy to moment, kiedy trzeba powiedzieć: „Stop”. Normą jest prokreacja, dziecko w rodzinie, wnuczek. To jest norma.

I.O.: Marek jest tolerancyjny, ale jest pewna granica, której przekroczenie go denerwuje. Za to jak się z kimś zaprzyjaźni, to już jest kumpel na całe życie.



Kobiety są dowodem na to, że Bóg istnieje, a mężczyźni, którzy mówią, że rozumieją kobiety, wyśmiewam na stojąco

M.J.: Mam przyjaciół jeszcze z przedszkola, z podstawówki. Moi przyjaciele z Warszawy na pewno na mnie zagłosują.

Podpiszecie się pod zdaniem, że pieniądze szczęścia nie dają?

M.J.: Powiedzmy, że nie przeszkadzają w szczęściu.

I.O.: Nie powiem, że pieniądze nie są w życiu potrzebne, bo wyszłabym na hipokrytkę. Pomagają realizować marzenia. Są jednak sprawy od pieniędzy ważniejsze: zdrowie i miłość. Tych dwóch rzeczy nie da się kupić za żadne pieniądze.

M.J.: Kiedyś musimy w końcu zacząć konsumować, może wybierzemy się na jakąś emeryturę. Na razie spieniężamy to, co mamy, żeby wybudować coś nowego, a łatwo nie jest. Nasz sektor finansowy jest nieprzygotowany do realizacji takich potrzeb jak nasze. Możemy dostać dużo za dużo albo dużo za mało. Albo wszystko zastawić. To słaby pomysł. A premier Morawiecki nie chce posłuchać prezesa Jakubiaka, że trzeba odblokować środki wypracowywane w spółkach. Pieniądze na pewno zobowiązują. Łączą się z odpowiedzialnością społeczną. Trzeba pomagać. Ostatnio podczas aukcji wylicytowałem garnitur za 7 tys. zł.

I.O.: Nie z rozrzutności, tylko żeby wesprzeć budowę domu dla dzieci pozbawionych rodziców. Trzeba umieć używać pieniędzy w dobrym celu.

Gorące krzesło w pałacu prezydenta



Fot. Andrzej Witko

Dymisja Krzysztofa Łapińskiego – trzeciego już w tej kadencji rzecznika prezydenta Andrzeja Dudy – to potwierdzenie, że w polityce Pałacu Prezydenckiego coś zgrzyta. Jakie są kulisy tej decyzji?



MARCIN FIJOŁEK

Na gorącym krześle rzecznika prezydenta Krzysztof Łapiński wytrzymał 16 miesięcy. Wcześniej półtora roku w tej roli pracował Marek Magierowski, który dziś sprawuje urząd ambasadora Rzeczypospolitej w Izraelu. Z kolei przed Magierowskim krótko z tym zadaniem zmagala się dziennikarka Katarzyna Adamiak-Sroczyńska. Na tle ostatniej dwójki Łapiński miał nieco mocniejszą pozycję – pracował w randze sekretarza stanu, miał też w pewnym momencie realny wpływ na politykę głowy państwa i przekaz, jaki wychodził z Pałacu.

Ale to właśnie utrata tej kontroli nad medialną polityką Andrzeja Dudy miała być jedną z przesłanek, dla których Krzysztof Łapiński podał się do dymisji. To dość banalny powód, ale coraz

częściej zdarzały się sytuacje, w których prezydent swoją aktywność planował bez porozumienia z rzecznikiem (lub choćby poinformowania go), a ten miał to odbierać osobiście. Podobne historie zdarzały się zresztą już wtedy, gdy rzecznikiem był Magierowski.

Odejście Łapińskiego odbiło się jednak sporym echem. Jego zwolennicy zwracają uwagę na skuteczność polityka. – Prezydent traci swojego najlepszego ministra. „Łapa” potrafił otwierać Pałac na dobre pomysły i szersze spojrzenie, a w tym przypadku dobry pieniądz będzie wypierany tylko przez gorszy – mówi jeden z polityków sympatyzujących z byłym już rzecznikiem. Krytycy zwracają jednak uwagę, że „Łapa” unikał codziennej, mozolnej pracy, a zamiast budowy i koordyna-

cji profesjonalnego biura prasowego wolał się zajmować polityką w klimatach rodem z serialu „House of Cards”. – To prawda, umiał pójść do programu Moniki Olejnik czy Dominiki Wielowieyskiej i nie dać się zagadać, odierać argumenty. Ale to tyle, nic ponad to. I co nam z tego przychodziło w dłuższej perspektywie? – słyszę od innego z urzędników Pałacu.

ZASKAKUJĄCA DECYZJA

Z otoczenia Andrzeja Dudy płyną głosy zarzucające Łapińskiemu brak klasy przy decyzji o odejściu – o swoim ruchu miał poinformować prezydenta telefonicznie, a gdy ten chciał jeszcze o sprawie porozmawiać, miał usłyszeć, że Łapiński jest w Krynicy, a przecieki

medialne zostały już uruchomione. – Po 40. roku życia u wielu mężczyzn zaczyna być widoczny kryzys wieku średniego, ale u Krzysztofa zaskakująco szybko zaczął dawać o sobie znać – żartuje jeden z prezydenckich ministrów, gdy pytam go o całą sprawę.

Dymisja była zaskoczeniem zarówno dla otoczenia głowy państwa, jak i polityków Prawa i Sprawiedliwości. Sam Łapiński nie był przesadnie lubiany w PiS – szeregowi politycy tej partii odbierali jego wypowiedzi jako aroganckie, bez pokory. Według nich zachowywał się zawsze tak, jakby uważał, że znalazłby lepszą strategię niż ta, która była obecnie przyjęta. Umiął też pójść pod prąd i stanąć za prezydentem – na przekór przekazowi, który obowiązywał w partii. Dla jednych to świadectwo odwagi, dla drugih konieczność pokazania się na rynku medialnym.

Sam zainteresowany jak mantrę powtarza opowieść o dobrej współpracy z prezydentem i o naturalnych zmianach. „Chcę swoje doświadczenie zdobyte w polityce, w kontaktach z mediami wykorzystać na polu biznesowym. Mam swoje plany na przyszłość, które nie są związane z polityką” – powiedział w rozmowie z portalem wPolityce.pl.

KIERUNEK BIZNES

Zarówno w samym Pałacu Prezydenckim, jak i w kuluarach sejmowych mówi się głośno o scenariuszu, w którym Krzysztof Łapiński do spółki z Marcinem Mastalerkiem mieliby utworzyć agencję PR. I że od dobrych kilku tygodni takie przygotowania trwały. Pytamy o sprawę Mastalerka. – To bzdury, nic takiego nie miało miejsca. W ostatnich dniach w stu procentach moja uwaga skupia się na oczekiwaniu na córkę, mam też inne plany zawodowe niż PR. Ale współpracy z Krzysztofem nie wykluczam, to świetny profesjonalista, na dziś jednak tematu nie ma – deklaruje w rozmowie z „Sieci”.

Takiej deklaracji trudno się zresztą dziwić, bo obaj panowie współpracują z sobą od ponad dekady – najpierw jeszcze na szczeblu polityki lokalnej i kampanijnej, a później już w Warsza-

wie. Sam Mastalerek bywał częstym gościem w Pałacu Prezydenckim, gdzie nieformalnie doradzał prezydentowi w codziennych politycznych ruchach. Ale na krok dalej i powrót do pełnokrwistej polityki się nie zdecydował. Przynajmniej na razie.

A wracając do możliwości pracy w branży public relations, jeden z ważniejszych polityków Prawa i Sprawiedliwości zwraca uwagę na szerszy problem: – Przykład Adama Hofmana zawrócił niektórym w głowie. Uważają, że trochę znajomości i obycie medialne wystarczą do tego, by otwierać kolejne agencje i zarabiać trzy–cztery razy więcej niż dotychczas. Łapiński może się na tym sparyć.

Nowym rzecznikiem Andrzeja Dudy będzie Błażej Spychalski

Pojawiają się też inne głosy. – Tak czybyć, przejsie z Pałacu do PR niektórzy potraktują jako cyniczne wykorzystanie tej pracy do zdobycia znajomości, które mogą się przełożyć na konkretne pieniądze w branży marketingowej. I trudno się temu dziwić – mówi jeden z obserwatorów tego, co się dzieje w Pałacu.

WALKA FRAKCJI

Ważnym tłem odejścia Krzysztofa Łapińskiego był realny spór między rzecznikiem prezydenta a tzw. krakowskim środowiskiem, bliskim prezydentowi od lat. „Ich zażyłość z Pierwszym [tak mówi się o prezydencie w Pałacu – M.F.] polega głównie na sentymentach i znajomości sprzed kilku dekad”. Na czele tej wpływowej w Pałacu grupy ma stać Krzysztof Szczerski, szef gabinetu prezydenta. Na uwagę, że mógł się przyczynić do dymisji Łapińskiego, Szczerski żartuje: – Politycznie schlebia mi legenda o kosiarzu ludzi, ale nie stałem za tą dymisją.

I nieco złośliwie dodaje: – To nie jest kraj dla słabych emocjonalnie, a praca z najlepszymi jest wymagająca.

Wewnętrzne spory między frakcjami w Kancelarii Prezydenta nie są niczym nadzwyczajnym, wręcz przeciwnie – raczej potwierdzają regułę, że trudno utrzymać pełną spójność i stabilność pracy w dużym Pałacu. – To nie tylko personalny, lecz przede wszystkim systemowy problem – mówi mi osoba pracująca na co dzień przy Krakowskim Przedmieściu. Według tej teorii brak harmonii przekazu płynącego z KPRP to efekt w większym stopniu złego rozłożenia pracy i obowiązków, a nie jednego czy drugiego nazwiska. – I dlatego nie ma większego znaczenia, jakie nazwisko zastąpi Łapińskiego. Wejdzie w te same buty, utopi się w tych samych problemach – słyszymy. Prezydent Duda ma jednak na głowie tyle spraw i tak napięty kalendarz, że niewiele robi z koordynacją własnego zaplecza. Słychać, że o możliwości rzucenia papierami myślą w kancelarii kolejni urzędnicy, często grający we własne gierki.

Rozedrganie i nadsterowność kancelarii głowy państwa były widoczne także w czasach Lecha Kaczyńskiego. Prezydentura Andrzeja Dudy nie jest na tym tle wyjątkiem – w otoczeniu głowy państwa nie brakuje osób grających na siebie i traktujących własne ambicje priorytetowo. Niestety dla prezydenta często dzieje się to kosztem jego interesów.

W polityce nie ma ludzi niezastąpionych – dla jednych dymisja Krzysztofa Łapińskiego będzie ulgą i otwarciem nowego etapu w prezydenturze Andrzeja Dudy, co pozwoli im wpływać w bardziej znaczący sposób na politykę głowy państwa, inni przy tym przetasowaniu będą musieli się pogodzić z przesunięciem na dalsze pozycje. Z pewnością jednak kolejne odejście rzecznika nie służy stabilizacji wizerunku głowy państwa. Średnia zmian jest zaś taka, że kolejny rzecznik może nie doczekać do kampanii przy ewentualnej walce o reelekcję. No, chyba że w strukturze pracy Pałacu coś się zmieni, na co jednak się nie zanosi. Możemy się zatem spodziewać permanentnej rotacji personalnej i nieustannych zmian strategii. A może po prostu nad Pałacem przy Krakowskim Przedmieściu wisi małe fatum i pracować inaczej się tam nie da?

Rodzina papieża na Powązkach!

Udało się odnaleźć w stolicy grób pradziadka św. Jana Pawła II, Mikołaja Kaczorowskiego. Tak się złożyło, że to niezwykle odkrycie zbiega się z jubileuszem 40-lecia pontyfikatu papieża Polaka

MILENA KINDZIUK

Na najstarszej nekropolii Warszawy, zaledwie 500 metrów od bramy głównej cmentarza Powązkowskiego, wśród mogił tysięcy znamienitych Polaków, w kwaterze 185 znajduje się niepozorny XIX-wieczny, chociaż odnowiony, grobowiec. Na nim napis: „Grób Kaczorowskich”. A na tablicy nagrobnej nazwiska pochowanych tam osób. Na pierwszym miejscu „Śp. Mikołaj Kaczorowski, żył lat 75, zm. 7-VII-1872 r.”. To pradziadek papieża ze strony jego matki, Emilii Wojtyłowej, z domu Kaczorowskiej.

Skąd wiadomo, że nie jest to tylko zbieżność nazwisk? Potwierdzają to inne dokumenty. Ale też genealogia rodu Jana Pawła II ze strony jego matki nie pozostawia tu żadnych wątpliwości.

RÓD Z MAGNUSZEWA NA MAZOWSZU

Pochowany na Powązkach pradziad św. Jana Pawła II to barwna i ciekawa postać. Mikołaj Kaczorowski pracował jako stangret znanego rodu hrabiów Zamoyskich, dlatego przebywał w wielu miejscowościach należących do tej rodziny, rozsianych w różnych stronach kraju. Tak zwana Ordynacja Zamoyskich stanowiła wówczas swoiste „państwo w państwie”: założoną jeszcze przez hetmana Jana Zamoyskiego pod koniec XVI stulecia, rozwijała się przez

wieki, została zlikwidowana dopiero przez władzę ludową w roku 1944.

Mikołaj urodził się w 1797 r. w dobrach Zamoyskich w Magnuszewie, także na Mazowszu. Tam spędził dzieciństwo i wczesną młodość. Tam jego ojciec Jan Kaczorowski (1741–1827), prapradziadek Jana Pawła II, zajmował się ogromną stadniną hrabiego, hodującą konie nie tylko na potrzeby Ordynacji, lecz również wojska. Właśnie z Magnuszewa na Mazowszu pochodzą najstarsze znane dziś ślady rodziny papieża ze strony matki. Chyba zdawał sobie z tego sprawę sam Jan Paweł II, który do grupy pielgrzymów z Magnuszewa miał kiedyś powiedzieć w Rzymie: „To mój ród niedaleko stamtąd!”.

Pochodzenie Mikołaja Kaczorowskiego z Magnuszewa, a także jego śmierć w Warszawie potwierdza zapis w „Księdze zmarłych” z 1872 r. prowadzonej w parafii św. Krzyża przy Krakowskim Przedmieściu: „7 lipca 1872 roku Piotr Archiciński i Tomasz Kaczorowski mieszkający w Warszawie zgłosili, że tego dnia rano o godzinie 11 w Warszawie pod numerem 1323, zmarł Mikołaj Kaczorowski, emeryt lat 75, urodzony w Magnuszewie, który pozostawił żonę Urszulę Malinowską”.

Zapis potwierdza, że Mikołaj Kaczorowski, pochowany na cmentarzu na Powązkach, pochodził z Magnuszewa. Wspomniana Urszula Malinowska była



drugą żoną Mikołaja, którą poślubił, gdy pracował w majątku Zamoyskich w Michałowie. Ślub odbył się w 1842 r. w kościele św. Mikołaja w Szczepiechowie – jak potwierdzają to tamtejsze księgi parafialne.

W każdym razie nie ma wątpliwości co do tożsamości Mikołaja Kaczorowskiego, zmarłego w Warszawie 7 lipca 1872 r. i pochowanego na Powązkach. Z zachowanych dokumentów wynika to jasno.

Ale idźmy dalej.

STANGRET HRABIÓW ZAMOYSKICH

Mikołaj Kaczorowski wprawdzie nie pozostał w rodzinnym Magnuszewie, ale odziedziczył zawód swego ojca. Zajmował się stadninami Zamoyskich, był też stangretem hrabiego. Pracował w różnych dobrach w ramach Ordynacji Zamoyskich. Wiadomo, że przez jakiś czas przebywał w majątku w Maciejowicach na Lubelszczyźnie. To tam poznał swą przyszłą pierwszą żonę Franciszkę Kurzawę, z którą ożenił się w 1826 r.



Milena Kindziuk odnalazła na warszawskich Powązkach grób Mikołaja Kaczorowskiego, pradziadka św. Jana Pawła II

wym hrabia został karnie zmuszony do opuszczenia miasta), z nim udał się tam również jego stangret – Mikołaj Kaczorowski. Mieszkał w posiadłości hrabiego. Na co dzień mógł się przyglądać jego działalności, obserwował, jak Andrzej Zamoyski prowadził działalność patriotyczną i angażował się w prace społeczne, jak obejmował redakcję „Roczników Gospodarstwa Krajowego” czy tworzył żeglugę na Wiśle.

Gdzie dokładnie mieszkał pradziadek papieża? Otóż hrabia Andrzej Zamoyski przeniósł się wtedy wraz z rodziną z Pałacu Błękitnego do zakupionej i przebudowanej kamienicy pałacowej przy Nowym Świecie 67/69. Tam powstał Dom Interesów Andrzeja Zamoyskiego, zwany popularnie pałacem Zamoyskich. Tam też mieszkał stangret hrabiego Mikołaj Kaczorowski. Najprawdopodobniej w latach 1854–1859.

Potwierdza to spis ludności Warszawy z 1854 r. Mikołaj Kaczorowski jest w nim zapisany jako „mieszkaniec domu (pałacu) przy ulicy Nowy Świat, nr 1245b, którego właścicielem jest Andrzej Zamoyski”. W dokumencie wymienione jest główne zajęcie Mikołaja: stangret.

W tym okresie Mikołaj Kaczorowski był też związany z pobliską parafią św. Krzyża przy Krakowskim Przedmieściu. Zresztą jak Andrzej Zamoyski, który w 1858 r. ufundował znaną do dziś symboliczną figurę Chrystusa dźwigającego krzyż.

PONOWNIE ZAMOJSZCZYZNA

W wieku 62 lat Mikołaj Kaczorowski przeszedł na emeryturę – został tzw. gracialistą – i powrócił do Michalowa, gdzie wciąż mieszkała jego rodzina: żona i kolejne dzieci: Stanisław (ur. 1843), Tomasz (ur. 1844), Janina (ur. 1846), Feliks (ur. 1949), Jan (ur. 1857), Franciszka (ur. 1859). W 1865 r. urodził się jego ostatni syn, Kazimierz.

Emerytura pradziadka Jana Pawła II była jednak zbyt mała, by mógł z niej utrzymać wielodzietną rodzinę (w su-

Zamieszkali razem w Maciejowicach, gdzie w następnym roku, 1827, urodził się ich pierwszy syn Antoni, ochrzczony także w tamtejszym kościele.

Okolo roku 1831 wraz z hrabią Andrzejem Zamoyskim Mikołaj Kaczorowski przybył na wschodnie rubieże ówczesnego Królestwa Polskiego – do Klemensowa pod Szczeczeszynem (20 km od Zamościa). Poza swym głównym pałacem hrabia dzierżał tam inne pobliskie majątki. Jednym z nich był przyległy do zespołu pałacowego w Klemensowie folwark w Michalowie. To właśnie tam pradziadek papieża pracował jako opiekun stadniny, a także jako stangret hrabiego. W tamtejszej stadninie, tak jak wcześniej jego ojciec w Magnuszewie, zajmował się końmi, karmił je, dbał o ich wygląd, o czystość, codziennie je pielęgnował. Ale też pracował przy powozach. Sporządzał również pisemne raporty ze swej pracy, co świadczy o tym, że musiał być wykształcony.

W Michalowie stopniowo powiększała się też jego rodzina: w 1832 r. urodziła się córka Zofia, w 1836 r. na świat przyszedł syn Konstanty, a w 1838 r.

kolejny syn, Jan. W 1841 r. zmarła jego pierwsza żona. Po roku ożenił się po raz drugi ze wspomnianą już Urszulą Malinowską. Ślub odbył się 17 kwietnia 1842 r. w kościele św. Mikołaja w Szczeczeszynie (parafia ta obejmowała także Michalów, dlatego w niej odbywały się chrzty, śluby i pogrzeby członków rodziny Kaczorowskich). Rok później w tym kościele odbył się chrzest ich syna Stanisława – zachowany akt chrztu wymienia ojca dziecka jako „stangreta z Michalowa”.

Mikołaj Kaczorowski pracował w Michalowie do roku 1853. Sprawował w tym okresie różne funkcje. Był nie tylko stangretem, lecz również szynkarzem, gajowym szlakowym, karbowym, wreszcie zarządcą pobliskiego folwarku w Zawadzie, ciesząc się szacunkiem i zaufaniem hrabiego.

DOM I PARAFIA W WARSZAWIE

W końcu trafił do Warszawy. Gdy bowiem rząd rosyjski okolo 1854 r. zezwolił Andrzejowi Zamoyskiemu na powrót do stolicy (po powstaniu listopado-

mie jednenaścioro dzieci), dlatego podjął starania o dodatkową pracę.

Zachowało się pismo Mikołaja Kaczorowskiego z prośbą o zatrudnienie, skierowane „do Wielmożnego Rządcy Klucza Zwierzynieckiego”, czyli do zarządcy Ordynacji Zamoyskich znajdującego się w Zwierzyńcu. Warto przytoczyć ten list w oryginalnej pisowni:

Lat przeszło trzydzieści kilka strawiłem na usługach Jaśnie Wielmożnych Hrabów Zamoyskich i dziś przyszło tak, że nie mam gdzie pomieścić i swojej rodziny i siebie.

Otoż właśnie wiedząc że w Kluczu W-go Rządcy mógłbym się pomieścić na posiadzie gajowego, czy to szlakuowego lub innego, przychodzę oto z mą prośbą aby Wielmożny Rządca nie raczył odmawiać proszącemu lecz owszem skutek pożądanym nadal, gdyż do tego kroku rzeczywista potrzeba mnie zmusiła. Jeszcze raz błagając Wielmożnego Rządcę o nadanie skutku mej prośbie zostaje z wysokim uszanowaniem Mikołaj Kaczorowski.

Michałow d. 2 Lipca 1859 r.

Prośba ta została rozpatrzona pozytywnie. Zamoyscy przyznali mu funkcję gajowego – szlakowego na szlaku bodaczowskim (Bodaczów to sąsiednia miejscowość za Klemensowem). Pełnił ją przez sześć lat.

POWRÓT DO STOLICY

Po zakończeniu tej pracy w 1865 r. Mikołaj Kaczorowski ponownie przeniósł się do Warszawy, wraz z żoną. Tym razem zamieszkał u swego brata Tomasza Kaczorowskiego. W międzyczasie bowiem zmieniło się położenie hrabiego Andrzeja Zamoyskiego, który został wciągnięty w konflikt z władzami carskimi. Z okna jego pałacu zrzucono kilka bomb na powóz przejeżdżającego Nowym Światem carskiego namiestnika gen. Fiodora Berga. Zamach nie powiódł się, namiestnik uszedł z życiem, ale budynek został zdemolowany przez wojsko rosyjskie. To wtedy właśnie carscy żołnierze wtargnęli na trzecie piętro pałacu Zamoyskich, gdzie mieszkała Izabella Barcińska, młodsza siostra Fryderyka Chopina. Przecho-

wywała pamiątki po bracie, m.in. fortepian, na którym grał. Żołnierze wyrzucili sławny instrument przez okno na bruk. To wydarzenie zainspirowało później Cypriana Kamila Norwida do napisania słynnego wiersza „Fortepian Chopina”.

Po tych zdarzeniach, we wrześniu 1862 r., hrabia Zamoyski musiał się stawić w Petersburgu i tam otrzymał od cara Aleksandra II rozkaz opuszczenia Królestwa Polskiego. Skazany na wygnanie, z Petersburga udał się do Paryża, potem do Drezna. Natomiast syn hrabiego został zesłany na Sybir.

Dobra Zamoyskich w Warszawie zostały skonfiskowane. Także domy, wśród nich dwa budynki przy ul. Nowy Świat, wraz z przylegającymi do nich ogrodami i gruntami, by – jak głosił restrykt – ukarać Polaków „buntowszczyków”. Dlatego Mikołaj Kaczorowski zamieszkał w stolicy u brata, w mieszkaniu w centrum Warszawy, położonym na terenie parafii św. Krzyża. Po sześciu latach u niego w domu zmarł. Był 7 lipca 1872 r. Msza święta pogrzebowa pradiadka papieża została odprawiona

Pradiadek św. Jana Pawła II mieszkał w pałacu Zamoyskich przy Nowym Świecie w Warszawie. Był też związany z parafią św. Krzyża

w kościele św. Krzyża przy Krakowskim Przedmieściu. Spoczął na Powązkach.

W tym czasie jeden z jego synów – Feliks urodzony w 1849 r. w Michałowie na Zamojszczyźnie – przebywał w Krakowie. Tam bowiem mógł znów być stangretem hrabiego Andrzeja Zamoyskiego, który osiadł w zaborze austriackim po latach tułaczki, wygnany przed laty na rozkaz cara Aleksandra II. Gdy hrabia zmarł w 1874 r. (pochowany w Krakowie na cmentarzu Rakowickim, w 1923 r. przeniesiono jego prochy do podziemi warszawskiego kościoła św. Krzyża), Feliks Kaczorowski na krótko

przeniósł się do Białej – obecnie Bielesko-Biała. Tam poznał Marię Annę Scholz i zawarł z nią związek małżeński w 1875 r., ale ostatecznie zamieszkał z nią w Krakowie. Doczekał się dziewięciorga dzieci. Czwartym dzieckiem była Emilia, urodzona 26 marca 1884 r. w Krakowie, ochrzczona 13 kwietnia 1884 r. To przyszła matka Jana Pawła II. Ona też w Krakowie poznała podoficera Karola Wojtyłę seniora, którego batalion w tym czasie stacjonował w tym mieście i z nim zawarła związek małżeński w 1906 r. w kościele garnizonowym świętych Piotra i Pawła przy ul. Grodzkiej.

* * *

Nie wiadomo, kto obecnie opiekuje się grobem rodziny Kaczorowskich w Warszawie, w którym spoczywa również pradiadek papieża. Nie wie tego także miejscowy proboszcz ks. Marek Gałęziewski. – Z racji tego, że na Powązkach nie ma opłat za groby, ich właściciele nie muszą się zgłaszać do parafii i dlatego ich nie znamy – informuje.

Mimo to grób nie zostanie zlikwidowany, został bowiem zarejestrowany w roku 1947 (po zakończeniu II wojny światowej istniał obowiązek rejestracji grobów w związku z zaginięciem dokumentacji), prawdopodobnie przez kogoś z rodziny (brak zapisu nazwiska).

Dokumentacja potwierdza natomiast, jak informuje Wiesław Pedrycz z zarządu cmentarza Powązkowskiego, że w tym samym grobowcu odbył się tzw. dochówek. W 1980 r. spoczęła tu kolejna osoba, Zofia Panona. Nie ma jednak po niej śladu na tablicy nagrobnej. Jedyne dwa znicze i sztuczne żonkile w wazonie na płycie grobowej mogą świadczyć o tym, że ktoś grób odwiedza.

Należy mieć nadzieję, że grób pradiadka papieża będą odwiedzać też inni. I że znajdzie się on na mapie Warszawy wśród miejsc związanych ze św. Janem Pawłem II.

Dr Milena Kindziuk jest adiunktem na UKSW w Warszawie, autorką biografii Emilii Kaczorowskiej-Wojtyłowej „Matka Papieża”; przygotowuje biografię Karola Wojtyły seniora

Rozbrójdmy teraz te miny

W następnej kadencji przyjdzie zmęczenie PiS-em. I wtedy może on mieć interes w znalezieniu lewicowego partnera

*Piotr Skwieciński rozmawia z **Rafałem Woś**, przez trzy ostatnie lata członkiem zespołu „Polityki”, publikującym też w portalu *Gazeta.pl* i „Dzienniku Gazecie Prawnej”*

Fot. Andrzej Wiktoria

Po twoim ostatnim tekście, w którym wezwales niezależną lewicę do współpracy z PiS, spotkała cię fala hejtu. Leszek Balcerowicz określił cię słowami „kryptopisowiec, moralny daltonista”. Czyba nie mogłeś się niczym bardziej narazić opinii po waszej stronie niż tym artykułem...

Rafał Woś: Reakcja Balcerowicza mnie nie dziwi – pozostaje z nim w fundamentalnym sporze dotyczącym nie-demokratycznego przeprowadzenia i fatalnych ekonomicznie skutków

polskiej transformacji. Nie zgadzam się z tezą, że to sukces wszystkich. Nie od dziś z tych powodów Balcerowicz niezbyt ładnie mnie przeżywa.

Tak czy inaczej, runęła na ciebie nawała potępienia. Łączę ją z wieloma tekstami publicystycznymi po stronie liberalnej, których wspólnym mianownikiem jest wyprzedzające uderzenie w młodą lewicę – jako historycznych chłopaczków i panienki z bogatych domów, których dorośli muszą zagnać do jedynie słusznego

ogródka walki z PiS i czci wobec jedynie słusznych autorytetów III RP. Zniechęć natomiast do budowania jakichś własnych programów.

Jestem zaprzeczeniem tego stereotypu, bo pochodzę z niezamożnej prowincji, z tej perspektywy obserwowałem III RP i powstawanie polskiego kapitalizmu. I w jakiejś mierze stąd moje postrzeganie Polski sprzed 2015 r. jest inne niż warszawskich liberałów. Natomiast polityczny sens tego, co nazwałeś nawałą potępienia wobec mnie, widzę podobnie. Nie tylko mnie

to spotyka. Grzegorz Sroczynski też się regularnie naraża twardogłowym, bo ośmiela się wpuszczać do Gazety.pl tzw. tamtą stronę. A najnowszy przykład tego samego zjawiska to artykuł „Newsweeka”, w mętny sposób zarzucający Robertowi Biedroniowi tolerowanie afery pedofilskiej w podległym słupskiemu ratuszowi domu kultury. Najpierw Biedroń odrzucił propozycję współpracy z Koalicją Obywatelską i powiedział, że chce budować coś swojego. Zaraz potem oberwał materiałem grającym na obrzydliwym homofobicznym skojarzeniu „gej = pedofil”. Naprawdę trudno czytać to inaczej, jak próbę dyscyplinowania nowej lewicy.

Ale ty przekroczyłeś, z ich punktu widzenia, ostateczną granicę. Przecież nikt prócz ciebie po tamtej stronie nie napisał, żeby współpracować z PiS!

Chciałem w ten sposób powiedzieć lewicy, że jak z góry przyjmie tezę, że wasza strona chce ich tylko zniszczyć i wysłać do więzień, to efekty będą katastrofalne właśnie dla podmiotowości lewicy. Od lat jest w Polsce tak, że liberałowie uważają lewicę za swoją przystawkę. Wiedzą, że lewica trochę pokrzykzy, a potem przyzna z zaciśniętymi zębami, że nie można trwonić głosów na Razem, Śpiewaka czy innego Biedronia. Bo przecież trzeba zatrzymać PiS. Dla liberałów to idealna logika. Dla lewicy – skazywanie siebie na brak politycznej podmiotowości i niezależności.

I stąd ta konkluzja o konieczności współdziałania lewicy z PiS?

Maksymalnie dla mnie pozytywna reakcja ludzi ze środowisk lewicowych na to, co napisałem, brzmi: powinniśmy iść własną drogą, niezależnie od PO i PiS. Brzmi to pięknie i sam tą drogą staram się iść. Ale to jest idealne dla publicysty, obserwatora. A nie dla ludzi, którzy chcą zmieniać świat, a nie tylko go opisywać. Spójrzmy teraz, co się stanie, jak dopuścimy gotowości do rozmowy z tzw. prawicą, czyli z wami. Co tracimy? Nic. Przecież nikt nie mówi, żeby się do PiS zapisywać albo się w nim rozpuszczać. Zyskujemy za

to poszerzenie pola politycznego działania. Podmiotowość. Własny głos.

Ponieważ niezależnej lewicy nie ma w Sejmie, to współpraca mogłaby, według ciebie, polegać – jak rozumiem – na przykład na zaproszeniu do współpracy jej działaczy czy związanych z nią specjalistów w tych dziedzinach, w których obie strony mają zbliżone podejście, jak choćby w rozmaitych sprawach reformy społecznej czy działaniach Inspekcji Pracy. Ale na jakiej podstawie uważasz tę wizję za realną, skoro nie tylko tego nie ma, lecz PiS w ogóle nie wysyła do niezależnej lewicy jakichkolwiek sygnałów zdradzających możliwość współdziałania?

Teraz rzeczywiście tego nie ma. Ale liczę bardziej na przyszłość. Na czas drugiej kadencji rządów PiS. Wtedy przyjdzie zmęczenie tą partią, tak jak w drugiej kadencji PO przyszło zmęczenie Platformą. I wówczas może się otworzyć pole do współpracy, bo PiS może zacząć czuć własny interes w znalezieniu lewicowego partnera. Oczywiście pod warunkiem, że do tego czasu PiS nie zatraci się bez reszty w upojeniu własnym sukcesem i nie wpadnie na pomysł, by raz zdobytej władzy nigdy już nie oddać. Co – mam nadzieję – nie nastąpi.

Czyli nawiązując współpracę z niezależną lewicą PiS, według ciebie, rozbroiłoby teraz miny, które nierozbrojone mogą być dla niego groźne dopiero w przyszłości. Tylko że jak na razie nic nie wskazuje na to, żeby niezależna lewica mogła się stać zauważalną siłą.

Liczę na odłożony w czasie, a niezamierzony przez PiS efekt programu 500+. Który to program uważam za słuszny, bo emancypuje swoich beneficjentów. W tym sensie, że wolność ekonomiczna jest podstawą korzystania z wolności politycznej. Byt określa świadomość – jak nie masz poczucia stabilności ekonomicznej na podstawowym poziomie, to polityką się nie interesujesz, poza może momentem wyborów raz na cztery lata. Dlatego ci odbiorcy 500+, już wyemancypowani,

nie będą wiecznie z wdzięczności elektoratem PiS, tylko zaczną w pewnym momencie zadawać pytania. Na przykład o wolne sądy, o rozmaite nominacje...

Twierdzisz, że wszystkich, którzy mają czy zyskują szerszy horyzont, muszą zaniepokoić te elementy polityki PiS, które liberalna opozycja uważa za antydemokratyczne? Przecież tak nie jest.

Nie, chodzi o to, że będzie przybywać ludzi niezwiązanych emocjonalnie z III RP, a zarazem zdolnych do zajmowania krytycznego stanowiska wobec status quo. Czyli wobec władzy politycznej, ale też ekonomicznej, jak banki czy szerzej – wszelkie elity. W tym te, które wy nazywacie elitami III RP. Co stworzy pole do rozwoju dla niezależnej lewicy.

Zaproponowałeś jednak nie tylko, aby lewica zaczęła współpracować z PiS, lecz i to, że ma to zrobić po to, żeby „wspólnie z Kaczyńskim budować demokratyczny socjalizm”. Naprawdę uważasz, że Kaczyński chciałby budować – już niezależnie z kim do spółki – jakikolwiek socjalizm?

Demokratyczny socjalizm rozumiem nie jako wskrzeszanie duchów PRL, tylko jako podniesienie dzielenia się do rangi fundamentalnej politycznej cnoty. Dzielić się trzeba zarówno władzą – dlatego demokratyczny, jak i sukcesem materialnym oraz jego pochodnymi, np. statusem społecznym. Jedno w połączeniu z drugim daje demokratyczny socjalizm. Staram się nie fiksować na Jarosławie Kaczyńskim, bo polityka nie jest jednoosobowa. Istnieje przecież perspektywa sukcesji, a kiedy ona zacznie się realizować, to stanie się ważne nie tylko to, jak myśli sam Kaczyński, lecz też to, jak myślą elity PiS. A wśród nich dostrzegam nurt bliski temu, co nazywam demokratycznym socjalizmem, czyli jakiejś formie przeciwstawienia się obecnej postaci kapitalizmu. Czyli systemu będącego zaprzeczeniem mojej idei dzielenia się. Mój kłopot z PiS polega na tym, że jak dotąd ta frakcja nie ma wyraźnego personalnego uosobienia

– tak jak wolnorynkowy nurt Prawa i Sprawiedliwości ma swoje wyraziste personifikacje w postaci Jarosława Gowina i Mateusza Morawieckiego.

Co jeszcze PiS miałooby zyskać na ewentualnym dogadywaniu się z – jednak marginalną, a ideowo mu daleką – niezależną lewicą? Prócz rozbrojenia hipotetycznych min?

Dzięki dialogowi PiS zwiększyłyby też swoją wiedzę o tym, jaka jest i jak myśli część spośród tych Polaków, którzy nie są po jego stronie. A takie zwiększenie wiedzy to jest zawsze samodzielną wartością. Tymczasem po waszej stronie jest mentalny szlaban: wy zupełnie nie rozumiecie tych, których uważacie za swoich arcywrogów.

A czy wasza strona, ta antypisowska, lepiej rozumie tę propisowską?

Na pewno nie. To jest jakiś mentalny i antydemokratyczny korkociąg, z którego koniecznie trzeba wyjść. Bo przecież u was też nie ma klimatu do rozliczania swoich.

Dlaczego tak mało się rozumiemy?

To w dużej części wina tożsamościowych mediów, po obu stronach. Ich narracja powoduje, że w końcu obie strony przestają wzajemnie dostrzegać w sobie człowieka. A przecież w dużej mierze to publicyści stworzyli ten podział, wymyślili go i w niego potem uwierzyli. Tylko że rzeczywistość jest inna. Kilka miesięcy temu w sondażu dla „Polityki” wyszło, że największy odsetek ankietowanych prosił o ocenę PiS ani go nie potępiał, ani się nie zachwycał, tylko mówił: są dobre i złe strony. Dziennikarzom wydaje się, że jak ktoś poparł w pewnym momencie jakąś formację, to już całym sobą i na całe życie, jak oni. A tak nie jest. Tylko że w swoich mediach obie strony nakręcają się emocjonalnie dzień i noc i kończy się tym, że odczłowieczają tych drugich.

Libańczyk Assad Chافتari, który w czasie tamtejszej wojny domowej był ważną postacią w służbach spec-

jalnych sił chrześcijańskich nacjonalistów, a potem przeżył przełom duchowy i potępił swoje uczynki z przeszłości, twierdzi, że fanatyzmem uczyniły go stronnice gazety, które czytał.

Szedłem do dziennikarstwa, uważając, że jego podstawą jest dialog, rozmowa z innymi. Teraz okazuje się, że w mediach rozmawianie wcale nie jest w cenie. Pamiętam z dzieciństwa taki rysunek. Rok 1410, Grunwald. Z jednej strony pędzą rycerze Jagielly, krzycząc „Bóg z nami”. Z drugiej Krzyżacy z „Gott mit uns” na ustach. Tak nie chcę. Mam wrażenie, że ludzie też nie. Zwróć uwagę, że sprzedaż gazet tożsamościowych spada.

To przez media obie strony przestają wzajemnie dostrzegać w sobie człowieka. To publicyści wymyślili ten podział i w niego uwierzyli

Wszystkim spada.

Ale „Tygodnikowi Powszechnemu” powoli rośnie. Może dlatego że, choć sytuuje się jednoznacznie po jednej ze stron sporu, potrafi się zarazem nie kojarzyć z zapiekłym fanatyzmem? I konsekwentnie stawia na wysoki poziom, wbrew powszechnemu trendowi do upraszczania. Może rośnie liczba czytelników, których odrzuca fanatyzm i głupota? I partyjniactwo. Dla mnie jest oczywiste, że medium opiniotwórcze buduje wiarygodność, będąc czasem w kontrze wobec swojej głównej grupy odniesienia. Ta moja krytyka dotyczy też waszej strony. Dla mnie byliście znacznie ciekawszy, kiedy byliście w opozycji.

Oczywiście nikt nie widzi belki we własnym oku, może i my też, ale zdaniem naszej redakcji jesteście często krytyczni wobec różnych aspektów działań formacji rządzącej, tylko

twoja strona nie chce tego dostrzec. Ale moim zdaniem w swoich pragnieniach, by rozpoczął się dialog, nie doceniasz zjawiska ważniejszego może od wszystkich innych elementów konfliktu: wzajemnego, trzewiowego obrzydzenia kulturowego – wobec „religianckich moherów” i „lewackich gejów”. Ten fenomen chyba uniemożliwia jakiegokolwiek porozumienie.

To, o czym mówisz, to jest strach przed innością. I to jest coś złego. To rzeczywistość istnieje po obu stronach, ale uważam, że to jest sprzeczne z ideą lewicową, która przecież polega na otwarciu się na innego. A ten inny – to wcale nie musi być ktoś obcy w sensie przybycia z dalekich krain. To może być, i najczęściej jest, rodak. Z tym fenomenem trzeba walczyć. I liczę, że po waszej stronie ktoś też to zacznie robić. Bo przecież kiedy się wzajemnie poznamy, to może się okazać, że wcale nie dzieli nas tak wiele. Rozmawiałem ostatnio z przedstawicielami dwóch firm produkujących tzw. odzież tożsamościową – po prawej stronie Red is Bad, a po naszej – Lewacka Szmata. I odkryłem, że choć zaliczają się one do radykalnie przeciwstawnych obozów, to ich diagnozy są podobne. I jedni, i drudzy mówią: „Szyjemy tylko w Polsce”, „Bronimy wspólnoty przed rozbiciem” itd., choć używają różnej frazeologii.

OK, tylko ludzie nie bardzo chcą to dostrzec...

Bo im media zrobiły krzywdę. Nie wykluczam zresztą, że świadomie – może to część operacji leżącej w interesie utrzymania duopolu PO-PiS? W optyce lewicowej was od PO dzieli niewiele. Czasem tyle, co colę i pepsa.

Pisowcy odpowiedzieliby na to, że wiele, bo Platforma to złodzieje, integralnie związani z elitami III RP, a platformersi – że pisowcy to przepełnieni żółcią wariaci i nieudacznicy. Obie strony uważają ten podział za zasadniczy. Ale przede wszystkim – taki podział nie jest specyficzny dla Polski. Istnieje m.in. w USA i na Węgrzech, a tam nie ma PO-PiS...



Fot. Andrzej Wiktor

Ale są tam inne, istniejące również u nas, źródła tej sytuacji. Amerykę, Węgry i Polskę łączy na przykład to, że we wszystkich tych krajach długo i gwałtownie rosły społeczne nierówności. A to zawsze prowadzi do ostrej polaryzacji, bo powoduje bardzo złe procesy mentalne i po stronie beneficjentów, i tych, którzy tracą, czyli większości dolów społecznych. Ci pierwsi odczuwają tych drugich, i gardzą nimi, bo widzą, że ich awans może być zagrożony i w naturalny sposób przyjmują postawę pt. „zyskuję, bo jestem zdolny i lepszy, a tym którzy tracą, nic nie jestem winien, bo oni są naturalnie gorsi”. Ci drudzy zaś nigdy nie uznają, że awans tych pierwszych jest jakoś związany z ich rzeczywistą ciężką pracą i zdolnościami, tylko reagują mniej więcej według wzorca „oni ukradli albo dziadek z SB im pomógł”. A politycy zagospodarowują te emocje po obu stronach. Jeśli wzrost nierówności jest mniej gwałtowny, jak np. w Niemczech, nie ma takiej politycznej polaryzacji.

Może. Tylko jakoś jest tak, że niemal nikt poza tobą nie chce nie tylko porozumienia lewicy z PiS, lecz jest wrażenie, że w ogóle jakiegokolwiek zmniejszenia emocji, jakiegokolwiek dialogu strony prawicowej z tą nastrojoną opozycją. Skoro

tak, to może jest to niemożliwe, bo według zdecydowanej większości Polaków – niepotrzebne?

Nie wykluczam. Ale nawet jeśli tak, to trzeba się o to starać. Dlatego, że dzięki temu staraniu, nawet nieskutecznemu, możemy zminimalizować groźbę urzeczywistnienia się największego zła.

Czyli?

W niemieckiej politologii popularna jest taka interpretacja okoliczności, w której w ZSRR zaczęła się pierestrojka – oto kluczowe było istnienie na Zachodzie Zielonych i, szerzej, tych wszystkich sił, które sprzeciwiały się polityce Reagana, czyli określaniu Rosji mianem „imperium zła”. Bo w Moskwie dzięki temu uznano, że „nie cały Zachód chce naszej zguby”, i to umożliwiło jej otwarcie się na niekonfrontacyjne myślenie. A może wręcz zapobiegło najgorszemu złu, czyli wojnie.

A więc?

A więc bywa tak, że nawet nieskuteczne osłabianie podziału oddala największą groźbę. A co dopiero, gdyby się okazało ono w jakimś zakresie skuteczne i niezależna, niemarginalna i niezamknięta na możliwość współpracy z PiS, a więc zdolna do koalicji z obiema wielkimi stronami konfliktu lewica naprawdę by powstała... Sama taka możliwość po-

wstrzymywałaby najgorsze szaleństwa tych wielkich graczy.

Jakie?

Amerykański politolog Yascha Mounk napisał książkę o dwóch wielkich zagrożeniach XXI w. Pierwszym jest niedemokratyczny liberalizm, który polega na sprowadzeniu parlamentarizmu do zasłony dymnej dla faktycznych rządów plutokracji. Z tym zagrożeniem liberalowie sami sobie nie poradzą. Drugim strachem jest nieliberalna demokracja. I to dotyczy was. To przekonanie, że jesteście dobrem wcielonym i nieomylnym, walczącym z ostatecznym złem, może prowadzić was w kierunku autorytaryzmu. I my chcemy was pilnować. Nie ubezwłasnowalniać, ale właśnie pilnować. Dla dobra nas wszystkich. I jest jeszcze coś. Z niepokojem obserwuję widoczne po liberalnej stronie nastroje, które można by oddać słowami „złe zrobiliśmy, że oddaliśmy władzę”. To jest groźne dla demokracji. Boję się, że po waszej stronie może też wykiełkować podobne myślenie. To nie są lata 30., ale kiedy ktoś, czyli najbardziej zagorzali antypisowcy, bez przerwy wywołuje duchy lat 30., to mogą je w końcu naprawdę przywołać. A to byłby koszmar. A ja chcę mieć pewność, że zrobiłem wszystko, co mogłem, by temu zapobiec. 

A close-up portrait of Quentin Tarantino, wearing dark sunglasses, a white shirt, a dark tie, and a dark suit jacket. He is looking slightly to the side with a subtle smile. The background is blurred, showing other people at what appears to be a film event.

Powrót Tarantino

*Wygląda na to, że **Quentin Tarantino** po dwóch dekadach wraca do klimatu swojego przełomowego filmu „Pulp Fiction”. Czołowy postmodernista kina tym razem dotyka tematu zbrodni w domu Romana Polańskiego. „Pewnego razu w Hollywood” ma zdumiewającą obsadę, w tym polskiego aktora na pokładzie*

Fot. Shutterstock

*Najnowszy film Quentina Tarantino to bardzo tajemniczy projekt.
Film opowiada podobno nie tylko o mordzie ciężarnej żony polskiego reżysera.
Czy będzie to tarantinowskie rozliczenie z latami 60. XX w.?*

Oczywiście nic o scenariuszu nie wiadomo. Gdy do sieci wyciekł tekst poprzedniego filmu Tarantino „Nienawistna ósemka”, reżyser wpadł w szal. Najpierw zapowiedział porzucenie projektu, a potem wraz z aktorami przeczytał publicznie cały scenariusz. Po licznych zmianach nakręcił swój najbardziej nihilistyczny film w karierze. Czy najnowsze dzieło będzie równie szokujące?

„Once upon in Hollywood” to tytuł powstającego właśnie dziewiątego (?) filmu Tarantino. Złote dziecko Hollywood i czołowy postmodernista kina kręci filmy bardzo rzadko. Szokuje świat kina od 26 lat, nie wydając z siebie nawet dziesięciu filmów. Zapowiada zresztą, że po dziesiątym obrazie skończy karierę, bowiem wtedy reżyserzy tracą swoją parę i umiejętności. Nie wiadomo dokładnie, jak Tarantino liczy swoje filmy. W końcu obie części „Kill Bill” liczy jako jeden obraz, zaś w „Czterech pokojach” wyreżyserował tylko jedną nowelę. Skupmy się jednak na nadchodzącym filmie.

SPAGHETTI WESTERNY FOREVER!

Tytuł może sugerować niezmiennie gatunkowe fascynacje tego samouka, który edukację filmową odebrał, pracując w kultowej kalifornijskiej wypożyczalni kaset wideo Video Archives. Gdy filmowy kompan Tarantino (również samouk i osoba lubiąca przekraczać gatunkowe schematy) Robert Rodriguez zdecydował się na nakręcenie długo wyczekiwanej przez kinomanów kontynuacji „Desperado” (1995), Tarantino namówił go, by zatytułował film „Pewnego razu w Meksyku” (2003).

Wszystko przez fascynację spaghetti westernami Sergio Leone. Tarantino w jednym z wywiadów przyznał, że „spaghetti western to najwspanialszy gatunek filmowy”. Gdyby nie ten pogardzany swego czasu przez krytyków filmowy gatunek, nie byłoby całego kina Tarantino. A przecież to gatunek stworzony przez mistrza Leone, który zanim nakręcił swoje oklaskiwane przez mainstream arcydzieła „Pewnego razu na Dzikim Zachodzie” (1968) i „Pewnego razu w Ameryce” (1984), wszedł do kina jako autor tzw. dolarowej trylogii, na którą składają się filmy „Za garść dolarów” (1964), „Za kilka dolarów więcej” (1965) i „Dobry, zły i brzydki” (1966). Kręcone we Włoszech, Hiszpanii i czasami w Jugosławii czy Grecji brutalne, pozbawione postaci dobrego szeryfa włoskie westerny paradoksalnie odmięły cały tak ikonograficzny dla Amerykanów gatunek. Dolarowa trylogia Leone nie tylko pchnęła do przodu karierę grającego w nich nikomu nieznanego szerzej Clint Eastwooda, lecz wprowadziła do schematycznej i typowej dla american spirit optymistycznej tradycji



ŁUKASZ ADAMSKI

amerykańskiego kina europejski pesymizm. Western już nigdy z tego pesymizmu się nie wyzwolił.

Ostatnimi dwoma filmami Tarantino były westerny. Nagrodzony Oscarem za scenariusz „Django” (2013) okazał się obrazem z mocną społeczną tezą. Był to klasyczny, postmodernistyczny, krwawy balet śmierci, do jakiego Tarantino przyzwyczaił widzów.

A jednak w opartym na włoskim klasyku Sergio Corbucciego spaghetti westernie z 1966 r. wybrzmiewała silna, antyrasistowska teza z niepoprawnym, przewrotnym wątkiem jedyne sprawiedliwe... Niemca krążącego po amerykańskiej krainie rasizmu. Tarantino zabrał głos w jednej z najbardziej drażliwych kwestii w historii USA, czego nie miał w zwyczaju robić. „Nienawistna ósemka” (2015) to już gargantuiczna erupcja umiłowania Tarantino do przemocy. Czysty nihilizm, bez zacięcia kina Leone. A jednak to właśnie do tego westernu muzykę napisał sam Ennio Morricone, którego kariera również rozbiła się po dolarowej trylogii. Tarantino zerkał jednak w stronę Leone od początku swej drogi.

Niepokorny buntownik wpasował w klimat Sergio Leone eklektyczny stylistycznie „Kill Bill” (2003), a gangster grany przez Michaela Madsena we „Wściekłych psach” miał ksywkę Blondas, jak Clint Eastwood w „Dobry, zły i brzydki”. Brawurowe otwarcie „Bękartów wojny” (2009), w którym widzimy żydowską rodzinę ukrywającą się w chatce w Alpach, to kopia jednej ze scen „Pewnego razu na Dzikim Zachodzie”. Fani Tarantino co rusz odnajdują nowe elementy fascynacji reżysera mistrzowskimi spaghetti westernami.

PIERWSZY FILM OPARTY NA FAKTACH

Wszystkie filmy Tarantino były czystą fikcją. Tylko raz oparł on scenariusz na nie swoim pomysłem, choć nawet kręcąc „Jackie Brown” (1997) na podstawie pulp książki Elmore’a Leonarda, zmienił kolor skóry i nazwisko głównej bohaterki, by oddać hołd czarnemu kinu blaxploitation i muzeum jego dzieciństwa aktorce Pam Grier. Kręcąc osadzone w okupowanej przez nazistowskie Niemcy Francji „Bękartów wojny”, z bezczelną dezynwolturą uśmiercił Adolfa Hitlera i całą wierzchość NSDAP rozstrzelanych przez żydowskie komando śmierci (skalpujące nazistów) w paryskim kinie.

„Pewnego razu w Hollywood” to pierwszy film Tarantino oparty na prawdziwych wydarzeniach. Reklamowany jest jako film o zabójstwie rodziny Romana Polańskiego przez bandę Charlesa Mansona w nocy z 8 na 9 sierpnia 1969 r. Rzeź w Beverly Hills przy Cielo Drive dotknęła żonę Polańskiego aktorkę Sharon Tate i ich nienarodzone dziecko. Tate była



Brad Pitt (Cliff Booth) i Leonardo DiCaprio (Rick Dalton) na planie „Pewnego razu w Hollywood”

Fot. Mat. prasowe

w dziewiątym miesiącu ciąży. Błagała morderców (Charlesa „Texa” Watsona, Patricję Krenwinkel, Susan Atkins i Lindę Kasabian), by oszczędzili jej dziecko. Nasłani przez oszalałego guru sekty, niedoszłego muzyka Mansona, członkowie „Rodziny” zamordowali także gości Sharon Tate: Wojciecha Frykowski, Abigail Folger, Jaya Sebringa oraz Stevena Parenta. Po ich zamordowaniu krwią ofiar wypisali na drzwiach napis „pig” (świnia). Polański przygotowywał się w tym czasie do zdjęć do nowego filmu w Londynie. Tylko dlatego przetrwał.

Mord w willi Polańskiego był symbolicznym końcem hipisowskiej rewolucji lat 60. Manson, bełkotliwie łączący z sobą New Age, wykoślawione chrześcijaństwo (publicznie określał się nowym Jezusem), satanizm i hipisowską ideologię flower-power, był wytworem swojej epoki. Jego szkodliwe brednie padały na podatny grunt. Ostatecznie zabił z zemsty za nieudaną karierę muzyczną. Krwawa rzeź u Polańskiego spowodowała, że w rozbrykanym i zatopionym w hedonizmie Hollywood zaczęto zamykać drzwi. Infantylna otwartość, dziecięce pojęcie tęczącej miłości zniknęło pod krwawym napisem „pig” na drzwiach domu jednej z ikon filmowej rewolucji lat 60.

„Pewnego razu w Hollywood” ma mieć premierę właśnie 9 sierpnia 2019 r. 50 lat po mordzie bandy Mansona. Jednak

Tarantino głośno przekonywał, że wątek morderstwa w domu Polańskiego jest jednym z wielu. Dwie główne postacie filmu to Rick Dalton (Leonardo DiCaprio), niegdyś gwiazda telewizyjnego serialu w klimacie westernu, oraz partnerujący mu przez wiele lat kaskader Cliff Booth (Brad Pitt). Jeden z nich jest sąsiadem Polańskich. „Pracowałem nad scenariuszem przez pięć lat, ponadto przez większość swojego życia mieszkalem w Los Angeles, również w 1969 r. Miałem wtedy siedem lat. Jestem bardzo podekscytowany, że mogę opowiedzieć historię Los Angeles oraz Hollywood, których już nie ma. Nie mogłem też zgromadzić lepszej ekipy niż ta z DiCaprio i Pittem na czele” – mówił reżyser w jednym z wywiadów. Czy to oznacza, że dostaniemy opowieść o mieście, którego już nie ma? Na to wygląda. Tytuł „Pewnego razu...” jest bardzo wymowny.

POLAK WŚRÓD NAJWIĘKSZYCH NAZWISK

Jednak wątek Tate i Polańskiego nie zostanie pewnie potraktowany po macoszemu. W Polańskiego wcieli się mało znany polski aktor Rafał Zawierucha. 32-latek związany z Teatrem Współczesnym znany jest z takich filmów jak „Bogowie”,

„Obywatel” czy „Bóg w Krakowie”. Miał też wiele epizodów i ról w serialach. O ile polski aktor pewnie zagra epizodyczną rolę (prawdopodobnie jednocześnie przełomową dla jego kariery), o tyle w Tate wcielił się jedna z czołowych gwiazd Hollywood – Margot Robbie. Nominowana do Oscara za „Jestem najlepsza. Ja, Tonya” 28-letnia gwiazda zdążyła już stworzyć wyraziste role u samego Martina Scorsese („Wilk z Wall Street”) i była dziewczyną Jokera Harley Quinn („Legion samobójców”).

Wspaniała obsada nie jest niczym zaskakującym u Tarantino. Nawet najwięksi aktorzy pracują z nim za ułamek swojej stawki, by mieć w filmografii „film Tarantino”. Przecież już po sukcesie debiutanckich „Wściekłych psów” z roku 1992 gorące nazwiska Hollywood były się o miejsce w tajemniczym projekcie o tytule „Pulp Fiction” (1994). Będący wówczas w apogeum popularności Bruce Willis zrezygnował z 75 proc. gaży, by wcielić się w drugoplanową rolę boksera

Butcha. Oplaciło się. Willis, co rzadko się zdarza, był wychwalany przez krytyków, „Pulp Fiction” zdobyło Złotą Palmę w Cannes. Tarantino dostał Oscara za scenariusz, a film sześć innych nominacji. Tarantino wykazał się w następnych latach wyjątkowo przenikliwym okiem do aktorów. Wskrzesał kariery takich borykających się z dolkiem kariery artystów, jak John Travolta (nominacja do Oscara za „Pulp Fiction”), Robert Forster (nominacja do Oscara za „Jackie Brown”), David Carradine (nominacja do Złotego Globu za „Kill Bill”), Pam Grier, Daryl Hannah, Jennifer Jason Leigh (nominacja do Oscara za „Nienawistną ósemkę”), Michael Parks, Don Johnson i Kurt Russell. Wszyscy byli jego idolami, gdy jako szalony kinoman polykał setki filmów od wczesnego dzieciństwa. Samuel L. Jackson nigdy nie byłby tak wielką gwiazdą, gdyby nie rola w „Pulp Fiction”. Dziś u Tarantino gra nawet minutowe epizody. Kurt Russell, który zachwycił w tarantinowskim

Zawierucha w Hollywood

*Rafał Zawierucha to dziś najczęściej googlowane nazwisko polskiego aktora.
W najnowszym filmie Quentina Tarantino wcielił się w młodego Romana Polańskiego*



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

Odpierwszych dnii sierpnia Rafał Zawierucha był nieuchwytny w Polsce. Dziś wiadomo dla czego. Znajdował się wtedy już w LA na filmowym planie. I musiał minąć prawie miesiąc, by aktor odezwał się na Facebooku: „Jestem bardzo dumny! Rola Romana Polańskiego w filmie Quentina Tarantino »Once Upon a Time in Hollywood« to wielka sprawa. I [...] wreszcie mogę głośno o tym powiedzieć”. Chwilę później pojawił się w sieci udostępniony wpis: „Boże, jak cudownie! Naprawdę to jest marzenie przeciwieństwo. I teraz to się dzieje, aniołowie na górze szaleją, taką drogę mi dali, to moja praca, no ale coś jeszcze musi być – bo przypadków nie ma. Więc tak niech się dzieje. Jestem gotowy na to... IDE”.

W nieco bardziej stonowany sposób, choć i tu nie kryjąc ekscytacji, o udziale w filmie Tarantino Zawierucha wypowiedział się w jedynym, jak dotąd, oficjalnym wywiadzie udzielonym od czasu przyjęcia roli: „Jestem niewiarygodnie szczęśliwy i jest to dla mnie wielki honor i zaszczyt” – mówił w radiowej Trójce.

SELF-TAPE DLA TARANTINO

Tu też zdradził parę szczegółów dotyczących udziału w produkcji. Gdy do agencji reprezentującej aktora trafiła propozycja nagrania tzw. self-tape'u (jednego z planowanych w filmie) i pojawiło się przy niej nazwisko Tarantino, Zawierucha pomyślał: „Trzeba iść po swoje marzenia”. „Nagrałem to, wysłałem i czekałem. I się doczekałem” – opowiadał w czasie radiowego wywiadu. Jak przedstawiona zostanie w filmie postać, którą zagra Zawierucha, aktor zdradzić nie może. Podobnie jak szczegółów produkcji. W radiowej rozmowie skupił się na własnych odczuciach. Podkreślał, jak

jest zachwycony atmosferą na planie: zaangażowaniem na sto procent całego zespołu – od człowieka, który podaje napoje i latarki nocą, po reżysera. Mówił o zafascynowaniu postacią samego Tarantino. Reżysera, który – co widać na każdym kroku – kocha kino.

Z KIELC DO LA

12 października Rafał Zawierucha skończy 32 lata. Urodził się w Krakowie, wychował w Kielcach, a Akademię Teatralną ukończył sześć lat temu w Warszawie. Sympatyczny, niebieskooki blondyn na hollywoodzkim ekranie zmierzy się z tragedią, jaka dotknęła jego bohatera. Głośny dramat i głośne nazwiska, które go przypominają: reżyserskie i aktorskie (można doznać zawrotu głowy, gdy jednym tchem wymieniani są: Pacino, DiCaprio, Pitt...). Wśród nich nieznany europejski aktor.

Do tej pory kojarzony był przez rodaków głównie dzięki drugim planom: w polskich serialach (ostatnio mogli-

„Grindhouse. Death Proof” (2007) i zagrał w „Nienawistnej ósemce”, powraca też w „Pewnego razu w Hollywood”.

Nowy film Tarantino zdumiewa zresztą liczbą gwiazd na pokładzie. Choć zdjęcia już powstają, a obsada jest wciąż kompletowana, to już teraz udział w filmie, poza Pittem, Robbie i DiCaprio, potwierdzili m.in.: Al Pacino, Tim Roth i Michael Madsen (kolejny ich wspólny film z Tarantino), znany z „Homeland” Damien Lewis czy Dakota Fanning. W obsadzie jest nawet odrodzony ostatnio w zjawiskowym serialu „Riverdale” dawny licealny gwiazdor serialu „Beverly Hills 90210” Luke Perry oraz Burt Reynolds, 82-letni weteran i gwiazda lat 70.

Czego możemy się spodziewać po filmie w kontekście ostatnich obrazów Tarantino? Sam reżyser przyznał, że jest to scenariusz najbliższy jego „Pulp Fiction”. Będzie to powrót na ulice Los Angeles po ponad 20 latach. Będzie to też najbliższy realizmu film Tarantino od lat 90., gdy

literalnie zmienił oblicze całego kina. Przed dwie dekady Tarantino zaglądał na Daleki Wschód i Dziki Zachód. Cofał się w czasy II wojny światowej i zanurzał w horror rozgrywany na szosach Teksasu. Już czas, by wrócił do korzeni. Szczególnie, że wiele wskazuje, iż następnym projektem będzie tarantino-wersja „Star Treka”. Krwawa, brutalna i pokazująca kosmos w zupełnie inny sposób, niż przyzwyczaiło nas do tego kino. Czy naprawdę wierzymy w to, że Quentin skończy karierę „Star Trekiem”? Przecież na horyzoncie pojawia się również czas na „Kill Bill vol 3”. Mija właśnie 15 lat od czasu, gdy córeczka Vernity Green obserwowała, jak Czarna Mamba zabiła jej matkę. Tarantino i Uma Thurman nieraz sugerowali zamknięcie trylogii. Czyż nie jest to czas na filmową wendę? To melodia przyszłości. Najpierw zobaczymy krwawą (to jedno jest pewne) baśń, która rozegrała się pewnego razu za wzgórzami i lasami Hollywood.

śmy go oglądać w kilkunastu odcinkach „Trzeciej połowy” jako piłkarza Zawieruchę; pojawił się też w otwarciu nowego sezonu „W rytmie serca”), jak i w kinie.

Miał 24 lata i jeszcze studiował, gdy główną rolę na dużym ekranie zaproponował mu Andrzej Barański. „Księstwo” skierowało na młodego pasjonata sztuki aktorskiej światło i kamery. Potrafił z tego skorzystać. Efekt jego pracy spotkał się z uznaniem krytyki, ale film nie dotarł do szerszego grona odbiorców. Zawierucha dostał wtedy ważną lekcję aktorskiego fachu: nawet znakomita rola nie otwiera automatycznie kolejnych zawodowych drzwi.

W rolach drugoplanowych pojawiał się potem m.in. w filmach „Wkręcenie” Piotra Weresniaka, „Obywatel” Jerzego Stuhra, „Jack Strong” Władysława Pasikowskiego i „Miasto ’44” Jana Komasy, a także w kinowym przeboju „Bogowie” Łukasza Palakowskiego. W tym ostatnim, dzięki imponującej promocji i oglądalności, mógł się zapisać w pamięci znacznie większego grona widzów.

Czekając, jak większość aktorów, na wyjście do pierwszego kinowego planu, nie zaniedbywał sceny. Regularnie, choć gościnnie, pojawiał się w warszawskim Teatrze Współczesnym. Próbował też sił jako prowadzący telewizyjne programy w Canal+ („Europa Filmowa” i „Polska Filmowa”), pracował w dubbingu.



SELF-MADE MAN

Maciej Gajewski, agent Zawieruchy, opisując aktora, podkreśla jego poczucie humoru i dystans – cechy, które pomagają przetrwać w branży. Mówi, że reżyserzy cenią jego zawodową sprawność, oddanie pracy, skrupulatność i kreatywność. Niezwykle ważne jest też pozytywne nastawienie do życia i zawodowych zadań. W myśl zasady: problemy są do pokonywania, a nie rozpamiętywania. Rafał Zawierucha o tym wie. Świadczy o tym choćby taki przykład z początku jego filmowej drogi: gdy zabrakło pieniędzy, by wyjechać z „Księstwem” na festiwal do Kalifornii, młody człowiek zakasał rękawy, zdobył środki i dopiął budżet. Na tym jednak nie koniec. Podczas wyjazdu wiedział, jak zwrócić na siebie i na film uwagę mediów. Pojawił się w wielu relacjach. To podejście bliskie Amerykanom, zauważa agent.

Przy wykonywaniu zawodu, który tak wiele wymaga, niczego nie gwarantując, ważne jest też wsparcie rodziny. Z tą Rafał Zawierucha ma ponoć silny kontakt. Nie bez znaczenia są też wartości wyniesione z domu. Aktor chroni swoją prywatność. To ktoś z jego otoczenia wspomina, że ojciec jest organistą w kościele w Pelplinie pod Kielcami. Na Facebooku gratulują mu współuczestnicy drużyny Biegu po Nowe Życie. Tak też można innym pomagać. Teraz zagrzewają go: „Do boju, przyjacielu”.

Trudny Fryderyk, biedna Delfina

Kiedy przeczytałem jesienne zapowiedzi Teatru Telewizji, poczułem się jak człowiek, któremu obiecują ucztę życia. Czekają nas maratony historyczne. Nawet zacząłem kręcić nosem, że brak współczesności. Ale mamy jesień stulecia niepodległości. No i Wojciech Tomczyk nauczył mnie, że pisząc o historii, można poddawać współczesność bezlitosnej egzegezie.

Mam się nie cieszyć, że Jakub Pączek i Piotr Derewenda napisali sztukę o Rejtanie? Że wreszcie obejrzę „Generała” Jarosława Jakubowskiego, sztukę osnutą na tle dziejów końca życia dyktatora Jaruzelskiego? Że Paweł Woldan zajął się postacią prymasa Hłonda? No i z deseru: Wawrzyniec Kostrzewski, mój ulubiony reżyser, porywa się na „Wesele” Wyspiańskiego? Z optymizmem zapewniam, że znajdzie klucz.

Ale zaczęło się od „Fryderyka”, o Chopinie – napisała go i wyreżyserowała Agnieszka Lipiec-Wróblewska, uczennica Grzegorzewskiego. Na ekranie telewizorów jest w poniedziałek 10 września.

Mateusz Matyszkowicz, wicedyrektor TVP, opowiadał, jak go zaciekała książka Piotra Witta „Przedpiekle sławy. Rzecz o Chopinie”, więc inspirował jej literacką adaptację. Bo Witt, obecny zresztą na premierze na Woronicza z masą anegdot, odkrył, że Chopin nie od razu zdobył sławę w Paryżu, że cierpiał biedę i załamanie. Powstała ascetyczna opowieść o człowieku niepewnym, niecierpiącym swego nowego miejsca na ziemi, poddanym opresjom typowym dla początkującego artysty.

Moje wrażenie było mieszane. Bo Chopin tak nastawiony jest tu na przeżywanie aktu twórczego, że nas z trudem dopuszcza do swego wnętrza. Bo ta sztuka wolna jest nie tylko od tezy (to akurat dobrze), lecz i od dylematów. To właściwie strumień luźno płynących, chwilami dygresyjnych scen, skądinąd kręconych z wielkim smakiem. Jeszcze z wątkiem współczesnym, młodej artystki cierpiącej na niemoc twórczą, dopóki nie dotknie fortepianu, na którym on wygrał w końcu karierę.

Nie w każdym momencie męki tak szczególnej grupy jak muzycy, z rozprawami na

temat muzycznych technik, mnie porywały. A zarazem... Ten strumień obrazów jakoś zaciekał, choćby tym, co stanie się dalej z tak emblematyczną dla polskich dziejów postacią. No i nie mając mocnej fabuły, ta opowieść miała klimat. Anegdota – nawet jeśli dygresyjna, niebudująca wielkich pytań – przykuwała uwagę. W tle Mickiewicz i Słowacki, pogubienie polskiej emigracji, gdy zawiodły nadzieje na wolność, dekadencja i rozpacz. Wywodzić się przecież wszyscy i z tego.

Krzysztof Szczepaniak, jeden z najlepszych dziś aktorów polskich młodego pokolenia, był Chopinem nie tak wątpliwym jak jego wyobrażenie, choć szamocącym się z sobą i bardzo zapatrzonym w głąb siebie. Ale Szczepaniak zdominuje świat przedstawiany swoją charyzmą, kogokolwiek zagra. Mnie kazał zadawać stare jak świat pytanie, czy można żyć komfortowo obok wielkich artystów.

Zaskoczeniem była zjawiskowa Paulina Szostak, aktorka Narodowego, znana z serialu „Belfer”, jako sprzecznym ze stereotypem Delfina Potocka. Nie sawantka z salonu, ale krucha dziewczynka prześladowana przez męża i tracąca dzieci.



Poniekąd ofiara egoizmu twórczego Frycka, niemająca odwagi tak tego nazwać. A w tle galeria postaci: Marcin Hycnar jako wiecznie szlochający Mickiewicz, bardzo dobry Maciej Charyton jako zblazowany Słowacki, naturalny Maciej Musiał jako polski powstaniec, Grażyna Barszczewska, Krzysztof Wakuliński, Zbigniew Zamachowski – postaci z paryskiej socjety muzycznej. Klasa aktorów czyniła ten zapis faktów dodatkowo interesującym. W ostateczności historyczne przedstawienia są po to, żeby wiedzieć, jak było.

Piotr Zaremba



Mieczysław Fogg (drugi od lewej) podczas występu Chóru Dana w 1937 r.

Legenda ożywiona

Piosenki Mieczysława Fogg (1901–1990) dostają nowe życie. Niestabnącym zainteresowaniem cieszy się nagrany przez zespół Młynarskiego–Maseckiego album „Fogg – pieśniarz Warszawy”, wydany na 74. rocznicę Powstania Warszawskiego



ADAM CIESIELSKI

Obdarzony ciepłym barytonem Mieczysław Fogiel (tak się faktycznie nazywał) pochodził z rodziny osiadłej w Warszawie od ponad trzech wieków. Matka prowadziła sklep, ojciec był maszynistą pociągów dalekobieżnych. Także przyszły pieśniarz po powrocie z wojny bolszewickiej zaczął w 1921 r. pracować jako kasjer PKP. Tej, dobrze wówczas płatnej, posady trzymał się przez 14 lat. Jednocześnie rozwijał uzdolnienia wokalne, biorąc lekcje u słynnych śpiewaków, m.in. Adama Didurę i Ignacego Dygasa. Zamiast opery wybrał jednak estradę, przyjmując w 1926 r. pseudonim artystyczny Fogg, uznany z czasem oficjalnie za nazwisko.

Od 1928 r. przez dziesięciolecie był członkiem popularnego Chóru Dana, nagrywał z nim płyty, występował w kabaretach, filmach, koncertował w Niemczech, Szwecji, we Włoszech, w USA, nawet w sowieckiej Rosji. W 1938 r. zaczął karierę solową. Nagry-

wał do 150 utworów rocznie. Jego największym przedwojennym szlagierem była „Ta ostatnia niedziela”, płyta z tą piosenką rozeszła się w latach 30. w ponad 100 tys. egzemplarzy.

W czasie okupacji za wiedzą władz podziemia śpiewał w lokalach dostępnych dla Polaków. Ratował też muzyków żydowskiego pochodzenia. Podczas Powstania Warszawskiego, jako żołnierz AK, dał 104 koncerty dla walczących na barykadach, wykonując m.in. z akordeonistą „Marsz Mokotowa”, napisany dla niego przez Jana Markowskiego. Był kilkukrotnie ranny.

Po wojnie wrócił do koncertowania w kraju i za granicą. Słynął z punktualności, dyspozycji głosowej i popisowej dykcji. Specjalnością artysty, który na scenie spędził 64 lata, były piosenki sentymtalne. Po jego śmierci, gdy w burzliwych latach przełomu królowały ostrzejsze klimaty, popadły w zapomnienie. Nie na długo jednak. Zaraz na początku XXI w. honory mistrzowi oddała formacja Cinq G na płycie „Fogga Ragga”. W 2008 r. z kolei wyszedł ciekawie zróżnicowany wykonawczo album „Cafe Fogg”, skompiłowany przez prawnuka głównego bohatera – Michała Mateusza Foggę. Ten ostatni wsparł także najnowszy pomysł Muzeum Powstania Warszawskiego, by na 74. rocznicę bohaterskiego zrywu

stolicy spojrzeć na postać i piosenki Mieczysława Foggę w ujęciu artystycznego duetu Młynarski–Masecki.

Jan Młynarski długo szukał własnego wyrazu. Znalazł go w klimatach retro. Potencjał estradowy ujawnił zwłaszcza po połączeniu sił z Marcinem Maseckim – rewelacyjnym pianistą z pogranicza jazzu i klasyki. Ich wspólny projekt: Jazz Band Młynarski–Masecki wyrósł z fascynacji rodzimą muzyką rozrywkową międzywojnia. To doświadczenie pozwoliło im ze znanstwem i z pietyzmem podejść teraz do twórczości Mieczysława Foggę. By zbliżyć się do jego stylistyki, swingujący skład uzupełnili sekcją smyczków, zmieniając nazwę na Jazz Camerata Varsoviensis. Masecki wymyślił efektowne aranże bliskie dawnym brzmieniom, jednak ich nie kopiując. Godna uwagi jest stawka solistów, wśród których mamy aktorki Agatę Kuleszę, Joannę Kulig, śpiewaka operowego Szymona Komasę, ponadto Barbarę Kingę Majewską, Piotra Zabrodzkiego, a i samego Jana Młynarskiego (jako wokalistę, instrumentalistę, a na koncertach również kompetentnego konferansjera).

Taki zestaw osobowości pozwolił wyeksponować walory zarówno typowo rozrywkowego, jak i patriotycznego repertuaru głównego bohatera. Bawią nas hity „Polowanie na tygrysa” i „Ameryka”, sentymenty uruchamia „Tango milonga” i „Ta ostatnia niedziela”; głęboko wzruszają pamiętne pieśni „Warszawo ma” oraz „Piosenka o mojej Warszawie”. To album, do którego chętnie się wraca. 



Młynarski–Masecki Jazz Camerata Varsoviensis
„Fogg – pieśniarz Warszawy”
wyd. Muzeum Powstania Warszawskiego/Agora

Ziemia Obiecana, ziemia nieznana

Reportaż Marty Madejskiej to próba zebrania głosów pięciu pokoleń łódzkich kobiet: głosów stłumionych przez krosna, zlekceważonych przez kronikarzy



Nie będzie łatwo tej książce trafić do wszystkich. Wiele złożyło się na mur, wyrosły między historią a „herstorią” – w tym, z pewnością nie na ostatnim miejscu, ambicje badaczek nowszej szkoły, by próby opowieści o zbiorowości kobiet w dziejach i o niewypowiedzianym „doświadczeniu kobiecym” traktować jako alternatywę dla tradycyjnego odtwarzania przeszłości. O szaleństwach politpoprawności opowiadało się dawniej z rozbawieniem, dziś coraz częściej ze zgrozą – a niemalą ich część stanowią przecież usiłowania skonstruowania dziejów na nowo, przeszycia ich tak, by osadzić mężczyzn, z ich ambicjami, tubalnością przemocą, w należnym im oślim kącie.

Czym innym jednak dystans do podobnych szaleństw, czym innym – hreczkosiejskie zamykanie oczu na opowieści o nieznanym. Czym innym jest na dobrą sprawę całe opisywanie świata, jeśli nie opowieścią o nieznanym dotąd doświadczeniach i ludach? Historia ograniczona tylko do wyliczanki bitew (i to malowanych raczej podniosłym pędzlem Matejki niż okrutną kreską Ottona Dix’a) to rzecz boleśnie niepełna: to jedynie, jak powiedziałyby łódzkie pracownice, osnowa, na której wyrastają całe cywilizacje. Ważna jest historia nieobecna nie tylko dlatego, że – jak zwykle bywa – spłonęły dworki, zmielono archiwa, a tajne policje zamęczyły świadków. To doświadczenie mamy jakoś oswojone, ale ważna jest również przeszłość nieobecna, bo ukryta w kurzu codzienności, trafiająca na „ślepą plamkę” patrzących. Historycy usiłują odtworzyć ją od stu z okładem lat, odkrywając doświadczenia ludów podbitych, robotników, dzieci i „ludzi gościńca”. I tkaczek.

Taką „historię nową”, dzieje podwórza, gry w kapsle i nawołujących z okna matek można by zacząć pisać gdziekolwiek, tak wiele pozostaje nienazwane: ale w Łodzi przeszłość milionów kobiet jest szczególnie skoncentrowana w miejscu i czasie. Jedno z pierwszych zdumień, jakie towarzyszy lekturze „Alej Włókniarek”, to odkrycie, że w PRL, w której badacze przeszłości, już to z entuzjazmu, już to z oportunistycznym, deklarowali potrzebę oddania sprawiedliwości „masom”, nie zrobiono w tej dziedzinie niemal nic: autorka książki przywołuje kwerendę w archiwach Centralnego Archiwum Włókiennictwa, gdzie wśród wielu

ort ekstremalny

metrów bieżących akt można czasem znaleźć pojedyncze wspomnienia kobiet – zlekceważone, rozproszone.

Książka Marty Madejskiej wzięła się właśnie z ciekawości losów czterech, pięciu pokoleń kobiet, począwszy od tych, które rozpoczynały pracę jako „prządki, przewijaczki, zgrzeblarki, snowaczki, motaczki, szpularki, cerowaczki, pończoszarki” w manufakturach, rosnących w czasach powstania styczniowego – i towarzyszyły wielkiemu „skokowi w nowoczesność”. Okrutnemu. Nieuchronnemu.

W zamyśle „Aleja Włókniarek” miała być, jak deklaruje autorka, zbiorem relacji, wysłuchaniem głosów robotnic pięciu pokoleń – i nie udało się to ze względu na oczywistą szczupłość źródeł, brak zapisów: kto niby notować miał wyznania nastoletniej Wiktorii Oleksiak czy Ryfki Grosman, zanim zmarły, po wypadku czy w pogoju, w przyfabrycznym szpitalu? Nie tylko ten zamiar się nie powiódł: kilka dziesięcioleci przemysłu, nieopowiedziane (czy okazały się aż tak nieobecne w źródłach?). A jednak, przy tych i innych uchybieniach, „Aleja Włókniarek” to książka niezwykła. Jej fenomen polega na tym, że nie jest, wbrew pierwszemu wrażeniu, opisem „ziemi nieznaney”: owszem, opisuje to, co już znamy, wręcz na wrywyki, tylko pod zupełnie innym, nieoczekiwanym kątem, niczym lustro umieszczone na uchylonych drzwiach łazienki, które nagle ukazuje całe mieszkanie w jakimś zdumiewającym, przekoszonym, picassowskim skrócie.

Bo przecież historię Łodzi i zagłębia łódzkiego, opowiedzianą w prostej, liniowej perspektywie (autorka sumituje się we wstępie, że nie udało jej się utrzymać osi diachronii, ale jest w tym zastrzeżeniu sporo kokieterii) można, wydawałoby się, opowiedzieć w kilku zdaniach. „Car im na przekór chłopów oswobodził / Pieniądz zbudował kuźnie i warsztaty”. Czyszowe kamienice, obdarte tłumy, syreny. Rok 1905 – strajk i ołowiane salwy (to wszystko jeszcze z Reymonta). Dwudziestolecie, PPS i KPP. Armia Łódź i Litzmannstadt. Strajki pierwszych powojennych lat, bulwersujące komunistów i przemilczane. Filmówka. Strajki w lutym 1971 r., tuż po Wybrzeżu. „Solidarność” i słynny marsz głodowy. Rok 1989 i „restrukturyzacja przemysłu”. Zapaść. „Manufaktura”.

W „Alej Włókniarek” opowiedziana została ta sama historia, z tymi samymi węzłami – tylko odbita w ukośnie zawieszonym zwierciadle. Wszystko, co powyżej, opowiedziane jest z perspektywy dwunastolatek trafiających na dwunastogodzinną zmianę. Uczestniczek strajku, mających przeciwko sobie dyrekcję, mężów i Kozaków. Inspektorek pracy i działaczek związkowych. Żon wyprawiających mężów do Wojska Polskiego w dniach mobilizacji latem 1939 r. i matek samotnie utrzymujących czworo dzieci w kołowym trybie trzech zmian.

Ta książka to przede wszystkim, choć niewątpliwie, historia ludzkiej krzywdy, począwszy od tej najbardziej oczywistej, pokrytej tyłoma warstwami werniksu, że trudno zdać sobie sprawę z jej autentyczno-

ści: krzywdy pracy ponad siły, wyniszczającej, niebezpiecznej, ale bezcennej w obliczu bezrobocia, krzywdy robotniczej sprzed stu pięćdziesięciu lat – ale i pięćdziesięciu. „Znalazłem się wśród setek straszliwie zdenerwowanych i zmęczonych kobiet, pracujących w warunkach urągających elementarnym wymogom higieny i bezpieczeństwa” – wspominał emeryt Piotr Jaroszewicz swoje gaszenie strajków w roku 1971. Ale także krzywdy, na którą nie znajdowano słów, której echa autorka tropi w pójśłówkach „Ziemi Obiecanej” opisujących fabrykanta Kesslera, taksującego ze smakiem ludzkie mięso w swojej przędzalni-haremie – krzywdy szantażu i gwałtu. Krzywdy powszechnej, ale w Łodzi zgęszczonej, skumulowanej – żyłaków, poronień, niedospania, starości. Krzywdy, która przez lata nie znajdowała dla siebie miejsca w opowieści o pierwszych latach III RP – krzywdy Łodzi sprywatyzowanej, zredukowanej, upokorzonej.

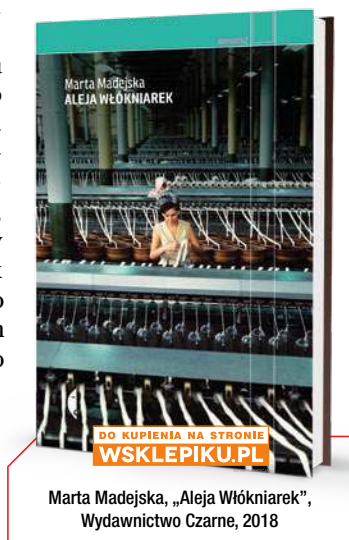
Swoją drogą, ciekawe jest spotkanie wrażliwości w tym ostatnim przypadku: Madejska pisze o niedawnej zapaści Łodzi z pasją, która mogłaby uczynić z jej książki kanwę dla kolejnych sztuk Strzępki i Demirskiego, cierpko pointując dokonania ministrów Balcerowicza i Boniego. Całe akapity „Alej Włókniarek” wyglądają jak żywcem wzięte z „oszołomskich” broszur lat 90. albo z najbardziej żarliwych diatrib PiS przeciwko autorom koncepcji „wielkiej prywatyzacji”.

Ta zbieżność jest pewnie tylko chwilowa, inne pasje autorki będą dla bardziej tradycyjnie nastawionych czytelników niełatwe do zniesienia, podobnie zresztą jak jej dezyntolury. W „Alej Włókniarek” stale słyszalna jest, choć dyskretna, nuta pretensji wobec „onych”: fabrykantów, majstrów, pijaków, partyjnych i historyków, wyzyskujących, upokarzających i przemilczających. Ta projekcja, w której dzieje krzywdy ludzkiej stają się dziejami spisku przeciw kobietom, wydaje się trudna do obrony. Dla stylistycznego żartu nie pożałuje autorka już w pierwszym akapicie reportażu prztyczka wymierzonego pamięci Jana Pawła II. Talent do gier słów, który pozwolił Madejskiej na stworzenie świetnego, przewrotnego wobec

oficjalnej onomastyki tytułu, mniej bawi, gdy w dedykacji książki czytam o „przodkiniach”. Nuży królująca od kilku lat w polskim reportażu maniera opisywania procesu powstawania książki: marzą mi się relacje bardziej przejrzyste, skupione na opisywanym, nie opisywającym.

A zarazem „Aleja Włókniarek”, niedoskonała i chropowata, jest bezwzględnie uczciwa w swoim podstawowym pragnieniu poznania prawdy nieopowiedzianej. Niemalże osób fuknąć może na tę książkę jako na kolejny przykład „ofensywy feminizmu”. Nawet jeśli tak po trochu jest – warto, by się zastanowili, co naprawdę (chciałbym móc zapisać to słowo wersalikami) wiedzą o życiu i krzywdach swojej matki, babki i prababki; zwłaszcza jeśli dorastały one nie, jak to ostatnio znów jest w modzie, w dworku nad Dżisną, lecz na bałuckim czy bieleńskim podwórku.

Wojciech Stanisławski





Każdy ma w sobie wściekłego psa? 🐾🐾🐾

Jest to opowieść o facecie, którego tak mocno przyciśnięto do muru, że eksplodował. Widzieliśmy już w kinie takie historie. Jednak nie widzieliśmy ich w rękach Matteo Garronego. Reżyser kinowej „Gomorry” czy „Reality” ma znakomity słuch społeczny i wyostrezone socjologicznie oko. Jego Italia jest zupełnie różna od tej z pocztówek. Jego bohaterowie żyją w przytłaczającej betonowej dżungli albo pstrokatej iluzji. Usiłują się tam odnaleźć. Próbuje znaleźć szczęście. Bezskutecznie. Może paradoksalnie dlatego najbardziej optymistycznym filmem Garronego była ekranizacja neapolitańskich baśni pt. „Pentameron”, które inspirowały braci Grimm?

Marcello (Marcello Fonte) to osiedlowy weterynarz i psi fryzjer. Nie wtrąca nosa w nie swoje sprawy. Obserwuje z boku dzielnicę, która go pokochała. On zaś kocha swoją córeczkę, którą chce zabrać na wymarzone rajskie wakacje. Bezgranicznie kocha też psy. Jest w stanie poświęcić dla nich swoją wolność i bezpieczeństwo. Marcello to człowiek pozbawiony asertywności. Dorabia do pensji drobnym handlem kokainą. Czy robi to z własnej woli? Wiemy, że jest zastraszany przez lokalnego tępego osiłka i narkomana Simone (Edoardo Gero), który zmusza go do pomocy w kradzieżach. Poniewierany i upokarzany zostaje dociśnięty do ściany. Dosłownie i w przenośni. Odrzucony. Zhańbiony i oszukany. Wybuch.

Nie jest jak William Foster z „Upadku” Schumachera. Jest nam bliższy. To człowiek z sąsiedztwa. Mijamy takich codziennie na ulicy. Nie zwracamy na nich uwagi. Może nawet nieświadomie obrażamy. Fonte jest fenomenalny w roli psiego fryzjera. Nagrodzony za swój występ w Cannes Fonte to połączenie młodego Al Pacino ze Steve'em Buscemim. Strach, gniew, zażenowanie, miłość – bezbłędnie zamyka te uczucia w magnetycznym spojrzeniu. Jednocześnie wykorzystuje swoją specy-



ficzną fizyczność do podkreślenia słabości bohatera. Słabości w finale przekutej w furję. Podlaną do tego dziecinnyim zdziwieniem Bustera Keatona. Magnetyczna rola!

Western o zemście? Brak tu jankeskiego poczucia sprawiedliwości wymierzanego z cnotą męstwa na widoku. W tym świecie mężczyźni potrafią wyłącznie narzekać. Siedzą w osiedlowej trattorii i obmyślają, jak się pozbyć terroryzującego okolicę osiłka. Nie mają jednak cojones, by cokolwiek zrobić. Gdy znajdzie się jeden odważny, odwróć się do niego plecami.

Garrone umieszcza akcję w konkretnym miejscu i czasie. Jednak opowiada historię uniwersalną. Gdzieś na przedmieściach Rzymu w skąpanym w szarzyźnie i brudzie blokowisku mieszkają ludzie pozbawieni marzeń. Pełni frustracji. Zamknięci w klatce. Widzący świat zza krat beznadziei. Nie ma ucieczki? Nie ma, skoro męstwo jest parodią męstwa w neapolitańskiej Scampii, którą w „Gomorze” tak przerażająco ujął ten sam reżyser. Tutaj wierny może być tylko pies. Nawet ten agresywny, którego w pierwszej scenie Marcello ujarzmił swoim spokojem i miłością. Ludzi ujarzmić już nie potrafi. Dlatego wobec nich staje się wściekłym psem. A może każdy z nas takiego w sobie ma?

„DOGMAN” REŻ. MATTEO GARRONE, DYSTR. M2FILMS



DVD

Co kryją włoskie góry? 🐾🐾🐾

Skoro jesteśmy przy włoskim kinie, polecam też ten kryminał. Pisarz Donato Carrisi debiutuje jako reżyser w ekranizacji własnej książki pt. „Dziewczyna we mgle”. Podobnie jak w „Dogmanie” nie zobaczymy tutaj słonecznej Italii, znanej z wakacyjnych wyjazdów. Jest mrok, tajemnica i zbrodnia ukryta w skąpanym w desz-

czu lesie i mgle. Właśnie we mgle „rozplywa się” nastolatka. Jak jednak mogła zniknąć w hermetycznej zamkniętej społeczności?

Do miasteczka przyjeżdża cieszący się sławą cynicznego i bezwzględnie gliniarza Vogel (Toni Servillo). Nie ma oporów, by wykorzystać do tego media. Tworzy niebezpieczny spektakl, który zaczyna zjadać jego samego. Walka między Voglem

a podejrzanym o przestępstwo miejscowym nauczycielem prof. Martinim prowadzona jest intrygująco. Carrisi myli tropy, udaje, że gra znaczącymi kartami i wiarygodnie dokonuje zwrotów akcji. Jako wisienka na torcie w epizodycznej, ale ważnej roli pojawia się też Jean Reno. Solidny, wciągający kryminał, nie tylko dla fanów gatunku.

„DZIEWCZYNA WE MGLE”
REŻ. DONATO CARRISI,
DYSTR. BEST FILM

Brawurowa komedia 🍷👍

Polska komedia. Do niedawna brzmiało to niemal jak inwektywa. Kinematografia, która wydała z siebie dzieła Barei czy wczesnego Machulskiego, nafaszerowała się jak brojlery komediopodobnymi paszami o nazwie „komedia romantyczna”. Ten film dowodzi, że polska komedia nie umarła. Czy dlatego, że jest reaktywowana przez stand-uperów?

Pisałem już nieraz, że nie znoszę polskiego kabaretu. Jako miłośnik niepoprawnego politycznie, ostrego jak brzytwa amerykańskiego stand-upu nie mogę się dobrze bawić przy ugrzeczniowych, kierowanych do mas kabaretach. Na szczęście również nad Wisłą stand-up rozwija się w coraz szybszym tempie. „Juliusz” został napisany przez komików (Abelard Giza, Kacper Ruciński, Kamil Śmiałkowski) uprawiających tę niezwykle trudną i wymagającą formę komedii.

Juliusz (Wojciech Meczwałdowski) jest sfrustrowanym nauczycielem plastyki. Ma w sobie coś z Adasia Miączynskiego, choć pozbawiony jest jego najgorszych neuroz. Juliusz to przeciwieństwo uprawiającego (mimo dwóch zawałów) hulaszczy tryb życia ojca malarza (Jan Peszek). Spokojny, zakom-



Kino

pleksiony i wycofany nauczyciel z dnia na dzień zderza się ze światem sobie zupełnie obcym. Po poznaniu uroczej lekarz weterynarii (Anna Smolowik) pakuje się w kłopoty, na końcu których stoi gangster Chorwat (Jerzy Skolimowski).

Intryga banalna. Konstrukcja scenariusza dobrze znana. Ale za to jakie dostajemy wykonanie! Brawurowo wypada cała obsada filmu. Meczwałdowski świetnie wygrywa frustrację zahukanego polskiego nauczyciela. Peszek przechodzi sam siebie jako zabawowy dziadek, kryjący w sercu bolesną tajemnicę. Skolimowski nie wychodzi z autoparodystycznej roli twardego bandziora (pamiętaj państwo, że grał na poważnie kogoś takiego w „Avengersach”?), zaś Smolowik jest po prostu ujmująca.

To wielka zasługa reżysera filmu. Aleksander Pietrzak zachwycił mnie już swoim krótkim metrażem „Ja i mój tata”. Ten słodko-gorzki film o przemijaniu, szorstkich ojcowsko-synowskich relacjach i chorobie pokazał nie tylko wyjątkową społeczną wrażliwość reżysera, lecz także jego wielki talent reżyserski.

Pietrzak doskonale miesza z sobą specyficzną dla stan-upu wulgarność, humor jadący po bandzie politycznej poprawności ze wzruszającą opowieścią o dojrzałości i ojcostwie. Wciąż fascynuje go ten temat. Wciąż go rozdrażnia i się z nim wadzi. Robi to jednak z humorem zmieszanym z sentymentalizmem. Dobra robota!

„JULIUSZ” REŻ. ALEKSANDER PIETRZAK, DYSTR. KINO ŚWIAT

Siła kobiet 🍷👍

Jeżeli mężczyzna jest głową rodziny, to kto jest szyją? O tym jest film Bjørn Runge. To manifest o sile kobiet, których praca jest niezauważana przy sukcesach mężczyzn. Amerykanin Joe Castelman (Jonathan Pryce) jest podziwianym na całym świecie pisarzem. Przekładany na dziesiątki języków autor bestsellerów dowiaduje się, że został laureatem literackiego Nobla. Joe na każdym kroku podkreśla, że nie osiągnąłby sukcesu bez swojej kochającej żony Joan (Glenn Close). Wyjazd do Sztokholmu zamiast czystej celebracji talentu



Kino

pisarza odsłania wielką tajemnicę kryjącą się za pozorną jednością małżeństwa. Za Castelmanami podąża bowiem wścibski i beczelny biograf Joe (Christian Slater). Jest to film Glenn Close, która tworzy przejmujący obraz dojrzałej kobiety zmuszonej przewartościować w jednym momencie całe swoje życie. Oddana sławnemu mężowi żona, kochająca matka przez lata musiała żyć z myślą o rezygnacji z własnej kariery. Teraz staje przed pokusą wyznania prawdy. Kameralny, intymny i kapitalnie zagrany film nie jest wielkim dziełem. Niemniej jednak intryguje i – co najważniejsze – zachwyca aktorstwem pary głównych bohaterów.

„ŻONA” REŻ. BJÖRN RUNGE, DYSTR. UIP

Ryszard Siwiec: „Usłyszcie mój krzyk”

Fot. PAP/Leszak Łożyński

Polacy w różny sposób protestowali przeciwko inwazji wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację w sierpniu 1968 r. oraz okazywali swe wsparcie Czechom i Słowakom.

Niewątpliwie najbardziej dramatyczną formę wybrał Ryszard Siwiec, który w trakcie ogólnopolskich dożynek na Stadionie Dziesięciolecia 8 września 1968 r. dokonał samospalenia

Paradoksalnie, mimo że uczynił to na oczach 100 tys. ludzi, długo jego czyn był praktycznie niezany. Owszem w Warszawie krążyły pogłoski o tym, że ktoś się spalił podczas dożynek, ale nie wiązano tego wydarzenia z interwencją w Czechosłowacji, np. Stefan Kisielewski zapisał w swoim dzienniku pod datą 14 września: „Wciąż mówią, że na dożynkach w obecności Wiesia [Władysława Gomułki] i Józia [Józefa Cyrankiewicza] ktoś się oblał benzyną i podpalił. Nie wiadomo tylko, »po jakiej linii, to się stało«. Jego samospalenie było przedstawiane naocznym świadkom jako przypadkowe zapalenie się (samozapłon) nietrzeźwej osoby.

Dopiero w kwietniu 1969 r. ofiarę Siwca i jego motywację nagłośniło Radio Wolna Europa. Co ciekawe, wtedy bohaterem dla wielu Polaków był czeski student Jan Palach, który zdecydował się na podobny krok w połowie stycznia 1969 r.

ZAPLANOWANY PROTEST

Gest Ryszarda Siwca nie był bynajmniej czynem szaleńca, człowieka niezrównoważonego psychicznie – jak to próbowano (zwłaszcza Służba Bezpieczeństwa) wmawiać w okresie PRL – lecz działaniem owszem dramatycznym, ale dobrze przemyślanym i starannie zaplanowanym. Ten dojrzały (59-letni) mieszkaniec Przemyśla, małżonek i ojciec piętki dzieci zdobył przepustkę na uroczystości dożynkowe, spisał testament, kupił rozpuszczalnik, przygotował białą-czerwoną flagę z napisem „Za waszą i naszą wolność”.

W testamencie stwierdzał m.in.: „Ja, Ryszard Siwiec, zdrów na ciele i umyśle, po długiej walce i rozwadze postanowiłem zaprotestować przeciw totalnej tyranii zła, nienawiści i kłamstwa, które opanowały świat”. Jako człowiek wierzący przystąpił też do spowiedzi. Nie zapomniał nawet o nagraniu na taśmę magnetofonową swojego manifestu politycznego – krytykował w nim sowiecki imperializm oraz uciemiężenie mniejszych narodów. Kończył go słowami: „Ludzie, w których może jeszcze tkwi iskra ludzkości, uczuć ludzkich, opamiętajcie się! Usłyszcie mój krzyk, krzyk szarego, zwyczajnego człowieka, syna narodu, który własną i cudzą wolność ukochał ponad wszystko, ponad własne życie, opamiętajcie się! Jeszcze nie jest za późno!”.

8 września wstał wcześniej rano, pobłogosławił śpiące dzieci, najstarszemu synowi zostawił własny zegarek, po czym udał się na dworzec. W trakcie jazdy pociągiem do Warszawy sporządził poruszający list pożegnalny do małżonki. Pisał w nim m.in.: „Kochana Marysiu! Nie płacz!, szkoda sił, a będą ci potrzebne, jestem pewny, że po to dla tej chwili żyłem 60 lat, wybacz, nie można było inaczej, po to, żeby nie zginęła prawda, człowieczeństwo, wolność, ginę, a to mniejsze zło jak śmierć milionów, nie przyjeżdżaj do Warszawy, mniej już nikt, nic nie pomoże, dojeżdżam do Warszawy, piszę w pociągu i dlatego krzywo. Jest mi tak dobrze, czuję taki spokój wewnętrzny – jak nigdy w życiu! Kochane dzieci, nie dokuczajcie mamie, uczcie się, bo to wasze najważniejsze zadanie teraz. Niech was Bóg ma w swojej opiece. Całuję was – Ojciec”. Tak na marginesie



GRZEGORZ MAJCHRZAK

ten list dotarł do jego małżonki dopiero po 25 latach, gdyż przejęli go (wyjęli z drzwi jej mieszkania, gdzie włożyła go osoba proszona o jego przekazanie) funkcjonariusze SB.

Co ciekawe, Ryszard Siwiec na realizację swego dramatycznego protestu zdecydował się nie w trakcie oficjalnych przemówień, lecz w części artystycznej dożynek – występów zespołów ludowych. Kwadrans po

południu, po uprzednim rozrzuceniu ulotek, niemal naprzeciwko trybuny głównej, na której znajdowało się kierownictwo partii i państwa, na czele z I sekretarzem Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej Władysławem Gomułką, oblał się rozpuszczalnikiem i podpalił. W rękach trzymał flagę narodową. Paląc się, krzychał: „Protestuję”, „Niech żyje wolna Polska” i „To jest okrzyk konającego wolnego człowieka”. Apelowal też do świadków zdarzenia, aby ci go nie gasili. Oczywiście bez powodzenia. Ponieważ jednak odpychał osoby, które usiłowały ugasić ogień, dopiero gdy spłonęło na nim całe ubranie, został doprowadzony przez milicjantów do samochodu marki Warszawa, najprawdopodobniej należącego do Służby Bezpieczeństwa.

Jak wspominała po latach Ewa Biały, która była naocznym świadkiem wydarzeń z 8 września 1968 r.: „Nastąpił moment odprężenia, oddech, wreszcie będzie coś ciekawego. Wtem – jakieś poruszenie, krzyki. Nie wiedziałam, o co chodzi. Grała muzyka, wszyscy patrzyli na murawę. Nagle zauważyłam przed sobą coś zadziwiającego: fioletowo-żółtawo-czerwone światło. Wystrzeliło jak świeca. To było takie irracjonalne – w pełnym słońcu, nagle coś się rozświetliło. Zobaczyłam, że to człowiek... Miał ciemny beret, machał rękami, wokół niego był ogień. Zaczęłam zbiegać w dół (siedziałam kilka rzędów wyżej) [...] Dopiero jak tam dobiegłam, zobaczyłam, że ten człowiek się pali. Rzuciły mi się w oczy jego opalone ręce. Właściwie to nie były już ręce... To były ostatnie paliczki bez skóry i – to widziałam wyraźnie – białe kości. Straszny widok, bo on tymi rękami machał... Potem jeszcze dostrzegłam, że nie ma ubrania – tylko ciemny pasek w talii [...] W tym pierwszym momencie, kiedy dobiegłam, a on wyrzucił ręce do góry, miałam wrażenie, że się skulił w sobie, jak gdyby zgął, ścisnął, i że to... jego nie dotyczyło. Tak jakby był obok tego pożaru – jakby to nie był on. Stał i krzychał, ale w ogóle nie było słyhać, co mówi”. Opisywała też reakcje innych świadków: „Wyglądało to zupełnie absurdalnie, bo widzowie obok jakby byli źli, że ktoś przerwał im oglądanie ładnej uroczystości. Wykrzykiwali, że to pijak, że wódka się rozlała [...] zobaczyłam, że obok mdleją ludzie. Jakaś kobieta osuwała się wprost na mnie [...] Inni dla bezpieczeństwa uciekali, rozpieńczyli się. Wokół zrobiły się puste ławki”. Jak jednak dodawała: „Po krótkiej chwili wszystko wróciło do normy, puste miejsce zapełniło się [...] Trzeba było przecież obejrzeć dożynki do końca... Coś się zadziało, w ciągu nie więcej niż kilku minut – i się skończyło. Potem miejsce uporządkowano i nie ma sprawy. Przedstawienie trwało: występy, tańce”.

Było to możliwe dzięki „zabezpieczeniu” miejsca samospalenia się Ryszarda Siwce przez funkcjonariuszy SB. Zarejestrowali oni (film i zdjęcia) całe zdarzenie, a także odebrali dwóm osobom zdjęcia, które te wykonały w jego trakcie.

Siwec został przewieziony do Szpitala Praskiego, gdzie zmarł cztery dni później (12 września o godz. 1.45) – nie miał praktycznie szans na przeżycie, gdyż oparzenia obejmowały ponad 80 proc. jego ciała. Co niebawem w takiej sytuacji, praktycznie do końca zachował jednak przytomność. Po raz kolejny wspominał o swoich motywacjach, co utrwalili funkcjonariusze SB: „Ginę po to, żeby zwyciężyła prawda, żeby zwyciężyło człowieczeństwo i żeby zwyciężyła miłość. Ginę po to, żeby zginęło kłamstwo, zginęła nienawiść i zginął terror. Nie odczuwam żadnego bólu i nie odczuwałem żadnego bólu przez cały czas [...] Protestuję sam, jeden jedyny. Ktoś musi zawołać wielkim głosem: dość! Nie, to ja wołam, sam jeden: nie!!!”. I dodawał: „Nie odczuwam żadnego bólu [...] Bolał mnie tylko dwie ręce, lewa od składania fałszywych przysięg, a prawa od ściskania ręki tych, którym złożyło się fałszywą przysięgę [...] Niech żyje prawda, niech żyje wolność, niech żyje człowieczeństwo, niech żyje demokracja, niech żyje konstytucja! Niech zginie totalny terror, opanowujący świat! [...] Mój apel kieruję do wszystkich ludzi dobrej woli na świecie, do ludzi, którym dobro wszystkich, a nie małych grup nie jest obojętne. Opamiętajcie się, opamiętajcie się, póki jeszcze nie jest za późno”.

Ryszard Siwec: „Ginę po to, żeby zwyciężyła prawda, żeby zwyciężyło człowieczeństwo i żeby zwyciężyła miłość. Ginę po to, żeby zginęło kłamstwo, zginęła nienawiść i zginął terror”

POD LUPĄ SB

Oczywiście w szpitalu był odseparowany od innych pacjentów. Personel oddziału, na którym leżał, miał zresztą współpracować ze Służbą Bezpieczeństwa. Z jednym z opiekujących się nim lekarzy ustalono nawet (10 września) przeprowadzenie badań psychiatrycznych umierającego Siwca...

Oczywiście po dramatycznym goście Ryszarda Siwca on i jego rodzina znaleźli się pod lupą funkcjonariuszy SB. Ci nie tylko przejęli list do jego małżonki, lecz również ustalili, że przekazał go (oczywiście nie informując o jego zawartości czy swym zamiarze) znajomej – Marii Tchórzewskiej – która wraz z nim jechała z Przemyśla do Warszawy na uroczystości dożynkowe. To właśnie ona włożyła go w drzwi mieszkania Siwców, kiedy nie zastała jego małżonki.

Esbecy dotarli nawet do Miejskiej Przychodni Rejonowej w Przemyślu, dzięki czemu raportowali później: „Nie stwierdzono, aby Siwec R. był kierowany [na leczenie] i pozostawał na leczeniu na zaburzenia psychiczne”. Dokonali też oczywiście szczegółowych ustaleń na temat jego pracy zawodowej,

a także jego najbliższych. Efektem tego było m.in. stwierdzenie: „Rodzina Siwca jest religijna i pozostaje w ścisłym kontakcie z kurią biskupią w Przemyślu, która udziela im pomocy materialnej, jako małżeństwu wielodzietnemu” czy też „Córka Siwca, Innocenta, jest studentką I roku Studium Nauczycielskiego w Rzeszowie – Wydział Fizyki, członkiem ZSP i skarbnikiem koła przy tejże uczelni”. Esbecy rozpuszczali też w Przemyślu plotki, że Ryszard Siwec był szaleńcem.

Komenda Stołeczna Milicji Obywatelskiej prowadziła z kolei śledztwo. Podstawą jego wszczęcia były ulotki odnalezione w torbie skórzaną, którą miał przy sobie. Funkcjonariusze SB uznali, że zawierają one „fałszywe wiadomości o sytuacji społeczno-politycznej, mogące wywołać niepokój publiczny”. Co prawda uznano, że Siwec wzywał do ich czytania, a tym samym popełnił przestępstwo, to jednak – ze względu na jego śmierć – 16 października 1968 r. zostało ono umorzone.

POŚWIĘCENIE DOCENIONE PO LATACH

Dramatyczny czyn Ryszarda Siwca przeszedł – o czym była już mowa – niestety właściwie bez echa. Owszem informacje o całym zdarzeniu dotarły – za sprawą jednego z dziennikarzy partyjnych – do Radia Wolna Europa po kilku miesiącach, ale zostały upublicznione dopiero dzięki staraniom przyjaciela Siwca Władysława Mazura. Zresztą nie bez problemów. Po informacji o samospaleniu Palacha pojechał on do ambasady brytyjskiej, ale tam potraktowano go wręcz, jako prowokatora. W tej sytuacji postanowił napisać do RWE. Ze względu na bezpieczeństwo swój list, oczywiście anonimowy, wysłał z Rzeszowa, a nie z Przemyśla. Przejornie zresztą nie skierował go bezpośrednio do zachodniego radia, lecz przesłał za pośrednictwem przypadkowej zachodniej firmy meblarskiej. Dzięki temu informacja ta dotarła do adresata. Jak po latach wspominał Mazur, „długo nie było żadnych wiadomości. Dopiero gdzieś w połowie kwietnia, nieoczekiwanie słuchając RWE, usłyszałem dość krótki, ale właśnie taki komunikat – o śmierci Ryszarda Siwca, który spalił się na stadionie w Warszawie”. Jak relacjonował potem były dyrektor Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa Jan Nowak-Jeziorański: „Myśmy z reguły anonimów nie wykorzystywali, ale ten był potwierdzeniem poprzednio otrzymanej wiadomości i budził takie zaufanie, że zdecydowałem się to nadać”.

Poświęcenie Siwca doceniono dopiero po 1989 r. I znowu paradoksalnie bardziej chyba w Czechach niż w wolnej już Polsce. Został m.in. odznaczony najwyższym czeskim odznaczeniem – orderem Tomasza Masaryka pierwszej klasy. Jego imię nadano ulicom (najpierw w 2009 r. w Pradze, dwa lata później również w Warszawie) oraz w 1991 r. mostowi (w Przemyślu, w którym mieszkał). W stolicy Polski owszem postawiono mu w 2012 r. pomnik obok stadionu (obecnie Stadionu Narodowego), na którym dokonał samospalenia, ale nie uznano go za na tyle godnego, aby jego imieniem nazwać ten obiekt – zamiast niego wyróżniono wybitnego trenera piłkarskiego Kazimierza Górskiego. Nie zmienia to faktu, że Siwec – całkiem zresztą zasłużenie – jest i pozostanie symbolem polskiej niezgody na brutalną pacyfikację Praskiej Wiosny w sierpniu 1968 r.

Autor jest pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN

Ofiara rosyjskiego strachu

Czy polsko-rosyjski eksperyment początków XIX w. mógł się zakończyć inaczej niż fiaskiem?

Kiedy Andrzej Nowak wydaje nową książkę, można w ciemno założyć, że nawet ktoś, kto w dziedzinie historii nie jest laikiem, dowie się z niej wielu rzeczy dotąd mu nieznanych. Przystępując do lektury wychodzących właśnie drukiem „Metamorfozy Imperium Rosyjskiego”, byłem na to przygotowany. Ale mimo to nie spodziewałem się, że czeka mnie, by użyć górnolotnego wyrażenia, intelektualna uczta na aż tak lukullusową miarę.

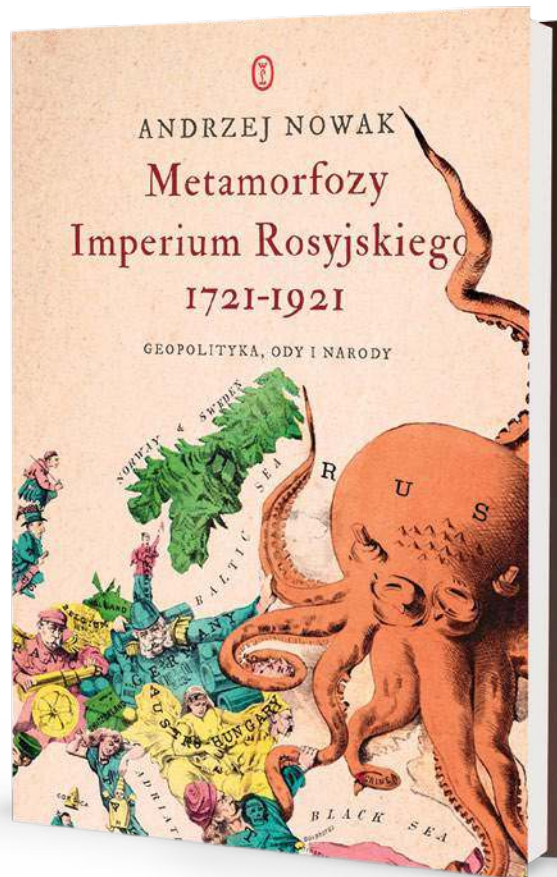
To książka z dziedziny historii polityki i historii idei, ale zwłaszcza w tym drugim wymiarze – bardzo współczesna. Bo – i to jest jedna z przyczyn, dla których „Metamorfozy” są odkrywczym – ukazuje niespodziewane dla wielu korzenie rozmaitych pojęć i tez, bardzo aktualnych i dzisiaj. Charakterystycznych i dla obecnej Rosji, i dla reszty świata.

1.

Ot, choćby takie zarzucanie Zachodowi, że wywyższa swoją własną kulturę i że jest to narracja cynicznie używana dla duchowego, a co za tym idzie, i materialnego skolonizowania reszty świata. Nie, nie wymyślili tego amerykańscy ani europejscy lewicowi myśliciele z lat 70. czy 80. Już książkę Nikołaj Trubecki, wybitny przedstawiciel specyficznego prądu rosyjskiego imperializmu, jakim był (i jest) tzw. eurazjatyzm, pisał sto lat temu, że nie da się obiektywnie stwierdzić wyższości kultury europejskiej nad innymi kulturami, np. nad kulturą Buszmenów. Nie da się tego bowiem zrobić inaczej, aniżeli przyjmując za obiektywne subiektywne miary kultury euro-



PIOTR SKWIECIŃSKI



pejskiej. Kultur nie wolno hierarchizować, każda tworzy swoistą strukturę wartości.

Konsekwencją tego rozumowania było stwierdzenie Trubeckiego, że – jak jego teza relacjonuje profesor Nowak – Europejczycy (których książkę nazywał „romanogiermancami”) „głoszą potrzebę wyjścia poza ciasne szowinizmy nacjonalistyczne, by skłonić innych do przyjęcia ideału kosmopolitycznej,

ponadnarodowej cywilizacji. W istocie zaś owa cywilizacja wyraża ich szowinistyczne wzorce i interesy. Owa pseudo-universalna cywilizacja, którą mają teraz naśladować wszyscy, to po prostu kultura »romano-germańska«. Pod hasłem »cywilizowania«, dołączania do jedynego modelu postępu czy rozwoju, jaki jest rzekomo w niej zawarty, dokonuje się faktycznie kolonizacja i eksterminacja innych istniejących w świecie kultur, ich podporządkowanie Europie. Narzędziem tego procesu jest inteligencja krajów w ten sposób kolonizowanych, która przyjmuje jako swoje zadanie systematyczne dźwiganie »dzikusów« swojej rodzimej kultury na wyższe szczeble drabiny postępu. Na najwyższym dostrzegają jeden wzór: »romano-germański«. Albo „subtelny despotyzm Anglosasów” – jak na początku XX w. nazwał to samo zjawisko geopolityk Aleksiej Jedrichin.

Czyli „subtelny despotyzm” – używając dzisiejszej nomenklatury – zachodni. Albo wręcz atlantycki. Tak teraz mówi światowa liberalna lewica usiłująca wtrącić Zachód w spiralę wyrzutów sumienia za to, że zdystansował resztę świata. Mówi tak po to, żeby uczynić go politycznie impotentnym. Tak mówią współcześni eurazjaci. I tak też, nieco dyskretniej, mówią dziś putinowcy. Nieszczercze? Może szczerze, ale w co

najmniej równym stopniu – instrumentalnie. Żeby zaszczyć własne społeczeństwo na „zachodnią zarazę”. I dać sobie samemu usprawiedliwienie, by tłumić „kolorowe rewolucje” u sąsiadów, a gdyby do tego przyszło – również u siebie.

2.

„Gdyby ludzkość – nie taka ludzkość, o której lubią mówić Romano-Germanie, ale prawdziwa ludzkość, składająca się w większości ze Słowian, Chińczyków, Hindusów, Arabów, Murzynów i innych plemion, które wszystkie, bez różnicy koloru skóry, jęczą pod ciężkim uciskiem Romano-Germanów i trawia swoje narodowe siły na wydobywanie surowców dla europejskich fabryk – gdyby cała ta ludzkość zjednoczyła się w powszechnej walce z ciemnizcami – Romano-Germanami, to trzeba przyjąć, że prędzej czy później udałoby się jej zrzuć nienawistne jarzmo i zetrzeć z powierzchni ziemi tych chciwców i ich kulturę”. Aby takie „powszechne powstanie” się powiodło, trzeba przede wszystkim zmienić świadomość „inteligencji europeizowanych narodów”. Trzeba pomóc im zerwać sobie z oczu przepaskę ideologii europejskiej wyższości.

Nie, to nie są elukubracje jakichś współczesnych moskiewskich propagandystów wieszczących, że na skutek podpisania handlowego traktatu rosyjsko-chińskiego albo sukcesu koalicji rosyjsko-asadowskiej w Syrii rozpadnie się w pył zniechęcony ład atlantycki. To książka Trubecki. Rok 1920.

3.

Tak jest, 1920. Bo w roku 1920 spora część białych Rosjan miała (przynajmniej w intelektualnym wymiarze) inne problemy niż powstrzymywanie łamiących ich opór dywizji Lwa Trockiego. Duchowo mieli już innego wroga.

Już rok wcześniej, gdy – dodajmy – szanse na zwycięstwo Białych wydawały się realne, taki np. opisywany przez Andrzeja Nowaka Piotr Sawicki, nacjonalistyczny intelektualista najwyższej próby i – dodajmy – aktywny białogwardzista, wysoki urzędnik w rządzie Wrangla, żaden tam bolszewicki agent, cieszył się z narastającej potęgi czerwonej Rosji. Z tego, że „pulsowanie jej serca” powoduje, że „fale [komunizmu – przyp. P.S.] idą przez Węgry, Włochy, Anglię, Francję”.

Tego antykomunistę cieszyło to, bo było to według niego oznaką, że Rosja wróci na wielką scenę polityki, bo „wojujący internacjonalizm rosyjskiej władzy sowieckiej przeradza się i nieuchronnie powinien przeradzać się w wojujący rosyjski imperializm”. Bo hasła Niepodzielnej Wielkiej Rosji bolszewicy wyrzekli się jedynie taktycznie, a „skoro tylko przestała zagrażać opancerzona pięść Cesarstwa Niemieckiego, władza sowiecka zaczęła faktycznie trzymać się owej zasady. Tak jak przyłączyła z powrotem Białoruś, Litwę, Ukrainę, Łotwę, tak też dzisiaj przywraca Besarabię. Można powiedzieć z pełnym przekonaniem, że jeśliby sowiecka władza pokonała Denikina i Kołczaka, to przyłączyłaby z powrotem cały obszar byłego Cesarstwa Rosyjskiego i, co całkiem prawdopodobne, w swoich podbojach przekroczyłaby dawne granice” – pisał, przypomnijmy, zwolennik i podwładny Denikina.

Sawicki, dopowiedzmy, bynajmniej nie był sam. Podobnie wypowiadał się np. (niecytowany przez profesora) Borys Nikolski, ideolog reakcyjnej Czarnej Sotni, poeta i filolog, rozstrzelany latem 1919 r. przez Czekę. Pisał on kilka miesięcy przed śmiercią, że bolszewicy „z niewyczerpaną energią zajmują się samobójczym dla nich burzeniem Rosji, jednocześnie wykonując wszystkie założenia jednoczącej polityki, według naszego, rosyjskiego, patriotycznego programu, tworząc wbrew swej woli i myśli nowy fundament tego, co sami burzą”.

4.

Dla ideologów rosyjskiego imperializmu – i wtedy, i zwłaszcza wcześniej – Polska była ogromnym problemem.

Nie było tak od początku. Andrzej Nowak przytacza mało znany fakt, że kiedy Katarzyna Wielka krótko po pierwszym rozbiorze wydawała słynny edykt, dający rosyjskiej szlachcie wolność osobistą (zwalnający ją od obowiązku dożywotniej służby carowi), został on wydany w języku rosyjskim i... polskim. Według jej ówczesnych pomysłów miały to być więc dwa równouprawnione języki Imperium, czy przynajmniej – elity Imperium.

Gdy zaś tuż po utworzeniu Królestwa Kongresowego, w 1818 r., rosyjski historyk Karamzin napisał swoją monumentalną (i nacjonalistyczną) „Historię Rosji”, 32-letni wtedy Joachim Lelewel, później, w noc listopadową, bożyszcze podchorążych, potem członek Rządu Narodowego, jeszcze potem wódz emigracyjnych demokratów, przyjął propozycję napisania w rosyjskiej prasie tekstu polemicznego. Ów artykuł stał się bardzo w Rosji popularny, również wśród ministrów i wielkich książąt. Przyszły symbol polskiego insurekcjonizmu był oszołomiony sukcesem i w liście zapowiedział ojcu, że... od tej pory będzie pisać tylko po rosyjsku!

Ale nadzieje Lelewela się nie ziściły. Już za chwileczkę Nowosilcow odkrył w Wilnie konspirację filomatów. Młody profesor, podejrzany o związki z nimi, został zmuszony do przeprowadzki do Warszawy. Był zrozpaczony – dlatego że rozwiewały się jego marzenia o karierze na polu historiografii i literatury rosyjskiej. I właśnie dlatego, jak pisał życzliwy mu kolega z Wilna, stał się wrogiem Rosji.

Wrogiem Rosji nie stał się natomiast Jan Potocki. Autor „Rękopisu znalezionego w Saragossie” zakończył życie samobójstwem. Przedtem jednak usiłował ofiarnie służyć carskiej dyplomacji na odcinku azjatyckim. Mimo ogromnej wiedzy i inteligencji, a także szczerości, z jaką starał się udowodnić swe oddanie panującemu, ten autor ocenianych jako genialne planów podboju i urzędowania pod carskim panowaniem Wschodu nie został zaakceptowany przez rosyjskie elity.

5.

Bo, jak sugeruje Andrzej Nowak, dominującym elementem rosyjskiego charakteru narodowego (to ja używam tego słowa, z ust krakowskiego historyka ono nie pada) jest stały strach o narodową i kulturową tożsamość. Tożsamość, którą łatwo może zakłócić obca (zachodnia) infiltracja i ingerencja. Ten strach emanuje z rosyjskiej historii, poczynając od czasów

Iwanów – Srogię i Groźnego. „Owa wspólnota tworzy się wraz z poczuciem zagrożenia dla jej cywilizacyjnej tożsamości, broniąc się przed widmem politycznej i duchowej kolonizacji” – uważa profesor. I cytuje analizy rosyjskiego antropologa Władimira Boczarowa, którego zdaniem charakterystyczną cechą rosyjskiej kultury jest uznanie używania przemocy za coś koniecznego do utrzymania autorytetu władzy. Jest to społecznie akceptowane, co jest zupełnym przeciwieństwem polskiej, szlacheckiej kultury.

Już tylko tych dwóch przyczyn wystarczy, by uznać, że żadne polsko-rosyjskie rozwiązanie nie mogło się powieść. Bo rosyjski system immunologiczny musiał odrzucić Polaków.

6.

Kilka lat temu pisałem, że udziałem rosyjskich elit nigdy nie była – przynajmniej w skali porównywalnej do elit innych mocarstw – refleksja nad tym, jakie są granice własnej ekspansji. Profesor Nowak gromadzi wiele uderzających cytatów mogących uzasadnić tezę, że w umysłach Rosjan zawsze kwitło przekonanie, iż ich przeznaczeniem jest, po prostu, podbój całej planety. „Nasi carowie będą panami i samodzielnymi całego świata” – pisał już w XVII w. biskup Ignatij Rimski-Korsakow. „O Rossie! / Zrób krok – i cały świat jest twój!” – pisał poeta Dierżawin. Inny, Iwan Dmitriew, prorokował, że Rosja postawi swe słupy graniczne „tam, gdzie się kończy świat”. Poeta i filozof Iwan Tiutczew podkreślał zaś, że Rosja ma objąć swymi granicami nie tylko cały świat słowiański z przyległościami, nie tylko Konstantynopol, nie tylko Chiny, Indie i Egipt, lecz i Rzym – kiedy władzę obejmie tam wreszcie chrześcijański cesarz, skończy się podział wśród chrześcijan...

Również ten stan umysłów nie mógł nie wpłynąć na los rosyjsko-polskiego eksperymentu.

7.

O iluś tezach, zawartych w „Metamorfozach”, chciałoby się z profesorem podyskutować. Tytułem przykładu – trudno polemizować z tezą o nieuchronności konfliktu polsko-rosyjskiego po 1815 r. Brak mi jednak, być może, wyraźniejszego niż dokonane przez Andrzeja Nowaka podkreślenia, że dla ludzi ówczesnych ta nieuchronność, inaczej niż dla nas, patrzących przez pryzmat dwóch już wieków, nie była bynajmniej oczywista. Mniej przygotowany czytelnik nie dowie się z książki krakowskiego historyka o tym, jak ogromna była euforia Polaków, wywołana przez odnowienie Królestwa w tymże 1815 r.

Niezwykle cennym elementem „Metamorfoz” jest rzucenie przypadku Polski na tło szersze: ekspansji rosyjskiej na innych azymutach. Polacy rzadko bowiem dopuszczają do siebie myśl, że coś, co uważają za bardzo specyficzne dla nich doświadczenie, bywa w jakimś stopniu typowe dla wielu narodów o w jakiejś mierze podobnym losie.

Wydaje mi się jednak, że – co w jakimś stopniu jest sprzeczne z tą uniwersalistyczną perspektywą – w „Metamorfozach” za często pada, nacechowane emocjonalnie, słowo „kolaboracja”. Wiem, że w języku naukowym ma ono



Fot. Andrzej Wiktor

Prof. Andrzej Nowak

określone znaczenie, ale jednak w języku potocznym kolaboracja to zdrada. Dlatego, moim zdaniem, jest ono używane za często, zwłaszcza w odniesieniu do włączonych do Imperium narodów niepolskich.

Jest to bowiem pojęcie, które można, zgodnie z jego potocznym znaczeniem (świadoma zdrada własnej wspólnoty), stosować wobec XIX-wiecznych Polaków od momentu, w którym w wyniku procesu narodotwórczego powszechne stało się uznawanie właśnie narodu i jego niepodległości za wartość najwyższą. Ale trzeba pamiętać, że między tak rozumianą kolaboracją a postawą buntu są całe światy mentalne i polityczne. Tak było, do pewnej chwili, nawet w Polsce, kiedy w ciągu pierwszych kilku – kilkunastu lat po 1815 r. w powszechnej wśród ówczesnych Polaków opinii przed krajem otwarte były jakieś perspektywy. Co dopiero w narodach niehistorycznych, które zaczęły się na dobre kształtować dopiero w ramach Imperium. A nawet w tych historycznych, które trafiły do Imperium w innych niż Polacy okolicznościach (jak Ormianie czy po części Gruzini). Polska perspektywa patrzenia na te sprawy jest jednak szczególna, nietypowa.

* * *

Ale to byłaby dyskusja o tylko nieco innym rozłożeniu niektórych akcentów. Niezmieniająca w żadnym zakresie podstawowego faktu: oto Andrzej Nowak stworzył kolejne dzieło, zupełnie fundamentalne dla naszego myślenia. O relacjach polsko-rosyjskich, a nawet – o Rosji w ogóle.

„Lawendowa mafia” i „homoherezja”

Czy Kościół jest dziś infiltrowany przez lobby homoseksualne i kolonizowany przez kulturę gejowską?

W świecie katolickim nie milkną echa skandalu związanego z upublicznieniem świadectwa abp. Carla Marii Viganò. Były nuncjusz w USA oskarża w nim o ukrywanie afer związanych z molestowaniem seksualnym najwyższych hierarchów Kościoła. Przywołuje oficjalne dane, z których wynika, że zdecydowana większość czynów pedofilskich wśród duchownych dokonywana jest przez homoseksualistów.

Jego zdaniem Kościół na czele z Watykanem został zinfiltrowany przez lobby gejowskie, które odpowiada w dużej mierze za demoralizację kleru, a także dąży do zmiany katolickiego nauczania w sprawach etyki seksualnej. W tej sprawie łatwo o pochopne osądy. Zostanmy zatem przy faktach.

GRUPA G8 MINUS 3

Najbardziej zaufanymi współpracownikami Franciszka są purpuraci skupieni w tzw. Grupie G8. To grono wybranych przez niego ośmiu kardynałów z całego świata mających mu pomóc w zreformowaniu Kościoła. Dziś trzech z nich ma poważne problemy. Okazuje się, że kard. George Pell z Australii ukrywał sprawców molestowania seksualnego. Koszty procesu w tej sprawie są tak duże, że kuria w Sydney apeluje do wiernych o datki na ich pokrycie.

Niedobrze dzieje się też w diecezji Tegucigalpa zarządzanej przez honduraskiego kardynała Óscara Maradiagę. Jego najbliższy współpracownik bp Juan José Pineda został zdymisjonowany za malwersacje finansowe i czyny homoseksualne.



GRZEGORZ GÓRNY

Na dodatek klerycy z tamtejszego seminarium napisali list otwarty, w którym skarżą się, że w placówce panuje wręcz epidemia homoseksualizmu, a heteroseksualni seminarzyści, przygnębieni i zgorszani, myślą o porzuceniu powołania. Sam kard. Maradiaga lekceważy zarzuty i zarzuca klerykom rozpowszechnianie plotek.

Inny członek Grupy G8 kard. Francisco Javier Errázuriz z Santiago został zdymisjonowany niedawno przez Franciszka wraz całym episkopatem Chile za tuszowanie skandali seksualnych oraz uniemożliwianie powołania komisji śledczej. Jest osobiście odpowiedzialny za wprowadzanie w błąd Stolicy Apostolskiej.

SĄD OSTATECZNY BEZ PIEKŁA

W swoim liście abp Viganò jako dwóch czołowych przedstawicieli lobby gejowskiego w Watykanie wymienił abp. Vincenza Paglię, mianowanego przez Franciszka przewodniczącym Papieskiej Rady ds. Rodziny i Papieskiej Akademii Życia, oraz kard. Francesca Coccopalmera, przewodniczącego Papieskiej Rady ds. Tekstów Prawnych.

Abp Paglia nie ukrywa, że jest otwarty na możliwość legalizacji związków partnerskich, w tym homoseksualnych. Zanim trafił do Rzymu, był ordynariuszem diecezji Terni-Narni-Amelia. Zasłynął tym, że w 2007 r. zlecił namalowanie na ścianie katedry w Terni muralu przedstawiającego Jezusa, który zabiera z sobą do nieba sieci pełne kłębiących się nagich ciał homoseksualistów, transseksualistów i prostytutek. Jednym z bohaterów obrazu jest sam abp Paglia,

przedstawiony nago w czułym uścisku z innym gołym mężczyzną.

Autorem muralu jest argentyński malarz Ricardo Cinali, otwarcie deklarujący swój homoseksualizm. To jego właśnie, spośród wielu artystów, wybrał osobiście abp Paglia, który przez cały czas nadzorował powstawanie dzieła. Cinali przyznał, że hierarcha zakazał mu malowania aktów seksualnych, ale pozwolił na przedstawienie wielu scen erotycznych. To wizja Sądu Ostatecznego, w której nie ma miejsca na piekło ani potępienie, a Jezus zabiera do nieba wszystkich preferujących „nienormatywny seks” i doznających rozkoszy cielesnych.

Także kard. Coccopalmero wypowiada się o homoseksualizmie jako zjawisku normalnym, a nawet pozytywnym. Niedawno hierarcha miał problemy ze swym najbliższym współpracownikiem, osobistym sekretarzem ks. Luigim Capozzim, który regularnie organizował w watykańskich pomieszczeniach gejowskie orgie z narkotykami. Nakryty tam na gorącym uczynku przez policjantów, trafił do szpitala z powodu przedawkowania kokainy.

HOMOSEKSUALNI SZAFARZE?

W swym piśmie abp Viganò wymienił również nazwisko konsultora watykańskiego Sekretariatu ds. Komunikacji ks. Jamesa Martina. Znany jest on ze swych licznych wypowiedzi otwarcie popierających postulaty lobby gejowskiego. W 2016 r. otrzymał doroczną nagrodę organizacji New Ways Ministry reprezentującej środowiska LGBT. W głośnej książce pt. „Budując most” opowiedział się za zmianą nauczania Kościoła w kwestii homoseksualizmu.

Dał temu wyraz m.in. podczas zakończonego dwa tygodnie temu IX Światowego Spotkania Rodzin w Dublinie, gdzie był jednym z głównych prelegentów. Zaapelował tam do wiernych, by zmienili swój stosunek do osób homoseksualnych i transgenderowych, zaakceptowali je, przeprosili za homofobię doznaną ze strony Kościoła, przestali nawoływać jedynie do zachowania czystości i włączali do działalności duszpasterskiej, np. jako szafarzy Eucharystii.

Ks. Martin słynie też z niekonwencjonalnych zachowań, czym zdobywa sobie sympatię wielu mediów. Na przykład 12 grudnia 2017 r. (w rocznicę objawień w Guadalupe) udostępnił na swym koncie na Twitterze bluźnierczą wersję obrazu Matki Bożej z Guadalupe, przedstawiającą Maryję depczącą anioła i wymachującą wężem. Autorka tej przeróbki, kalifornijska malarka i feministka Yolanda López, wyjaśnia, że w jej wizji orężem w rękach Matki Bożej jest wąż reprezentujący seksualność, a podeptany anioł symbolizuje zniszczenie patriarchatu.

ZAŚLEPIENIE IDEOLOGIĄ?

W swym świadectwie abp Viganò wymienia też kard. Blaise'a Cupicha, nazywając go „zaślepionym ideologią gejowską”. O obecnym metropolicie Chicago wiele mówi kilka faktów. Gdy został mianowany biskupem Spokane w stanie Waszyngton, zabronił kapłanom i seminarzystom w swojej diecezji udziału w czuwaniach modlitewnych przed klini-

kami aborcyjnymi Planned Parenthood. Później wyłamał się ze stanowiska amerykańskiego episkopatu i poparł Obamacare – projekt przewidujący objęcie powszechnym ubezpieczeniem zdrowotnym finansowania środków antykoncepcyjnych i wczesnoporonnych, a także zabiegów sterylizacji.

Już jako metropolita Chicago ponownie sprzeciwił się episkopatowi w równie poważnej sprawie. Kiedy w czerwcu 2015 r. Sąd Najwyższy USA dokonał prawnego zrównania par homoseksualnych z normalnymi małżeństwami, amerykańscy biskupi niemal jednogłośnie potępił ten akt. Jednak nie Cupich, który wezwał, by nie krytykować werdyktu obowiązującego przecież w świetle prawa.

Podczas Synodu ds. Biskupów w Rzymie dał się poznać – obok ówczesnego generała jezuitów Alfonsa Nicolasa Pachona i kard. Johna Dewa z Nowej Zelandii – jako jeden z największych zwolenników dowartościowania homoseksualizmu przez Kościół. Wypowiadał się publicznie za tym, by dostęp do komunii miały nie tylko osoby rozwiedzione i pozostające w ponownych związkach, lecz również aktywni homoseksualiści, bez konieczności konsultacji tego z kimkolwiek, jedynie wsłuchując się we własne sumienie.

BEZ REAKCJI WATYKANU

Powyższe przypadki wskazują, że wśród części hierarchii katolickiej istnieje publicznie deklarowane przyzwolenie dla homoseksualizmu. Niektórzy dostojnicy, np. kard. Raymond Burke czy bp Robert Morlino, potwierdzają diagnozę abp. Viganò o przeniknięciu do Kościoła kultury (a właściwie subkultury) gejowskiej, która rozkłada go od środka. Razem z wpływami „lawendowej mafii” rozpowszechnia się też zaśięg „homohereji”. Jej przedstawiciele dążą do zmiany moralnej oceny homoseksualizmu i akceptacji go przez Kościół, do zrównania związków jedнопłciowych z małżeństwami oraz do oficjalnego dopuszczenia homoseksualistów do święceń kapłańskich.

Przez całe wieki w Kościele nie istniał zakaz przyjmowania do stanu kapłańskiego mężczyzn o odmiennych preferencjach seksualnych. Nie istniała taka konieczność, ponieważ dla wszystkich było oczywiste, że czyny homoerotyczne są grzechem ciężkim. Zaczęło się to zmieniać dopiero w ostatnich dekadach wraz z rosnącą społeczna i kulturową akceptacją dla tego zjawiska. Do seminariów wstępowało coraz więcej aktywnych gejów. Towarzyszyła temu plaga czynów pedofilskich wśród duchownych. W związku z tym Benedykt XVI wydał w 2005 r. instrukcję, że osoby o skłonnościach homoseksualnych, a nawet wspierające kulturę gejowską, nie mogą być przyjmowane do seminariów i wyświęcane na księży. W praktyce zakaz papieża jest jednak z pełną świadomością nagminnie łamany przez wielu hierarchów.

W 1995 r. Jan Paweł II zdymisjonował bp. Jacquesa Gailota z diecezji Evreux, gdy ten opowiedział się nieśmiało za błogosławieniem przez Kościół par homoseksualnych. Dziś takie postulaty głosi publicznie wielu hierarchów, a jednak nie spotyka się to z żadną reakcją Watykanu. Czyż nie jest to wystarczający dowód na infiltrację Kościoła przez lobby gejowskie, o czym pisał abp Viganò?



Kręcenie loków na łysinie

Niemcy strasznie współczują imigrantom z Erytreji, Sudanu czy Mali, ale nie mają żadnego współczucia dla Polaków i innych narodów, które w przeszłości tak skrzywdzili – mówi **Henryk M. Broder**, pisarz i publicysta „Die Welt”, w rozmowie z Aleksandrą Rybińską

Problemy z uchodźcami, problemy z utworzeniem koalicji rządzącej, skandale w Volkswagencie i Deutsche Banku, rosnący brak zaufania do państwa. Niemcy przechodzą kryzys egzystencjalny?

Henryk M. Broder: Niemcy lubią myśleć, że są najbardziej popularnym narodem świata. W rzeczywistości jednak boją się, że nikt ich nie lubi. Są na świecie takie aroganckie narody jak choćby Francuzi czy Izraelczycy, którym jest obojętne, co inni o nich myślą. Parada na Polach Elizejskich z okazji 14 lipca, ten cały przepych, aż człowieka zazdrość bierze. Taka parada w Niemczech byłaby niemożliwa. Chyba 3 października jest jakieś niemieckie święto narodowe. Ach, tak, rocznica Zjednoczenia. To, że nie jestem w stanie sobie przypomnieć daty i okazji, pokazuje, jak mało istotne jest to święto. Nikt nie odważyłby się z tej okazji wystawić choćby jednego czołgu. Niemcy to bardzo cywilizowany kraj. Pokojowy. To wobec najnowszej historii tego państwa jest ogromnym postępem. Dlatego z dużą przyjemnością czytam artykuły o dramatycznie złym stanie Bundeswehry, o tym, że żaden niemiecki helikopter nie lata, że karabiny się zacinają, a czołgi się psują. Bundeswehra to największy wkład Niemiec w ruch pokojowy. Ale wracając do pani pytania: Niemcy tkwią po uszy w kryzysie egzystencjalnym. Ale to kryzys, którego obywatele w swej zdecydowanej większości nie są świadomi. To tak jak z wariatami, którzy nie wiedzą, że są chorzy psychicznie. Niemcy nie wiedzą, że kraj przechodzi kryzys, bo im się bardzo dobrze żyje. Ponadto wysoko rozwinięte społeczeństwa mogą funkcjonować całkowicie bez rządu. W Belgii chyba przez rok czy dwa lata nie mieli rządu i nikt tego nie zauważył. Belgią i tak się nie da rządzić. To państwo upadłe. Somalia Europy. Egzystencjalny kryzys w Niemczech zaś polega na tym, że mamy kanclerz, która rządzi już 12 lat, czyli zdecydowanie za długo, ale nie ma nikogo, kto mógłby ją zastąpić. Ponadto Niemcy mają cechę odzwierciedloną w starej maksymie z czasów Adenauera – tylko bez eksperymentów. W skrócie: nie-

chęć do zmian. Ale co dla mnie jest osobiście ważne, Niemcy nie są już krajem agresywnym. Dom na Majorce jest dla przeciętnego Niemca dziś ważniejszy niż kwestia, czy Kołobrzeg jest niemiecki.

Ale takie ruchy i partie jak Pegida czy Alternatywa dla Niemiec (AfD) nie biorą się znikąd. Według sondaży 60 proc. Niemców uważa, że rząd robi za mało, by zapewnić obywatelom bezpieczeństwo.

Długo, tak naprawdę do 2015 r., było zupełnie bez znaczenia, kto w Niemczech rządzi: CDU czy SPD, Helmut Schmidt czy Helmut Kohl. Ludzie ufali rządzącym. To zaufanie zniknęło. A zaufanie to waluta demokracji. Bez tego jej po prostu nie ma. A mamy dziś w Niemczech głęboki brak zaufania do rządu, ale także do mediów, szczególnie publicznych. Trzy czwarte tego, co pokazują publiczne media w Niemczech, to propaganda, a reszta to chłam. Ostatnio oglądałem audycję o integracji uchodźców. Pokazano kilku imigrantów, którzy znaleźli pracę i się kształcą. Na tej podstawie usiłowano stworzyć wrażenie, że wszyscy uchodźcy są tacy jak ci przedstawieni w audycji, a więc nie ma żadnych problemów z przybyszami i jest fajnie. To propaganda w czystej postaci. W Niemczech istnieją także programy edukacyjne dla społeczeństwa, które w podobnej formie funkcjonują tylko w systemach totalitarnych. Na przykład program ministerstwa ds. rodziny pt. „Życie demokracją” („Demokratie leben”). Niemcy to jedyny mi znany demokratyczny kraj, w którym rząd wychowuje obywateli. A to obywatele powinni wychowywać rząd, odsyłając go co kilka lat do diabła. U nas natomiast co chwila odzywa się jakiś polityk i apeluje o „powstanie przyzwoitych”. Zamiast uprawiać przyzwoitą politykę, rządzący domagają się przyzwoitości od poddanych. Mamy więc tak naprawdę dwa kraje: Niemcy coraz bardziej zaniepokojonych obywateli, martwiących się o przyszłość, i Niemcy elit politycznych oraz medialnych, fundacji i NGO-sów różnej maści, które mówią: „Wszystko jest w jak najlepszym

porządku. Damy radę!”. Wmawia się ludziom, że wystarczy wykonać kilka drobnych korekt i wszystko będzie w jak najlepszym porządku. Tymczasem widzimy, jak to społeczeństwo się kruszy. Także tzw. prości ludzie to dostrzegają.

Wtedy pojawia się zazwyczaj argument moralny. Niemcy są zobowiązane do otwartości i tolerancji ze względu na swoją historię. Niemcy to moralne mocarstwo. Nie przekonuje pana ten argument?

Gdy mówimy o Niemczech, chodzi nam o elity. O system polityczno-kulturowy. Niedawno widziałem występ utalentowanego austriackiego pisarza Roberta Menasse’a w fundacji SPD. Straszny idiota. Stwierdził bowiem, że bez Unii Europa zginie. A jest wręcz odwrotnie. Europa zginie z powodu UE. Na dodatek ogłosił, że we wrześniu czy w październiku 500 poetów wyjdzie na balkony i ogłosi Stany Zjednoczone Europy. Siedziałem na sali przekonany, że zaraz wszyscy zaczną się śmiać. Ale jedyną osobą, która się śmiała, byłem ja. Wszyscy pozostali mieli bardzo poważne miny. Tymczasem ci poeci mogliby tak samo dobrze ogłosić wejście Wysp Owczych do UE lub zabronić niedźwiedziom polarnym wejścia na plażę w Timmendorfie. Mogliby ogłosić cokolwiek, bo to zupełnie bez znaczenia. Ta mania wielkości. To mnie przeraża. Widziałem na własne oczy symbiozę polityki i elit. Zwyczajni ludzie są inni. Mamy w Niemczech sześć partii, z czego cztery stanowią jeden blok. Przy czym Die Linke też można do tego bloku zaliczyć. Jedyną partią opozycyjną jest więc AfD. A to jest zdecydowanie za mało. Ludzie nie mają wyboru, bo na kogo mają głosować? Coraz częściej słyszę od moich czytelników, że w ogóle nie uczestniczą w wyborach, bo to i tak wszystko jeden pies. Ludzie wcale nie są tacy głupi, za jakich ich politycy mają. I ta arogancja elit. Thilo Sarrazin miał rację – Niemcy same się likwidują.

A teza o moralnych Niemczech to kłamstwo. Mamy prezydenta, który niedawno odwiedził grób Jasera Arafata w Ramallah. A były szef MSZ Sig-

mar Gabriel pospiesznie pojechał do Teheranu, gdy tylko sankcje zostały zdjęte z Iranu po zawarciu umowy atomowej, by zdobyć kontrakty dla niemieckiego przemysłu. Do Iranu, który dwa razy w tygodniu grozi, że wymaże Izrael z mapy. Potem ten sam Gabriel był w Izraelu, gdzie nie spotkał się z premierem Benjaminem Netanjahu, tylko z organizacjami społecznymi. Na coś takiego w Iranie by sobie nigdy w życiu nie pozwolił. A nasz nowy szef MSZ Heiko Maas niedawno ogłosił, że z powodu Auschwitz wstąpił do polityki. Niech on lepiej zostawi w spokoju moich krewnych, którzy zostali tam zagazowani na śmierć! Niech nie wiąże ich ze swoją śmieszną karierą polityczną. Maas poszedł do polityki, bo bardzo słabo zdał egzamin zawodowy z prawa. Nie miał szans zostać adwokatem ani sędzią. Tak więc ten moralny argument to czysta hipokryzja. Dlaczego Niemcy tacy są? Nie mam pojęcia. Czasami patrzę na ten kraj tak samo bezradnie, jak Sigmund Freud patrzył na niektórych swoich pacjentów. Czasami czuję się jak narodowy psychiatra Niemców.

Niemców, którzy lubią pouczać. Choćby nas, Polaków. Dlaczego właściwie?

Za czasów cesarza Wilhelma sekretarz stanu w ministerstwie spraw zagranicznych Bernhard von Bülow wygłosił słynne przemówienie w Reichstagu, w którym powiedział: „Nie chcemy nikomu niczego odbierać i stawiać go w cieniu, ale domagamy się naszego miejsca na Słońcu”. To było uzasadnieniem dla zdobycia przez Niemcy kolonii. Obecnie Niemcy już nie za bardzo mogą kogokolwiek kolonizować. Dlatego nasze elity polityczne się przestawiły i zamiast zużytych oficerów eksportują jedyne, co nam pozostało: naszą moralność. I to daje nam poczucie wyższości. Moralna rasa panów. Szczególnie zabawne jest, gdy niemieccy lewicowcy pytają: „Czy Żydzi nie wyciągnęli żadnych wniosków z historii, żeby tak gnębić Palestyńczyków?”. To są naprawdę mistrzowie niemieckiego poczucia

humoru. Niemiecka wyższość moralna stosowana jest szczególnie wobec ofiar niemieckiej historii. Dlatego Niemcy tak chętnie pouczają Polaków. Ci biedni Polacy tak strasznie cierpieli i niczego ich to doświadczenie nie nauczyło. W przeciwieństwie do Niemców oczywiście. No i Holendrzy, Włosi. Też się niczego nie nauczyli, bo inaczej nie głosowaliby na tych strasznych populistów. Ordynacje wyborcze w Europie mają jedną zasadniczą wadę: Niemcy nie mogą wszędzie głosować. Świat wyglądałby zupełnie inaczej, gdyby Niemcy mogli głosować choćby w USA. Donald Trump nigdy w życiu nie zostałby prezydentem.

Niemieckie społeczeństwo, a szczególnie lewica, zawsze miało podopiecznych. Kiedyś był to proletariusz. Potem Trzeci Świat, a następnie Palestyńczycy. Dziś są to uchodźcy

Co chwilę zresztą ktoś w Niemczech pisze, że jesteśmy już bardzo blisko impeachmentu Trumpa. To myślenie czysto życzeniowe albo – inaczej mówiąc – kręcenie loków na łysinie. Wyobrażanie sobie świata, którego nie ma i być nie może. Niemcy cierpią na syndrom utraty władzy.

Najsilniejszy gospodarczo i politycznie kraj w Europie cierpi z powodu utraty władzy?

Tak. Podświadomie Niemcy wiedzą, że nie posiadają żadnej realnej władzy. Utraciły ją dawno temu, czego chyba nikt nie żałuje, ale udają, jakby wciąż były lokomotywą, która napędza cały pociąg. Tylko kocioł wysiadł, a motorniczy leży pijany w wagonie. To jest wręcz komiczne. Szczególnie gdy kanclerz Merkel przemawia. Retorycznie jest gorsza niż prze-

ciętą papuga. Tworzy zdania, które nie mają początku, końca ani sensu. Już dawno powinna była odejść, ale wciąż trwa. Relacja narodu niemieckiego z panią kanclerz przypomina małżeństwo, w którym małżonkowie się nie znoszą, ale mimo to pozostają razem. Bo rozwód byłby zbyt trudny, zbyt bolesny. Tak, w Niemczech panuje moralna mania wielkości. Pisarz Wolfgang Pohrt napisał 30 lat temu, że mord na 6 mln Żydów zobowiązał Niemcy do tego, by stały się kuratorem Izraelczyków. Niemcy więc strasznie współczują imigrantom z Erytrei, Sudanu czy Mali, ale nie mają żadnego współczucia dla Polaków i innych narodów, które w przeszłości tak skrzywdzili. Nie ma żadnego kompleksu winy, który zmuszałby Niemców do przyjmowania imigrantów. Szwedzi w końcu także wybrali multikulti. Szwecja już dawno sama się zlikwidowała. Szwecji już nie ma. I nie ma to nic wspólnego z historią.

Za tym kryje się – zarówno w Szwecji, jak i w Niemczech – ideologiczne szaleństwo lewicy. Sam jestem starym lewakiem i podobają mi się lewicowe wartości jak równość, równouprawnienie czy prawa kobiet, ale to nie są żadni prawdziwi lewicowcy, tylko zdegenerowani drobnomieszczanie, którzy ciągle potrzebują kogoś, nad kim mogą mieć przewagę. Podopiecznych, dla których mogą być kuratorami. Niemieckie społeczeństwo, a szczególnie lewica, zawsze miało podopiecznych. Kiedyś był to proletariusz, była klasa robotnicza. Potem Trzeci Świat, a następnie Palestyńczycy. Dziś są to uchodźcy. Niemiecki kurator zawsze potrzebuje podopiecznego, a ci cholerni, oporni Polacy nie chcą niemieckiej kurateli. Pozostają Ahmed i Mohammed. Gdyby Niemcy rzeczywiście posiadali kompleks winy, to ich polityka wobec Izraela byłaby zupełnie inna. Niebawem do Niemiec przyjedzie Recep Erdoğan i zostanie przyjęty z wielką pompą. Dyktator, który wtrącił setki ludzi do więzień i nazwał Merkel oraz jej kompanów nazistami. No i gdzie to moralne zobowiązanie? Mogę pani powiedzieć

gdzie: ogranicza się ono do ofiar niemieckiej historii. To one mają moralne zobowiązanie dorastać do oczekiwań i wymagań Niemców. Zapewne sprawa wyglądałaby zupełnie inaczej, gdyby Niemcy w czasie II wojny światowej okupowały także Turcję.

A może z tą Turcją chodzi raczej o to, by się nie załamała gospodarczo, bo wtedy Niemcom na głowę zwałą się kolejni imigranci, tym razem z nad Bosforu?

Zapewne. Ale tak naprawdę chodzi w tym wszystkim o nas samych. Ta sympatia dla uchodźców to rodzaj egomaniakalnej miłości do samych siebie. Udowadniamy sobie, jacy jesteśmy dobrzy. Proszę mnie źle nie zrozumieć. Ja nie naśmiewam się z tego, że ludzie pomagają uchodźcom, tylko z ich motywacji. Bo tu liczy się tylko uczucie, że się zrobiło coś dobrego. Emocje. A to za mało. W konsekwencji mamy dziś wielokulturowe Niemcy

z całymi społecznościami imigrantów, które nie są zintegrowane. Stąd sukcesy wyborcze AfD. A ja patrząc na te sukcesy, mam mieszane uczucia. AfD jest trochę jak Zieloni u swoich początków: chaotyczna. To niekoniecznie jest złe. Co mnie natomiast przeraża, to słowa jednego z liderów AfD Alexandra Gaulanda, że niemieckie zbrodnie podczas II wojny światowej to drobniak. A w Saksonii AfD obecnie prowadzi w sondażach. Czuję z tej okazji oczywiście też rodzaj Schadenfreude. Bo elita polityczno-medialna zupełnie nie rozumie, dlaczego ludzie są wściekli i mają jej dosyć. A to przecież proste. Nie można przyjmować ludzi, którzy jako imigranci z dwanaściorciem dzieci przybywają do Niemiec i twierdzą, że są uchodźcami. A następnie pobierają zasiłki.

Opublikowaliśmy z garstką intelektualistów na wiosnę deklarację, która została podpisana przez 160 tys. Niemców i składała się tylko z dwóch zdań:

„Martwimy się o przyszłość Republiki Federalnej i domagamy się powrotu do zasad państwa prawa”. Wywołało to falę oburzenia w mediach. Nazwano nas nacjonalistami, rasistami. Jakaś gazeta napisała, że chcemy wyrzucić wszystkich cudzoziemców z Niemiec. Nic takiego nie napisaliśmy. To czyście szaleństwo. Mamy w tym kraju tysiące imigrantów, którzy uchodzą za radykałów i których nie można deportować. 100 tys. tzw. uchodźców po prostu zniknęło z radarów i gdzieś się ukrywa. Nie udało się deportować Anisa Amriego, zanim dokonał zamachu w Berlinie, a o deportację Samiego A., byłego ochroniarza Osamy bin Ladena, toczy się obecnie spór. Tymczasem bez problemu udaje się deportować ludzi, którzy się zintegrowali, mają pracę lub się uczą. Bo trzeba pokazać, że rząd coś robi. To wszystko się kupy nie trzyma. Jeśli nie nastąpi zmiana polityki, przyszłość Niemiec rysuje się w ponurych barwach. 

REKLAMA

Mała rata

25

miesięcznie
za każdy pożyczony
1000 zł!

Z WIELKIEJ OKAZJI!!
RRSO: 9,38%



 **KASA STEFCZYKA**

Zawsze u siebie

**Już teraz
złóż wniosek!**

801 600 100
(koszt wg taryfy
operatora)

kasastefczyka.pl

Przykład reprezentatywny z dnia 1.04.2018 r. dla Pożyczki Zaratka: Całkowita kwota kredytu wynosi 1000,00 zł. Zmienna roczna stopa oprocentowania dla całkowitej kwoty kredytu wraz z kredytowanymi kosztami (prowinzją 0 zł) wynosi 9%. Rzeczywista roczna stopa oprocentowania (RRSO): 9,38%. Czas obowiązywania umowy – 48 miesięcy, 47 miesięcznych rat równych: 24,89 zł oraz ostatnia, 48. rata: 24,93 zł. Całkowita kwota do zapłaty: 1194,76 zł, w tym odsetki: 194,76 zł.

Pożyczka Zaratka dostępna wyłącznie w kwotach 1000 zł, 2000 zł, 3000 zł lub 4000 zł, dla Członków nieposiadających pożyczek lub kredytów w Kasie w okresie co najmniej 6 miesięcy przed dniem złożenia wniosku. Decyzja kredytowa zależy od indywidualnej oceny zdolności kredytowej.

Mianując francuskiego prezydenta swym głównym wrogiem, Salvini i Orbán w jakiejś mierze wyręczają Polskę, a nawet – można by rzec – działają jako faktyczni polscy plenipotenci bez zlecenia



JAN ROKITA

Ligą Lig nazwali Matteo Salvini i Viktor Orbán swój europejski sojusz zawiązany w ubiegłym wtorek w Mediolanie. To wyraźne nawiązanie do nazwy włoskiej Ligi, którą Salvini w krótkim czasie przekształcił z separatystycznej partii lombardzkiej w najważniejsze patriotyczne włoskie stronnictwo. Pierwsze spotkanie obu polityków nabrało zaskakująco spektakularnego charakteru, zapewne dlatego, że z nadzwyczajnym zapałem i entuzjazmem opowiadali oni o wielkim planie „zbudowania innej Europy, nowej Komisji Europejskiej oraz wymiany europejskich polityków” (wg słów Salviniego). Tego rodzaju projekty nigdy dotąd nie były ogłaszane przez rządzących przywódców państw Unii Europejskiej. Przeciwnie, oficjalna retoryka europejskich liderów od lat obraca się wokół idei obrony status quo, ryzyka niesionego przez nowe trendy i katastrofy, jaką w Europie miałyby być perspektywa wymiany starego politycznego establishmentu. Tak radykalne zaprzeczenie przez Salviniego i Orbána owej defensywnej i mocno zużytej retoryce sprawiło, że w europejskich kancelariach i redakcjach wielkich gazet niemal wstrzymano z wrażenia oddech.



Fot. Daniel Daj Zeman/AP

Mediolański pakt

I jeszcze tego samego dnia wieczorem zaczął się wysyp gazetowych wstępniaków, programów telewizyjnych i politycznych analiz, w których jak mantra powracają słowa: „populizm”, „anty-europejski front” albo nawet „faszyzm”. Wygląda na to, że strach oraz ideologiczne przesady uniemożliwiają jak na razie licznym redaktorom i analitykom realistyczne rozumienie europejskiej rzeczywistości.

SYMBOL EUROPEJSKIEGO ANCIEN RÉGIME'U

Wykluwające się bergmanowskie „jajo węża” dostrzegli także lewicowi demonstranci na mediolańskim San Babila, którzy w powodzi czerwonych szturmówek skandowali hasło: „Piazzale Loreto jest cztery przystanki stąd”. Na placu San Babila mieści się podległa Salviniemu (jako szefowi MSW) prefektura, gdzie toczyła się rozmowa, a ów „Placyk Loretański” w pobliżu mediolańskiego dworca to sławne miejsce

linczu powieszonego za nogi przez komunistów Benita Mussoliniego i jego towarzyszy. Demonstrantów naliczono sporo – coś koło 15 tys. Odezwali się też niektórzy europejscy politycy, którym Salvini i Orbán zapowiedzieli właśnie „wymianę elit”. Na Twitterze szefowa dyplomacji w szwedzkim lewicowym rządzie Margot Wallström obwieściła, że obaj politycy rozpoczęli wojnę z „demokracją i lewicą”. Skończyło się to jej oskarżeniem o kłamstwo przez węgierskiego ministra Pétera Szijjártó i wezwaniem szwedzkiego ambasadora do budapeszteńskiego MSZ.

Ale przede wszystkim musiał się odezwać Emmanuel Macron, któremu Włoch i Węgier nie dali żadnej szansy na milczenie. W Mediolanie to właśnie Macrona przedstawiono bowiem jednoznacznie jako głównego politycznego wroga Ligi Lig. Orbán nawet mianował francuskiego prezydenta „przywódcą” nieprzyjacielskiego obozu w Europie, Salvini zaś szydził z Macrona, że „choć ma małe poparcie w swoim kraju, to



przeciw Macronowi

marnuje czas na pouczanie zagranicznych rządów”. Macron odparował więc, że jest uradowany z mianowania go szefem obozu demokracji i „nie ugnie się przed nacjonalistami oraz mową nienawiści”.

Mianowanie francuskiego prezydenta symbolicznym wodzem całego europejskiego ancien régime'u, a także głównym propagatorem otwarcia Europy na afrykańskich i azjatyckich imigrantów, jest posunięciem tyleż politycznie zręcznym, ile po trosze perfidnym. Taka „nominacja” jest sporą nowością w politycznej retoryce europejskiego obozu antyimigracyjnego, dla którego prawdziwym wcieleniem diabła była przecież dotąd Angela Merkel. Co prawda proimigracyjny entuzjazm pani kanclerz stopniał mocno od wielkiej fali 2015 r., ale jeśli brać pod uwagę nagie fakty, to widać, że Merkel jest ciągle bardzo konsekwentna w jednostronnie „humanitarnym” rozumieniu kwestii kryzysu migracyjnego. Macron zaś, choć (jak to Francuz) ma pełne usta

sloganów o równości i braterstwie, to jednocześnie nie od dziś blokuje francuską granicę dla imigrantów idących z Włoch, wywołując co rusz jakąś nową falę wymiany ciosów pomiędzy Paryżem a Rzymem. Podjęty w Mediolanie atak na Macrona najzwyczajniej w świecie ignoruje tę rzeczywistość, a Salvini i Orbán mają w tym na oku wyraźny polityczny cel. Idzie im o nieantagonizowanie Berlina, a w szczególności o to, by w niczym osobiście nie urazić niemieckiej kanclerz, tak bardzo potrzebnej teraz i Włochom, i Węgrom. Salvini wie dobrze, że bez wsparcia Merkel jego starania o „dzielenie się imigrantami” w Unii muszą ponieść fiasko, a włoskie gigantyczne długi nie mają szansy ani na umorzenie, ani nawet na rolowanie. Dla generalnie proniemieckiego Orbána zaś osoba kanclerz Merkel i jej głos w Europejskiej Partii Ludowej (EPP) jest przecież od lat ostatnią deską ratunku, w sytuacji gdy cały brukselski establishment najchętniej wyrzuciłby z Unii jego samego, a z nim całe Węgry.

Krzykliwy i arogancki Macron nadaje się tymczasem znakomicie do roli symbolu europejskiego ancien régime'u. Nie tak dawno przecież powstanie w Rzymie rządu Ligi i Pięciu Gwiazd porównał do „szerzenia się trądu”, a w sprawie „autorytarnych i antydemokratycznych” Węgier oraz Polski żąda nałożenia przez Brukselę sankcji finansowych. Co więcej, mimo nadzwyczaj intensywnej aktywności Macrona w europejskiej polityce nie odnosi on w Europie poważniejszych sukcesów. W zasadzie jego jedynym ważnym zwycięstwem w Unii było skuteczne wyizolowanie Polski w debacie nad zmianą dyrektyw o pracownikach delegowanych i transporcie. Ale od jego nieustannie powtarzanych wizji integracji „jądra” Unii przeciw jej „peryferiom” Niemcy opędzają się jak od kłopotliwej i za głośno brzęczącej muchy. Ostatnio Berlin nabrał nawet w tej mierze trochę więcej publicznej asertywności, więc Jörg Kukies, wiceszef berlińskiego resortu finansów, odpowiadający za finanse europejskie, ostentacyjnie odrzucił (w wywiadzie dla „Financial Timesa”) Macrona koncepcje budżetu strefy euro, retorycznie pytając: „Dlaczegoż mielibyśmy osłabiać Unię, tworząc jakąś równoległą strukturę?”. Musiało to sprawić sporą przykrość w Paryżu, tym bardziej że szło tu o ukochany projekt prezydenta, a na dodatek Kukies to socjalista i absolwent Sorbony, więc – jak można było sądzić – także frankofil. Sprytny Orbán próbuje zagrać na tym niemiecko-francuskim dysonansie, argumentując, że cele Macrona uderzają przede wszystkim w interesy niemieckiej chadecji.

Co bowiem planuje Macron? Podobnie jak Salvini i Orbán – tylko, można by rzec, vis-à-vis – chce stworzyć nową europejską międzynarodówkę, która zlikwidowałaby w Unii aktualną dominację EPP, gdzie przecież niemiecka chadecja (a w gruncie rzeczy sama Merkel) odgrywa decydującą rolę. Jeśli więc nie zablokujemy wspólnie Macrona w wiosennych wyborach europejskich i pozwolimy mu pójść w nich jak burza, to nie tylko z Ligi Lig mogą być nicy – sugerują Salvini i Orbán. Ale niejako przy okazji Niemcy mogą stracić swoje decydujące wpływy w Unii.

PUDROWANIE RÓŻNIC

W Mediolanie nie tylko nie zaczepiano więc w żaden sposób Berlina, lecz nawet próbowano go podszczuwać przeciw Paryżowi. To zręczna taktyka, bo w obliczu bliskich wyborów europejskich w niemieckiej chadecji panuje zarówno obawa przed wzrostem nowej, eurorealistycznej prawicy, jak i przed nadmiernym sukcesem nowego obozu Macrona, który przecież we Francji skutecznie zepchnął do narożnika starych republikanów, czyli najważniejszych i sprawdzonych sojuszników Niemców w „rodzinie” EPP. W polityce włoskiej Salvini okazuje się znacznie bardziej wyrafinowanym i makiawelicznym graczem niż jego partner w obecnej koalicji – młody neapolitańczyk Luigi Di Maio z lewicowych Pięciu Gwiazd. Di Maio wygląda zresztą na generalnie rozczołowanego współrządzeniem z Salviniem, gdyż choć obaj umówili się na równe w rządzie funkcje wicepremierów (przy marionetkowym premierze Conte’em), to od tego czasu Salvini zdołał wyrosnąć na faktycznego przywódcę narodu, a Di Maio coraz bardziej się z tego powodu denerwuje. Tak było i tym razem, gdy lider Pięciu Gwiazd, oburzony serdecznością Salvini’ego wobec Orbána, niezwłocznie udzielił wywiadu dziennikowi „Fatto Quotidiano”, w którym zadeklarował, że z Orbánem „nie chce mieć nic do czynienia, gdyż on jest przecież w tej samej partii co Merkel”. Dzień wcześniej zaś w ostrych słowach potępił węgierskiego premiera za to, że w toku kryzysu wynikłego po rządowym zakazie zejścia ze statku Diciotti imigrantów na ziemię włoską w porcie w Katanii, Budapeszt odrzucił włoską prośbę o przyjęcie chociażby 18 czarnych przybyszów z Afryki. Nad uwięzionymi na statku Murzynami zlitowali się w końcu... Albańczyk, a także Macron.

Jak widać, idea Ligi Lig, która miałaby być narzędziem odsunięcia od władzy obecnego europejskiego establishmentu, uwikłana jest w liczne kłopoty i sprzeczności. Chociaż bowiem Orbán i Salvini kadzili sobie nawzajem w Mediolanie bez umiaru (Węgier o Włochu mówił nawet: „To mój bohater, towarzysz mojego

przeznaczenia”), to w kluczowej dla nich obu kwestii migracyjnej interesy ich państw są mocno rozbieżne. Rzym walczy o to, aby Europa wzięła od niego część z 700 tys. imigrantów, jacy przyłynęli tam od 2013 r., i w ten sposób okazała „śródziemnomorską solidarność”. Budapeszt jest co prawda zadowolony z tego, że nowy rząd włoski próbuje jakoś zablokować morską granicę kraju, ale pozostaje całkowicie głuchy na włoskie żądania solidarności. Polityczna przyjaźń włosko-węgierska jest więc z góry obciążona, tak samo skądinąd jak analogiczna przyjaźń Włoch i Polski. To po pierwsze. A po drugie, to cała wizja Ligi Lig jako siły, która miałaby od Atlantyku po Morze Czarne stanąć w maju 2019 r. do boju

Wizja Ligi Lig jako siły, która miałaby od Atlantyku po Morze Czarne stanąć w maju 2019 r. do boju o Parlament Europejski, na razie jest dość iluzoryczna

o Parlament Europejski, na razie jest dość iluzoryczna. Owszem, Salvini to polityk tyleż wybitny, ile ambitny, a budowa paneuropejskiego bloku pod jego faktycznym przywództwem jest chyba jego prawdziwym marzeniem. Na razie jednak to marzenie wydaje się słabo spełnialne. Węgierski Fidesz jest od lat aktywnym i ważnym członkiem EPP (co właśnie oburza Di Maio) i korzysta tam z protekcji „Mutti” Merkel, z czego absolutnie nie zamierza rezygnować. Sam Orbán, zapytany o to wprost przez dziennikarzy w Mediolanie, wyl się jak piskorz, aby nie sprawić jakiegokolwiek przykrości swemu rozmówcy.

PLENIPOTENCI BEZ ZLECENIA

Jest jasne, że Salvini i Orbán traktują jako potencjalnego sojusznika także PiS. Choć w tym przypadku sprzeczności pomiędzy interesami państwo-

wymi a ideologiczną międzypartyjną solidarnością są jeszcze liczniejsze i bardziej wyraziste. Polska (podobnie jak Węgry) nie tylko walczy w Unii z włoskimi żądaniami relokacji imigrantów, lecz sytuuje się na antypodach polityki wyrozumiałości dla Putina, jaką (przynajmniej werbalnie) głosi się w Rzymie i Budapeszcie. Jakby tego było mało, co do europejskich finansów i rygorystyki budżetowego, z którym na śmierć i życie walczy obecny rząd włoski, Polska tradycyjnie podziela poglądy Niemiec. Ale za to w Warszawie z niekłamaną satysfakcją musiano przyjąć fakt, że mediolański pakt wycelował swe ostrze w Macrona. Mianując francuskiego prezydenta swym głównym wrogiem, Salvini i Orbán w jakiejś mierze wyręczają Polskę, a nawet – można by rzec – działają jako faktyczni polscy plenipotenci bez zlecenia. Dla Macrona prawdziwym przeciwnikiem w Europie nie są bowiem ani Włochy, ani tym bardziej Węgry, ale Polska. Z perspektywy Paryża to właśnie Polska, której wypchnięcia z Unii za nic na świecie nie chcą Niemcy, jest pośrednio „winna” porażek europejskich inicjatyw Macrona. To Polska, zrywając kontrakty wojskowe z Paryżem, uderzyła w plany francuskiego sektora zbrojeniowego.

To Polska jest też pierwszym w Unii aliantem zniechęconego w Paryżu Donalda Trumpa. I na dodatek to Polacy, konkurencyjni w różnych dziedzinach na europejskim rynku, zagrażają francuskim firmom i pracownikom. Warszawa ma dziś zatem powód do cichej satysfakcji, że ktoś w Europie postanowił się w końcu zabrać do ostrej walki z Macronem. Ale w państwowym polskim interesie leży to, aby zachowując naturalną sympatię i zrozumienie dla europejskiej batalii Salvini’ego oraz Orbána, pozwolić raczej im bić się na pierwszej linii ideologicznego frontu, samemu wykazując właściwe polskiej polityce umiar i powściągliwość. W dzisiejszej bardzo powikłanej europejskiej sytuacji tego właśnie można oczekiwać po roztropnie działającym, dużym kraju unijnym. Mediolański klimat na pewno nie służyłby dziś dobrze Jarosławowi Kaczyńskiemu.

Hit tygodnia

Nikon Z7, Z6

Kilka lat temu Nikon wszedł na rynek bezlusterkowców z modelem Nikon 1. Zrobił to ze sporym opóźnieniem w stosunku do konkurencji i, jak się okazało, z aparatem amatorskim, z niewielką, 1-calową matrycą, małym zestawem obiektywów. I choć aparat okazał się całkiem udany, zwłaszcza ostatnie modele (Nikon 1 już nie jest produkowany), to jednak nie tego oczekiwali amatorzy fotografii. Skutki drugiego podejścia, a raczej wejścia na rynek bezlusterkowców z chybionym produktem mogłyby się okazać dramatyczne. Nic więc dziwnego, że wszyscy wyczekiwali na premierę nowych bezlusterkowców Nikona oznaczonych symbolem Z, więc producent postawił wszystko na jedną kartę. To, co najlepsze i najnowsze, miało się znaleźć w nowych aparatach. I jaki jest końcowy efekt? Oto mamy dwa aparaty Z7 i Z6 (modele z zewnątrz są identyczne, różnią się matrycą – Z7 – 45,7 Mpix, Z6 – 24,5 Mpix – i pewnymi parametrami): pełnoklatkowe, z pięcioosiową stabilizacją obrazu, z możliwością nagrywania 4K i przede wszystkim nowym bagnetem, który pozwoli na konstruowanie znacznie lepszych obiektywów (już zapowiedziano najjaśniejszy w historii firmy o światle f/0,95). Wygląda na to, że japoński producent w ostatnim momencie przyłącza się do gry, ale chce walczyć o pierwsze miejsce. Z tymi modelami wydaje się to możliwe.

Premiera



Plusy i minusy

- + wydaje się, że same: 5-osiowa stabilizacja, 4K, nowy, lepszy bagnet, nowe, potencjalnie lepsze obiektywy, adapter na stare obiektywy (bagnet F)
- wygląda na to, że większych nie ma, no może brakuje wejścia na karty SD

Vordon HT-869BT

Vordon, producent elektronicznych akcesoriów samochodowych, wprowadził na polski rynek nowy model radia samochodowego HT-869BT. Oprócz podstawowych opcji urządzenie ma funkcję Mirror Link, dzięki której można przenieść obraz ze smartfona na 7-calowy, dotykowy wyświetlacz radiodiodniaka. HT-869BT umożliwia odtwarzanie wcześniej przygotowanych multimedialnych w formacie audio i wideo. Radio ma wbudowane

złącze USB, moduł Bluetooth oraz slot kart micro SD. HT-869BT może pełnić funkcję zestawu głośnomówiącego dzięki zewnętrznemu mikrofonowi, a także monitora kamery parkowania. Radio jest wyposażone w złącze AUX 3,5 mm. Dołączony do zestawu pilot umożliwia obsługę radiodiodniaka nawet z tylnego siedzenia. HT-869BT ma klasyczną, czarną obudowę, która pasuje do wnętrza każdego samochodu.

Cena: 499 zł



Hiro Omili

Hiro, polski producent akcesoriów i sprzętu dla graczy, wprowadza na rynek mikrofon, tym razem przeznaczony nie tylko dla streamerów. Omili, wraz z Milo i Ichos, poprzednimi mikrofonami Hiro, wyróżnia się łatwością obsługi, jakością dźwięku i wyjątkowo przystępną ceną. Omili działa wykorzystując technologię Plug and Play, dzięki czemu jest gotowy do działania od razu po wyjęciu z pudełka i podłączeniu do gniazda USB. Nie potrzebuje on żadnej dodatkowej konfiguracji ani zewnętrznego oprogramowania. Wytrzymały i giętki kabel chroniony przez dobrej jakości opłot tekstylny gwarantuje długą żywotność mikrofonu, ponieważ będzie on mniej narażony na przerwania, zagięcia czy złamania.

Cena: ok. 100 zł

Przygotował Paweł Gadaczek



O Polsce w Europie



Trudno wymienić w jednym akapicie tematy, które w ciągu trzech dni tegorocznego XXVIII Forum Ekonomicznego w Krynicy wywoływały emocjonujące dyskusje uczestników debat i spotkań. Z pewnością trzeba jednak zauważyć, że polskie Davos, jak nazywane jest krynickie forum, stało się miejscem wymiany opinii na temat współpracy w naszym regionie Europy. Współpracy opartej, jak często mówiono w tym roku, na budowaniu szerokich mostów między firmami, państwami i w ramach międzynarodowych organizacji



MACIEJ WOŚKO

O budowaniu mostów między narodami polskim i litewskim mówił premier Mateusz Morawiecki, wręczając tegoroczną nagrodę Człowieka Roku na XXVIII Forum Ekonomicznym w Krynicy, którą otrzymał premier Litwy Saulius Skvernelis. „Chcę wyrazić bardzo ogromną radość, że dzięki Sauliusowi mosty po-

między Polską a Litwą są naprawdę coraz szersze, coraz bardziej stabilne. Dzisiaj mogę powiedzieć, że ta historia się coraz lepiej układa. I jest to bardzo piękne uczucie, że Polacy jadąc na Litwę, czują się coraz bardziej jak u siebie w domu, i Litwini przyjeżdżając do Polski, czują się coraz bardziej, jakby byli u siebie w domu. Że potra-

fimy wspólne problemy coraz lepiej rozwiązywać. Że jesteśmy też na dobrej drodze, żeby nasze stanowiska we wszystkich obszarach, również geopolityki i polityki europejskiej, całkowicie uwspólnić. To daje nam większą siłę, bo mamy więcej do powiedzenia” – mówił szef rządu.

Morawiecki podkreślał w swoim wystąpieniu wieloletnie, przyjacielskie kontakty, jakie łączą go z premierem Skvernelisem, który esemesy do polskiego premiera przysyła w języku polskim.

„Jako szef rządu, jako człowiek pragnę i uczynię wszystko, żeby stosunki między naszymi krajami były ciepłe, przyjazne, sąsiedzkie i strategiczne” – oświadczył tegoroczny laureat, podkreślając znaczenie relacji między narodami i rozmów między politykami oraz przedsiębiorcami obu krajów. „Bądźmy razem, rozmawiajmy z sobą, a wtedy zostaniemy usłyszani” – stwierdził Skvernelis.

NAGRODY I LAUREACI

Firmą roku 2017 został Polski Fundusz Rozwoju, a organizacją pozarządową roku – Polska Akcja Humanitarna. Nagroda Nowa Kultura Nowej Europy im. Stanisława Vincenza została w tym roku przyznana Krzysztofowi Pendereckiemu.

Podczas wystąpienia przed wręczeniem nagrody dla Firmy Roku minister inwestycji i rozwoju Jerzy Kwieciński podkreślił, że choć PFR jest młodą firmą – powstał bowiem w 2016 r. – to w „naszej gospodarce zakorzeniony jest jak potężny dąb”. Szef resortu rozwoju podkreślił, że PFR realizuje Strategię na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju m.in. poprzez wsparcie dla małych i średnich firm, samorządów, pomaga w ekspansji polskich firm na globalnych rynkach, poprawia potencjał inwestycyjny firm.

„PFR realizuje jednocześnie największy w tej części Europy program dla start-upów Start in Poland. Może się poszczycić wieloma spektakularnymi transakcjami, jak odkupienie wspólnie z PZU Banku Pekao od Unicredit, sfinansowanie budowy dwóch promów dla Polskiej Żeglugi Bałtyckiej, rozbudowę Portu Północnego w Gdańsku czy budowę trasy Łagiewnickiej” – wyliczał minister.

DEKLARACJE I KONSOLIDACJE

Silna reprezentacja polskiego rządu sprawiła, że w Krynicy padło wiele istotnych deklaracji. W forum uczestniczyli wicepremier i minister kultury Piotr Gliński, minister rodziny, pracy i polityki społecznej Elżbieta Rafalska, minister edukacji narodowej Anna Zalewska, szef resortu energii Krzysztof Tchórzewski, minister infrastruktury

Andrzej Adamczyk, minister środowiska Henryk Kowalczyk, minister finansów Teresa Czerwińska i szef resortu rolnictwa Jan Krzysztof Ardanowski.

Debaty dotyczyły wyzwań stojących przed polską gospodarką, jednak najczęściej rozmawiano o szeroko rozumianej współpracy polskich przedsiębiorstw, m.in. o budowie Grupy PKP, działaniach Polskiej Grupy Górniczej, konsolidacji Orlenu i Lotosu, kooperacji działań i strategii instytucji działających pod szyldem Polskiego Funduszu Rozwoju, ale też o wzajemnym wspieraniu się polskich producentów oraz przedsiębiorstw. W dyskusjach pojawiły się de facto wszystkie prowadzone obecnie przez rząd programy społeczne i gospodarcze – od 500+ poprzez Mieszkanie+ aż po ogłoszony przez premiera rządowy program wspierania młodych sportowców Skaut.

„Chcemy, żeby Polacy mieszkający za granicą wracali do kraju, dlatego przygotowane będą specjalnie dedykowane dla nich propozycje ułatwienia przy zakładaniu firm w Polsce” – zapowiedziała w Krynicy wicepremier, szefowa Komitetu Społecznego Rady Ministrów Beata Szydło.

POLONIA I POLSKIE FIRMY

Temat wspierania i współpracy z Polakami za granicą najwyraźniej wybrzmiał



Fot. Pradka



jednak podczas debat III Forum Polonijnego w Krynicy, na których dyskutowano m.in. o promocji Polski za granicą. Uczestnicy debat byli zgodni, że firmy mogą być i są świetnymi ambasadorami naszego kraju. Prezes Banku Pekao SA Michał Krupiński podkreślił, że europejskie banki od polskich instytucji finansowych obecnych na zagranicznych rynkach mogą się uczyć innowacyjności i kopiować polskie rozwiązania dotyczące choćby bankowości mobilnej.

„Polonia zgłasza zapotrzebowanie na produkty i usługi finansowe polskiego banku. Nie chodzi tu tylko o szybkie przelewy do Polski, lecz także o uznawanie przez bank w kraju macierzystym dochodów uzyskiwanych za granicą” – powiedział Michał Krupiński. I dodał: „Na początku działalności w obcym kraju polskie podmioty nie zawsze mogą w łatwy sposób skorzystać z miejscowego systemu finansowego. Dlatego Pekao chce iść za granicę za swoimi klientami i wspierać ich biznes na kluczowych rynkach eksportowych”. Prezes Pekao poinformował, że we wrześniu bank otworzy pierwszy oddział w Londynie, by wspierać polskie firmy.

TRÓJMORZE I NOWA OŚ

Inicjatywa Trójmorza, polskie inwestycje strategiczne, w tym budowa Centralnego Portu Komunikacyjnego, a także sposoby na zmianę osi rozwojo-

wej w Europie Środkowej i Wschodniej na północ – południe czy wykorzystanie przez Polskę szans, jakie niesie nowy jedwabny szlak, były tematami, na które uczestnicy tegorocznego forum wyraźnie czekali. Wśród dyskutujących obecni byli przedstawiciele państw dwunastki, ale również goście z Chin i krajów UE.

„Szczyt Trójmorza, który odbędzie się w Rumunii 17 września, będzie szczególnie. Każde z państw przygotowało nań wykaz projektów strategicznie ważnych, które pomogą połączyć ten obszar. Podczas panelu prezydentów zostaną wybrane najbardziej priorytetowe projekty infrastrukturalne. Chodzi o podniesienie atrakcyjności ekonomicznej regionu obserwowanego jako całość. Region ma ogromny potencjał, którego nie widać” – wskazała prezes Banku Gospodarstwa Krajowego Beata Daszyńska-Muzycka. „Dlaczego trasę z Budapesztu do Tallina pokonujemy w trzy dni, a trasę z Berlina do Madrytu w trzy godziny? Musimy rozmawiać pilnie o integracji infrastrukturalnej” – mówiła prezes BGK, wyjaśniając intencje powołania Funduszu Trójmorza, który będzie wspierał inwestycje integrujące infrastrukturę transportową.

DOTRZYMANE SŁOWO...

Podobnych deklaracji, zapowiedzi i wypowiedzi dotyczących memo-

randów, umów oraz strategii podczas krynickiego forum padło wiele. Warto zauważyć np. konferencję prezesa PKN Orlen Daniela Obajtka. „Dotrzymujemy słowa. Siedem miesięcy temu obiecaliśmy, że będziemy wzmacniać gospodarkę i że będziemy sprzedawać na naszych stacjach więcej wyrobów polskich. I to robimy. Obecnie ponad 60 proc. produktów na naszych stacjach w Polsce to wyroby polskich producentów, 80 proc. zaś to wyroby wyprodukowane w Polsce” – powiedział prezes Obajtek. „Mówimy o patriotyzmie gospodarczym i to realizujemy – dodał prezes Orlenu.

...I WIĘCEJ ROZMÓW

Wagę idei międzynarodowego forum podkreślał w swoich wypowiedziach twórca krynickich spotkań Zygmunt Berdychowski. Trzeba odnotować, że idee zaszczerpione w Krynicy stały się europejską marką. Dowodem niech będzie choćby podpisanie listu intencyjnego dotyczącego organizacji w Centrum Wystawienniczo-Kongresowym G2A Arena w podrzeszowskiej Jasionce (woj. podkarpackie) Forum Polska – Słowacja.

„Brakowało miejsca na rozmowę o wszystkim, tak jak rozmawiają ci, którzy obok siebie mieszkają. Sąsiedzi czasami rozmawiają, że trzeba sobie pomóc, czasami rozmawiają o tym, że trzeba się tylko spotkać, czasami rozmawiają o wielu drobiazgach i dotychczas Polacy oraz Słowacy takiego miejsca, takiego symbolu spotkań nie mieli” – powiedział Berdychowski.

Obecny na podpisaniu dokumentów marszałek Sejmu Marek Kuchciński podkreślił, że w Krynicy zawsze podejmowanych jest wiele inicjatyw dotyczących Europy Środkowej. „Ta umowa jest tego przykładem. Jest też nowym etapem współpracy polsko-słowackiej” – dodał Kuchciński.

Krynickie forum z roku na rok zyskuje coraz więcej gości. W tym roku było ich ponad 4 tys. Prawie 40 proc. z nich to osoby z zagranicy.

Relacje z XXVIII Forum Ekonomicznego w Krynicy na stronie wgospodarcze.pl/sektory/krynica-2018.

Polskie stocznie powinny budować okręty dla marynarki wojennej

O współpracy z polskim przemysłem stoczniowym i zbrojeniowym rozmawiamy z **Hervé Guillou**, prezesem Zarządu Naval Group

Panie prezesie, przybył pan na Forum Ekonomiczne w Krynicy, aby uczestniczyć w dyskusji o rewitalizacji polskich stoczní. Naval Group oferuje budowę okrętów podwodnych w Polsce, we współpracy z polskim przemysłem. Czy uważa pan, że nasze stocznie podążają takim zadaniu?

Hervé Guillou: Tak, jestem głęboko przekonany o tym, że polskie stocznie są w stanie zbudować nowe i niezawodne okręty podwodne dla Marynarki Wojennej RP. Polski rząd ma wielkie ambicje wobec sektora stoczniowego. Realizacja programu Orka wraz z transferem technologii budowy okrętów podwodnych odegra kluczową rolę w budowaniu zdolności polskiego przemysłu stoczniowego. Pomoże też w jego udanej transformacji w sektor wytwarzający produkty o wysokiej wartości dodanej.

W Naval Group doskonale znamy bardzo dobrą jakość produkcji polskiego przemysłu. Współpracujemy z nim od wielu lat. Dla przykładu, niektóre sekcje korwet Gowind oraz francuskich mistrali zbudowane zostały w Polsce. Nawiązaliśmy owocną współpracę, która nadal trwa, i mamy pełne zaufanie zarówno do polskich stoczní, jak i kompetencji pracujących tam specjalistów.

W ramach przygotowań do programu Orka nasi eksperci przeprowadzili wiele audytów, by ocenić możliwości polskich stoczní zarówno w Szczecinie, jak i w Trójmieście. Naval Group ma ogromne doświadczenie w transferze technologii budowy okrętów, nawodnych i podwodnych, do innych krajów. Potwierdziliśmy bez żadnych wątpliwości wykonalność przeniesienia produkcji okrętów do Polski.

W listopadzie zeszłego roku zawarliśmy strategiczne porozumienie o współpracy Polską Grupą Zbrojeniową. Naval Group wykorzysta swoje unikatowe doświadczenie w transferze technologii po to, by w ramach programu Orka i szerszej współpracy zapewnić w Polsce 2 tys. miejsc pracy przez 15 lat, angażując w nią sto polskich firm.

Nie podpisywalibyśmy tego porozumienia bez całkowitej pewności o możliwości jego realizacji. Jesteśmy przekonani, że polskie stocznie nie potrzebują budować dodatkowych kompetencji przed rozpoczęciem budowy okrętów dla marynarki wojennej. Odwrotnie, potrzebują rozpocząć budowę okrętów dla marynarki, aby zwiększyć swoje zdolności.

Z naszej strony jesteśmy gotowi. Nie widzimy przeszkód, by ten program został zrealizowany szybko. Jeżeli decyzje zapadną wkrótce, kontrakt może wejść w życie za rok, a prace związane z budową w Polsce mogłyby ruszyć jeszcze w 2019 r.

Czy Naval Group budował już wcześniej okręty podwodne we współpracy z przemysłem państw odbiorców? Czy zakończyło się to sukcesem?

Tak, realizowaliśmy już takie programy, a nasi klienci i partnerzy są w pełni zadowoleni z ich wyników. Prowadzimy obecnie cztery programy budowy okrętów podwodnych, z których dwa – w Indiach i w Brazylii – dotyczą okrętów Scorpene.

W Indiach nasza współpraca przynosi już wymierne efekty. Indyjska marynarka stała się już dumnym użytkownikiem nowoczesnych i w pełni operacyjnych okrętów Scorpene, zbudowanych w tamtejszych stoczniach. Trzy okręty są już w morzu, trzy kolejne w trakcie budowy.

Z kolei w Brazylii udało nam się zbudować od zera całą infrastrukturę przemysłową i bazę marynarki wojennej w środku dżungli. Pierwszy okręt podwodny Scorpene brazylijskiej marynarki wojennej zostanie zwodowany jeszcze w tym roku.

Budowa okrętów wojennych to proces skomplikowany, jest więc istotne, aby dobrać odpowiednich partnerów, którzy mają doświadczenie i są w stanie poprzeć swoje obietnice faktami. Nie ma żadnej tajemnej „receptury”, aby sprawić, że transfer technologii zostanie zakończony sukcesem, ale kluczowe jest zastosowanie odpowiedniej metodologii.

Dzięki doświadczeniu Naval Group w ukończonych z sukcesem transferach technologii budowy okrętów do państw na całym świecie opracowaliśmy własną metodologię, aby zagwarantować, że będzie on udany. Co więcej, nasz proces transferu technologii produkcji, serwisowania i modernizacji okrętów Scorpene jest już w pełni sprawdzony.

Mam pełne zaufanie co do zdolności naszej firmy do dokonania transferu technologii do polskiego przemysłu stoczniowego. Jestem też przekonany o jego zdolności do nauki nowych kompetencji i o tym, że polskie stocznie wykorzystają program Orka do swojego rozwoju, a budowa okrętów zakończy się sukcesem.

Arkady Saulski

Sąd ratuje ministra z PO

Tak wygląda sprawiedliwość według polskich sądów! Mateusz Szczurek, który w rządzie PO pełnił funkcję ministra finansów, nie odpowie (przynajmniej na razie) za rzucone wbrew faktom i w szczycie politycznej nagonki na SKOK-i zdanie porównujące kasy do... piramidy finansowej

Reprezentująca SKOK-i Kasa Krajowa już zapowiada kasację kuriozalnego wyroku. Jest także stanowczy komentarz przewodniczącego Komisji Nadzoru Finansowego, który podkreśla, że Kasy działają zgodnie z prawem, są nadzorowane przez państwo, a wypowiedzi osób publicznych powinny służyć stabilności rynku finansowego.

Kuriozalna wypowiedź Szczurka padła w lipcu 2015 r. To było apogeum nagonki na spółdzielcze kasy, prowadzonej w trakcie kampanii prezydenckiej i parlamentarnej przez Platformę Obywatelską. Ówczesną partię rządzącą wspierały organy państwa i zaprzyjaźnione media. Atak na SKOK-i był obliczony na to, by uderzyć w PiS i Andrzeja Dudę. Próbowano wmówić ludziom, że wszystkie działające od lat z pożytkiem dla Polaków spółdzielcze kasy są w jakiś sposób „podejrzane”. Andrzej Duda zaś jest w coś „zamieszany”, bo pracował w kancelarii śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego, gdy ten, zgodnie z prawem i kompetencjami, skierował przygotowaną przez PO ustawę o SKOK-ach do Trybunału Konstytucyjnego.

– Piramida pozostaje piramidą – grzmiał ówczesny minister finansów Mateusz Szczurek podczas posiedzenia sejmowej komisji finansów publicznych.

W reakcji na słowa Szczurka Kasa Krajowa, reprezentująca sektor spółdzielczych kas, skierowała pozew o ochronę dóbr osobistych. Odrzuciły go sądy pierwszej i drugiej instancji. Dlaczego? Ano, co wynika z przytaczanego przez media uzasadnienia, przede wszystkim dlatego, że „Mateusz Szczurek nie występował w Sejmie jako osoba prywatna”. Sędziowie stwierdzili też, że Kasa Krajowa „nie ma uprawnień do reprezentowania kas w procesach



Były minister finansów M. Szczurek

o ochronę dóbr osobistych”. A prawda? Kto by się tam prawdą przejmował.

Kasa Krajowa rozważa możliwość wniesienia skargi kasacyjnej od wyroku i podkreśla, że „zapadły wyrok jest zaskakujący i niebezpiecznie wpisuje się w aktualny konflikt polityczny”.

„Nie można się zgodzić na społeczną wymowę tego wyroku, dotyczącą swą niesprawiedliwością ponad 1,5 mln członków spółdzielczych kas. Jednocześnie Kasa Krajowa pragnie podkreślić, że doniesienia prasowe sugerujące, że wyrokiem sądu były minister finansów nie musi przeproszać SKOK-ów, bo sąd uznał jego wypowiedź za merytorycznie uzasadnioną, a nie z powodów formalnych [...] jest skandalicznym manipulowaniem opinią publiczną” – podkreśla Kasa Krajowa w swoim komunikacie.

Do słów Mateusza Szczurka z 2015 r. odniósł się, po tym jak media nagłośniły decyzję sądu, przewodniczący Komisji Nadzoru Finansowego Marek Chrzanowski. – Wypowiedzi osób publicznych powinny służyć budowaniu świadomości klientów, stabilności rynku finansowego i budowaniu zaufania do jego instytucji – zauważył Chrzanowski.

Przewodniczący KNF podkreślił rzecz oczywistą, o której zdaje się zapominał Szczurek: spółdzielcze kasy (podobnie jak banki, a zupełnie odwrotnie niż piramidy finansowe) to instytucje legalne, a ich działalność jest obwarowana licznymi przepisami.

– Sektor SKOK funkcjonuje w sposób szczegółowo regulowany przepisami prawa, spośród których przytoczyć można chociażby te gwarantujące depozyty każdego z członków SKOK do kwoty 100 tys. euro przez BFG – zaznaczył Marek Chrzanowski.

Szef instytucji nadzorującej SKOK-i, banki i inne instytucje finansowe podkreślił też spółdzielczy charakter kas. – Spółdzielcze Kasy Oszczędnościowo-Kredytowe, wskazane wprost w dyrektywie 2013/36/UE jako mogące prowadzić działalność depozytowo-kredytową poza regulacją dyrektywy, na podstawie przepisów prawa polskiego, prowadzą działalność jako spółdzielnie, regulowane ustawą prawo spółdzielcze i ustawą o spółdzielczych kasach oszczędnościowo-kredytowych, korzystając z konstytucyjnej swobody zrzeszania się. Każdy klient kasy jest zarazem jej członkiem i tworzy organ kasy, czyli walne zgromadzenie mające wpływ, zgodnie z prawem spółdzielczym, na działanie kasy oraz wybór jej organów – wyjaśnił Marek Chrzanowski.

Warto przypomnieć, że większość spółdzielczych kas przetrwała gigantyczną nagonkę polityczno-medialną z ostatnich lat rządów Platformy, choć, co podkreślało wielu ekspertów, czego podobnego nie przetrwałby żaden bank komercyjny. Dzisiaj trwa stabilizacja i odbudowa siły sektora spółdzielczego, który jest cenną alternatywą dla banków i firm pożyczkowych.

Kajetan Kutnowski

Bądź widoczny z odblaskiem

Statystyki wypadków z udziałem pieszych są brutalne.

W zeszłym roku na polskich drogach zginęło niemal tysiąc osób.

Podobnie jak w latach poprzednich – połowa tych tragedii wydarzyła się w ciągu ostatniego kwartału roku.

Na taki stan rzeczy wpływ mają nasze warunki klimatyczne, a zwłaszcza gorsza widoczność przy wcześnie zapadającym zmierzchu



Fot. Shutterstock

S chyłek roku oznacza krótsze dni. Wtedy częściej zmuszeni jesteśmy się poruszać po drodze już po zmierzchu. Widoczność pogarsza również jesienno-zimowa aura: opady, mgły. W takich warunkach powinniśmy być szczególnie ostrożni jako uczestnicy ruchu drogowego. Dotyczy to wszystkich. Choć statystycznie ujmując, sprawcami wypadków częściej bywają kierujący pojazdami, więcej ginie pieszych i rowerzystów, którzy w konfrontacji z samochodem są bez szans. Policyjne statystyki za rok 2017 podają, że stanowili oni aż 38 proc. wszystkich ofiar wypadków. „Na tę grupę należy zwrócić szczególną uwagę, ponieważ w przeciwieństwie do poruszających się samochodami osoby te nie są osłonięte karoserią samochodu, nie mogą liczyć na działanie poduszek powietrznych ani pasów bezpieczeństwa” – czytamy w publikacji Komendy Głównej Policji w dziale „Bezpieczeństwo osób pieszych i innych niechronionych uczestników ruchu”.

Ofiarami są najczęściej osoby starsze i dzieci. – W roku 2017 w wypadkach drogowych pokrzywdzonych było 911 dzieci. Rozdawanie odblasków wtedy, gdy zbliża się październik, listopad, grudzień, czyli ostatni kwartał roku, to dobry pomysł, bo – jak pokazują statystyki – ostatni kwartał zabrał połowę ofiar ubiegłego roku. Zbliża się najgorszy czas dla nas wszystkich – mówi podinspektor Radosław Kobryś z Komendy Głównej Policji.

Kluczową sprawą jest widoczność. Nieważne, w jaki sposób poruszamy się na drodze: pieszo, rowerem, motorem czy samochodem, inni uczestnicy ruchu muszą dostrzec nas odpowiednio wcześniej, by móc zareagować. Najslabszy, czyli pieszy, powinien o siebie zadbać sam. Doskonałym rozwiązaniem jest noszenie odblasków.

– Co do zasady odblask świecący światłem odbitym sprawia, że po zmierzchu pieszy może być zauważony w światłach pojazdu nawet ze 150 metrów. Bez odblasku będzie widoczny

dopiero z odległości 30 metrów. W takiej sytuacji kierujący pojazdem jadącym z prędkością 50 km/h nie ma szans zareagować. Uderzy w pieszego, zanim rozpocznie hamowanie. Odblask założony na rękę, nogę, torebkę czy plecak to szansa dla kierującego, by mógł zareagować odpowiednio szybko – wyjaśnia Radosław Kobryś.

Od 31 sierpnia 2014 r. każdy pieszy, który porusza się po zmierzchu po drodze poza obszarem zabudowanym, musi mieć odblask umieszczony w sposób widoczny dla kierujących. Za brak takiego elementu grozi mandat. Wbrew pozorom do większości potrażeń dochodzi w obszarze zabudowanym. Okazuje się, że najmniej bezpiecznym miejscem (aż połowa wypadków) są... przejścia dla pieszych. Dlatego, mimo braku nakazu, warto „się świecić” i być widocznym z daleka również w mieście.

Noszenie odblasków nie zwalnia z myślenia. Wręcz przeciwnie – sięgając po nie, pokazujemy, że jesteśmy świadomi zagrożeń i zrobimy wszystko, aby się przed nimi uchronić. Przejścia dla pieszych są miejscami tak wielu wypadków, bo często piesi wchodzi na nie bezpośrednio przed pojazdami.

– Odblask jest po to, żeby pieszy był widoczny z dostatecznej odległości. Ale to nie wszystko. Dodatkowo daje mu również impuls do rozmyślań: mam talizman, którym zabezpieczam się przed wypadkiem. To oznacza, że jestem ostrożny, czyli nie tylko świadomie zakładam ten odblask, lecz będę również rozglądał się na drodze i szukał zagrożeń – podkreśla policjant.

To bardzo ważne, aby dzieci wraz z odblaskiem dostały od swoich rodziców lub nauczycieli lekcję bezpieczeństwa. A jeszcze ważniejsze, by uczyły się bycia świadomymi uczestnikami ruchu drogowego, patrząc na nas: na to, jak my nosimy swoje odblaski i jak rozważnie poruszamy się na drodze. **AR**

Staram się celebrować chwile

Zbiegiem lat coraz bardziej smakuje mi... samo życie. Staram się cały czas doświadczać radości z tego, co przynosi. Zauważać ludzi wokół siebie – tych spotkanych w zwykły dzień i tych fantastycznie zdeterminowanych, często tak niebywale utalentowanych, którzy przychodzą do programu „Mam talent”. I cieszę się córką, która pięknie rośnie i jest zdrowa. Staram się wy-ciskać z każdej chwili jak najwięcej radości i przyjemności, bo przyszedł moment, gdy zacząłem zauważać, że nie do końca jest się gdzie spieszyć.

Bardzo dużo w życiu zrobiłem, ale nie-wystarczająco się tym cieszyłem. Muszę to teraz nadrobić. I bynajmniej nie jest to re-fleksja wieku średniego [śmiej], ale prze-wartościowanie. Po prostu nastała pora na prawdziwe smakowanie życia. Choć niekoniecznie w kuchni.

Jak tylko mamy więcej czasu, raczej z Carmen wychodzimy z domu: wybieramy się do stadniny albo idziemy do kina, albo poznajemy piękne zakątki. Bardzo dużo jeździmy samochodem i wtedy spokojnie możemy sobie omówić, co się wydarzyło: co było radosne albo co sprawiło kłopot; jak układają się

relacje z koleżankami... Te chwile rozmowy też staram się celebrować.

Z własnego dzieciństwa pamiętam atmosferę i smaki dwóch domów. Pierwszy był ciemny ryż z fasolą, który na Kubie jest kulinarną bazą. Pamiętam: dawał fajne uczucie sytości. Z Polski, z najwcześniejszych lat, zapamięta-łem pierogi z kapustą. I jedno, i drugie danie przygotowywała mama (która jest Polką), ale też obie babcie. Miałem pięć lat, kiedy przyjechalśmy pierwszy raz do Polski, na święta Bożego Narodzenia. Od wejścia poczułem zapach przygotowywa-nych potraw, ale też dużo radości, wręcz entuzjazm towarzyszący spotkaniu. No i ta niesamowita świąteczna atmosfera. Wspamięnałem chwile.

W Polsce nie ma wielu restauracji kubańskich, więc ze znajomymi naj-częściej spotykamy się przy... włoskich da-niach. Ale pod koniec tego roku, najpóźniej na początku przyszłego, wybiorę się na Kubę.

Chciałbym ją też pokazać Carmen. I, oczywiście, pierwszą potrawą, jaką jej tam zaproponuję, będzie ryż z fasolą.

Notowała Jolanta Gajda-Zadworna

Ryż po kubańsku z fasolą

przepis ze strony Nina w Kuchni

Składniki: 2 łyżki oleju, 1 papryka zielona, 1 papryka czerwona, 1 mała czerwona cebula, 2 ząbki czosnku, 1 szklanka ryżu długo-ziarnistego, 1 puszka fasoli czarnej lub czerwonej (wraz z płynem) albo 1–1,5 szklanki gotowanej fasolki, 1,5 szklanki wody, 1/2 łyżki mielonego kminu rzymskiego (ku-minu), 1 liść laurowy, szczypta oregano, sól i pieprz do smaku, natka kolendry do po-sypania (jeśli mamy).

Wykonanie: Papryki umyć, usunąć gniazda nasienne, pokroić w kosteczkę. Cebulę obrać i pokroić w kostkę. Obrany czosnek drobno posiekać albo wycisnąć przez pra-

skę. Na dużej, szerokiej i wysokiej patelni albo w szerokim garnku rozgrzać olej. Dodać cebulę, papryki, czosnek i podgrzewać do miękkości, 4–5 min. Dodać szklankę surowego ryżu, fasolkę wraz z płynem z puszki, wodę, kmin rzymski, liść laurowy i oregano, sól i pieprz. Gotować na średnim ogniu, mieszając od czasu do czasu, aż ryż wchłonie więk-szość płynu, a ten wystaje nieco ponad jego poziom. Garnek wstawić na mini-malny ogień, przykryć i gotować dalej ok. 20 min, aż ryż będzie miękki, ale pozostanie jędrny. Po wyłączeniu gazu pozostawić ryż pod pokrywką na 5 min. Doprawić w razie potrzeby solą i pieprzem. Posypać posiekaną natką kolendry.





SŁODKO-SŁONY

Ostatni dzień lata

ANNA MONICKA

Książka Joyce Maynard „Ostatni dzień lata” urzekła mnie w te wakacje. Podobnie jak na jej podstawie nakręcony film z genialną Kate Winslet w roli Adele – opuszczonej żony, i Joshem Brolinem jako Frankiem – zbiegłym mordercą, który szuka u niej pomocy. Tych dwoje spędza z sobą raptem weekend, wspólnie gotując, tańcząc, rozmawiając, pijąc wino. I zakochując się w sobie, choć okoliczności im zupełnie nie sprzyjają, bo za Frankiem rusza policyjna obława, która w końcu go dopada. Wszystko dlatego, że Frank rezygnuje z ucieczki, wybiera kilka dni z Adele. Któregoś popołudnia upieczesz dla niej kruche ciasto z brzoskwiniami. I ja właśnie chciałam o tym cieście... Owoce trzeba obrać i pokroić na kawałki, posypać cukrem i cynamonem, ale nadzienie to pestka. Składniki trzeba trzymać w chłodzie i skończyć, zanim się ocieplą.

„Frank upiekł już w życiu tyle ciast, że nie musiał odmierzать składników, jednak do mojej wiadomości podał, że lubi zaczynać od trzech szklanek mąki. Wtedy ma się więcej ciasta i można zrobić zawijane, a jak ma się pod ręką jakiegoś smarkacza, można mu dać trochę ciasta, żeby wycinał je foremką. Nie odmierzał soli, ale ocenił, że powinno jej być trzy czwarte łyżeczki. Ciasto z kruchym spodem dużo zniesie, Henry, zwrócił się do mnie. Możesz popełnić mnóstwo błędów i wciąż wyjdziesz w porządku, tylko o jednej rzeczy nie wolno zapomnieć: o soli”. Najpierw wkłada się tłuszcz do miski razem z mąką i solą, miesza widelcami (nie nagrzewa się od rąk). Niektórzy używają masła, ale żeby osiągnąć efekt kruszących się płatów, jak w cieście francuskim, bardziej nada się smalec. Ale i masła odrobina, pokrojonego w kostkę. Oczywiście odmierzał na oko, bo gdy „trzymasz się za bardzo przepisów, tracisz zdolność wyczucia”. Jeszcze odrobina wody – im mniej, tym bardziej kruche wyjdziesz ciasto – i zagniatamy kulę. Wąłkujemy i połową wyklejamy formę. Ciasto posypujemy tapioką (wchłania sok), układamy owoce, oprószamy wiórkami masła, nakrywamy resztą ciasta, skleamy brzegi. Smarujemy mlekiem, posypujemy cukrem i nakładujemy widelcem, żeby uciekla para. Pieczemy 45 minut w dobrze nagrzanym piekarniku. Na filmie wyglądało to bosko. ▮

Przepis i cytaty z książki Joyce Maynard „Ostatni dzień lata”, Muza SA



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Czy może istnieć związek pomiędzy XIX-wiecznymi osiągnięciami mikrobiologii a opanowaniem tegorocznej klęski urodzaju? W 1862 r. Louis Pasteur wyjaśnił, w jaki sposób pod wpływem wysokiej temperatury drobnoustroje ulegają zniszczeniu. Konstatacja ta poczyniona wcześniej zmieniłaby kolosalnie warunki przeprawy żeglarzy Kolumba przez Atlantyk, a wojskom Jaremy ułatwiłaby przetrwanie w okopach Zbaraża. Czy pasteryzacja została wymyślona za późno? Nie wiem, z pewnością ludzkość bez znajomości tej metody miała pod górkę. Przykładowo mleko, choć bogate w substancje odżywcze, ze swojej natury jest rozsądnikiem bakterii. Według badań Dominika M. Matusiaka opisanych w artykule „Zagrożenia wynikające z obecności drobnoustrojów chorobotwórczych i ich toksyn w produktach mlecznych”, zamieszczonym w periodyku „Journal of Health Study and Medicine”, salmonella, pałeczki coli, Listeria monocytogenes to tylko niektóre z mikroorganizmów żyjących w mleku. Nawet mleko pobrane w specjalnych, higienicznych warunkach zawiera kilka tysięcy komórek bakterii na 1 ml. Jest więc naturalne, że mleko poszło na pierwszy ogień pasteryzacji.

W 1910 r. obowiązek pasteryzacji mleka wprowadzono w Nowym Jorku. Anglicy nie palili się zbyt do nowych nawyków higienicznych, w konsekwencji czego w latach 1912–1937 na terenie Anglii i Walii zmarło 65 tys. osób zarażonych gruźlicą transmitowaną przez niepasteryzowane mleko. Należy pamiętać, że pasteryzacja nie wymaga 100°C, np. bakterie E. coli giną po 15 sekundach spędzonych w 61,5°C. To dzięki pasteryzacji możemy przełamać impas wynikający z sezonowości wegetacji w naszej strefie klimatycznej. Kiedy Ziemia nadstawia w stronę Słońca okolice Zwrotnika Koziorożca, my, mieszkańcy odległych rubieży położonych na północ od Zwrotnika Raka, nie mamy szans na nic świeżego, zielonego, soczystego. Mamy zimę. Pasteryzacja umożliwia translokację płodów Słońca w czas mroku i zimna. ▮

DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

Przeczytaj teksty Przemysława Barszcza w książce „Sekretny dziennik lasu”, wydanej nakładem wydawnictwa Fronda



PIOTR SKWIECIŃSKI

Bezwstyd



*Wierzący w to, że trwa Armagedon,
uważają, że w takim razie wszystko wolno*

Kiedy kilka lat temu pewna licealistka z Gorzowa nazwała premiera Tuska „zdrajcą” i na prawicy podniosła się fala entuzjazmu, niektórzy szczególnie wzmożeni posunęli się do tego, by nazywać ową dziewczynę „współczesną »Inką«”. Uczestniczyłem wtedy w pewnej dyskusji. Powiedziałem, że to przesada, bo niezależnie od tego, co kto sądzi o Tusku, to słynna wówczas Marysia współczesną „Inką” nie jest. W odpowiedzi pewien rozemocjonowany dyskutant krzyknął do mnie: „W takim razie: kto jest?!?”

Odpowiedź na to skierowane do mnie pytanie brzmi oczywiście: nikt nie jest, bo to nie są te czasy, nie te wyzwania, nie te zagrożenia, więc również nie te na nie odpowiedzi. Nie ten więc również heroizm, w ogóle wszystko inne. To jest tak oczywiste, że aż głupio przypominać te banały.

Tylko że trzeba, bo istnieje spora część Polaków, do których to nie dociera.

Czego najlepszym przykładem jest retoryczne pytanie wykrzywane do mnie przez mojego rozmówcę. Zdradzało ono bowiem, że jest on tak przywiązany do koncepcji rzeczywistości, w której nasze czasy to przedłużenie lat 40., trwa „wojna któregoś pokolenia UB z którymś pokoleniem AK”, racje moralne są rozłożone tak jak wtedy, a strona nazywająca się patriotyczną ryzykuje tak samo (no, może prawie tak samo) jak żołnierze „Łupaszki”, tak bardzo chce żyć właśnie w takiej Polsce, że na własny użytek przetwarza rzeczywistość, by mu do pożądanej (czyli strasznej, a zarazem bohaterskiej i straceńczej) wizji pasowała. Choć to człowiek inteligentny.

Od tej pory minęły cztery lata i wybory (jako niesławszowane, co nosiciele tego rodzaju wizji przyjęli często ze zdumieniem, no bo skoro Polskę dalej okupują komuchy z wszechmocnym układem ubeków i udeków, to jak to możliwe, że oddali władzę...?). Rządzą nasi. I generalnie dają radę. I nic nie wskazuje na to, aby utrata przez nich tej władzy, zwłaszcza będąca efektem czegoś innego niż ewentualna (też na nią nic nie wskazuje) wola większości wyborców, była w najbliższym czasie realna.

Ale wizja „Inki” naszych czasów ma się dobrze. Dziś to już nie Marysia z Gorzowa, tylko pani Dominika, która spoliczkowała pewną krewką (skądinąd, jak się wydaje, mającą poważne problemy z samą sobą) działaczkę KOD, która w czasie uroczystości 1 września wraz ze swoimi kolegami krzyczała na placu Piłsudskiego „Konstytucja!”. Spoliczkowała, do-

dajmy, zza barierki, więc całkowicie bezpieczna, niezagrożona ewentualnymi kontrrękoczynami. Rzeczywiście, bohaterstwo na miarę „Inki”.

Narzucają się tu dwie refleksje. Pierwsza – żyjemy w czasach krzyży naprawdę pluszowych. I bezwstydny w ich używaniu. Przecież ktoś, kto porównuje panią Dominikę do „Inki”, jest w oczywisty sposób groteskowy. A jednak to robi. Bo jest oczadziały? Też. Bo jest historycznym ignorantem? Może. Ale przede wszystkim jest – właśnie – bezwstydny.

Bezwstydny, bo czuje się bezkarny. Bo wie, że nawet jeśli niektórym z jego politycznej wspólnoty to, co zrobił, się nie spodoba, to za to innym bardzo. I ta wspólnota go na pewno nie wypłuje za cokolwiek, co zrobił przeciw drugiej stronie. Bo przecież nie można osłabiać Sił Dobra w świecie, w którym już trwa Armagedon. Chłopak (albo dziewczyna) przesadził, ale przecież chciał dobrze... Co może najbardziej przerażające – wielu mówiących, że „to przesada”, mówi tak szczerze. To znaczy uważają oni, że takie postrzeganie współczesnej Polski to właśnie tylko przesada, a nie całkowita aberracja.

I refleksja druga. Kiedy ktoś usprawiedliwia użycie przemocy wobec uczestnika konfliktu politycznego, który przemocy nie używa (bo nie kupuje wersji o spoliczkowaniu sławetnej „Rudej” jako karze za coś, co było ileś dni wcześniej – za agresywne odpychanie

zwolenników PiS w czasie prowokacyjnych działań kodowców na spotkaniach polityków partii rządzącej z wyborcami; bicie może być bowiem usprawiedliwione jedynie jako środek samoobrony wobec człowieka, który teraz i w tym momencie bezprawnie pierwszy zaatakował), jednocześnie daje drugiej stronie moralną zgodę na to, żeby to jego – albo polityka, z którym się utożsamia – ktoś uderzył. Uderzył w analogicznych okolicznościach, czyli bynajmniej nie wtedy, kiedy on pierwszy zaczął bić, tylko wtedy, kiedy uczyni coś, co kogoś nie lubiącego go po prostu zdenerwuje. Spodziewałbym się takiej reakcji.

Ale – i to jest może najgorsze – wydaje mi się, że tym, którzy pochwalają wiekopomny czyn pani Dominiki, może wręcz o to chodzić. Wydaje mi się, że spora grupa radykałów (po drugiej stronie również) tak naprawdę chciałaby eskalacji. Chciałaby „kryterium ulicznego”. Bo nienawisć jest naprawdę potężną emocją, a oni mają serdecznie dosyć konieczności powstrzymywania jej. W sumie mają dość zgniętego pokoju, tak jak Europejczycy przed 1914 r. I mogą zebrać analogiczne owoce tego swojego nastawienia.

Tylko że wtedy wraz z nimi zbierzemy je wszyscy.

Tylko prawda jest ciekawa

Do wyborów do Parlamentu Europejskiego pozostał niecały rok. Nic dziwnego, że tworzone są listy kandydatów, a stary establishment brukselski mebluje funkcje i stanowiska, od Komisji Europejskiej poczynając, a na personelu pomocniczym kończąc. Również w Polsce coraz głośniej wymieniane są kandydatury do PE, m.in. wicepremier Beaty Szydło. Strona konserwatywna liczy na dobrą zmianę i wejście do europejskiej polityki ludzi młodych, krytycznie oceniających wymuszoną na społeczeństwach „europejską demokrację” czy inną, tzw. liberalną. Na jedno wychodzi.

Nie należy jednak liczyć na radykalne zmiany w układzie sił, ponieważ wyborcy krajów UE poddawani przez dziesięciolecia indoktrynacji ideologii poprawności politycznej w swej większości nie dostrzegli zagrożeń płynących ze strony elit rządzących, żerujących na ich wierze w wolność konsumpcji i tolerancję. Zwłaszcza dla wszelkich dewiacji, jaką jest gender czy chociażby eutanazja osób wymagających opieki, dzieci i starców, istot ludzkich będących ciężarem dla społeczeństw, czyli zbędnych.

Jaki powinien być Europejczyk według tej poprawności? Europejczyk powinien skończyć wyższą uczelnię, co go automatycznie zalicza do inteligencji, przykładem takiego Europejczyka jest Rafał Trzaskowski, kandydat PO na prezydenta Warszawy. Ale on nie jest wyjątkiem, takich Trzaskowskich są w UE miliony. Są to ludzie między 35. a 50. rokiem życia, wpasowani w standardy tzw. etyki liberalnej, sterowani sondażownikami lewackiej proveniencji, bijącymi na głowę uczciwe instytuty badania opinii publicznej swoim międzynarodowym zasięgiem, a więc pełniącymi funkcję światowych autorytetów. Do nich należy m.in. TNS Polska – członek Kantar Group – czy Millward Brown. Zagraniczne sondażownie funkcjonujące w naszym kraju noszą niewinną nazwę „fundacja” i często, dla zmylenia przeciwnika, zmieniają nazwę. Ich zadaniem jest manipulowanie opinią publiczną w duchu walki z partiami pravicowymi, konserwatywnymi i nieliberalnymi. Na szczęście to wyniki wyborów decydują o popularności danej partii, jak było w Polsce, na Węgrzech, w Austrii, w Czechach czy ostatnio we Włoszech.

Klasycznym przykładem beczelnej manipulacji jest międzynarodowa korporacja Nielsen z siedzibą w Nowym

Wyborcy krajów UE, poddawani przez dziesięciolecia indoktrynacji ideologii poprawności politycznej, w swej większości nie dostrzegli zagrożeń płynących ze strony elit rządzących, żerujących na ich wierze w wolność konsumpcji i tolerancję

Jorku, badająca konsumpcję przekazów mediowych w 100 krajach, obejmując swoim zasięgiem 90 proc. światowej populacji. Jest to prawdziwa potęga, która tworzy słupki rosnącej oglądalności TVN i malejącej TVP i wcale się tego nie wstydzi. Oglądalność telewizji Jacka Kurskiego spada z miesiąca na miesiąc, ale to by znaczyło, że nikt jej nie ogląda, z wyjątkiem polityków PO i jej mediów. Problem w tym, że wrogowie dobrej zmiany są w mniejszości, a zwolennicy PiS, czyli widzowie TVP, w większości.

Najgorliwszych zwolenników tego, co było w Polsce i na całym Zachodzie, znajdujemy w pokoleniu średnim, a więc w takim, w którym ludzie są już życiowo i zawodowo ustawieni i zadowoleni ze swojego statusu „inteligentów”, za jakich się uważają. Oni nie chcą żadnych zmian, bo te zmiany ich nie dotyczą. Dotyczą wykluczonych przez PO i SLD, chłopów, robotników, kasjerów w Biedronce i sprzątaczek w ich biurach. Owszem, 500+ biorą, 300+ też, bo pieniądź nie śmierdzi. Jakieś ideały? A co to takiego? Aha, konstytucja i Małgorzata Gersdorf. To są ideały, o które trzeba walczyć. Trzeba, ale się nie chce, więc wysła się do tej walki awanturników z KOD i im podobnych prostaków.

Tak należy ocenić zwołaną przez Różę Thun w Brukseli konferencję w obronie demokracji, z udziałem głosicielki hasła „żeby było tak, jak było”, reżyserki Agnieszki Holland i lidera Obywateli RP Pawła Kasprzaka. Temat narady: „Jak Polacy bronią demokracji?”. No jak? Bronią swojej demokracji zdalnie sterowani z Brukseli, Berlina i Paryża, powtarzając te same komunały, bezradni wobec rosnącego sprzeciwu narodów UE przeciw pogardzie elit dla zwykłych obywateli. Pogardzają nimi owi inteligenci w pierwszym pokoleniu, którzy dorwali się do władzy i będą się indyczyć aż do skutku. A Róża Thun zorganizowała w Brukseli spęd we własnym interesie, ona broni swego stołka w PE.

Tych lewacko-liberalnych stołków bronią sondażownie, wierząc, że słupki wpłyną na wybory, ale chyba kierują nimi „styropiany”, nieświadome, że oprócz ich badań liczą się opinie wyrażane codziennie na forach internetowych, nie tylko fake newsy, ale prawdziwe. I jest ich coraz więcej, bo tylko prawda jest ciekawa.

Krystyna Grzybowska

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Trzecia wartość

Istotne jest uczenie dzieci na obczyźnie języka rodzinnego jako ważnego elementu kultury, z której pochodzą rodzice



Ostatni felieton Jana Pospieszalskiego „Nie bójcie się polskości” zachęcił mnie do podtrzymania tematu, tym bardziej że sprawą wychowywania młodych Polaków na emigracji zajmowała się całymi latami śp. prof. Danuta Mostwin z USA, którą miałem zaszczyt poznać i trochę popularyzować w Polsce jej naukowe dokonania. Obok licznych esejów i powieści w języku polskim Danuta Mostwin publikowała rozprawy naukowe w języku angielskim, a jej praca doktorska „Transplanted Family” (Rodzina przeszczepiona) ukazała się w 1980 r. w wydaniu książkowym (wydawnictwo Arno Press).

Książką idealnie pasującą do rozważań Jana Pospieszalskiego jest zaś inna, pod tytułem „Trzecia wartość”, wydana jeszcze za PRL z cenzorskimi ingerencjami, a potem w 1995 r. już w całości, nakładem Wydawnictw Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego.

Jeżeli jest tak, jak pisze Jan Pospieszalski, że pracownicy socjalni i pielęgniarki środowiskowe bałamucą rodziców, mówiąc, że uczenie za granicą dzieci języka polskiego utrudni maluchom dobre poznanie języka kraju osiedlenia, to trzeba wiedzieć, że dzieciom tym wyrządzana jest krzywda. Krzywdzą dzieci także ci rodzice, którzy są przekonani, że „warunkiem dobrego startu jest pełna asymilacja i odcięcie się od polskości, bo dwa języki sprawią, że dzieciom pomiesza się w głowie”. Jest właśnie odwrotnie, co udowodniła prof. Mostwin. Badając przez 40 lat polską diasporę w USA, losy różnych fal emigracji, które nazwała umownie: żołnierską, konsumentenką, solidarną, milczącą i ostatnią, którą określiła jako magisterską, doszła do wniosku, że „trzecia wartość” to ener-

gia wytworzona na skutek konfrontacji jednostki (i jej wartości) z nowym układem. Są to konfrontacje kryzysowe, które wymuszają zdolności (co wymaga wysiłku) do ich rozwiązywania. „Konfrontacje i rozwiązywanie kryzysów są następującymi po sobie fazami uczenia się, zwiększania wiedzy o nowym systemie i o sobie samym” – pisze Danuta Mostwin. W rezultacie zauważa, że prowadzi to do innego, bogatszego sposobu myślenia, zwiększonej niezależności i świadomości własnego rozwoju. „Ta świadomość własnego rozwoju, konfrontacja z sobą samym to jest właśnie »trzecia wartość«”.

Dlatego tak istotne jest uczenie dzieci na obczyźnie języka rodzinnego jako ważnego elementu kultury miejsca pochodzenia rodziców czy dziadków. Kulturowanie języka, religii, historii, tradycji, obyczajów i równoczesne wzrastanie w języku i kulturze kraju pobytu można też nazwać „synergizmem” albo, jak stwierdził prof. Jerzy Zubrzycki, „asymilacją bez wynarodowienia”. Proces ten jest oczywiście bardzo trudny, bo wymaga szczególnego poświęcenia ze strony dzieci i rodziców. Ale warto, gdyż z czasem wytworzy się w człowieku owa „trzecia wartość”, niezwykle atrakcyjna dla innych ludzi.

Praca naukowa prof. Mostwin polegała na licznych ankietach kierowanych do środowisk Polonii amerykańskiej, ale nie tylko. Jej syn Jacek urodzony po wojnie w Londynie znalazł się wraz z rodzicami i dziadkami w Ameryce. Matka, studentka medycyny na Uniwersytecie Podziemnym w Warszawie, ojciec cichociemny zrzucony do walczącej Polski, przedwojenny „dwójkarz”, rozpoczęli nowe życie na emigracji. W Baltimore, w którym zbudowali

polski tradycyjny dom, rozmawiali po polsku. Do dziś Jacek mówi pięknym językiem polskim, bez żadnego obcego akcentu. Mostwinowie zdobyli solidne, amerykańskie wykształcenie. Danuta wykładała na kilku uniwersytetach socjologię, Jacek został cenionym lekarzem urologiem i profesorem w słynnym John Hopkins Hospital. Dziś pomaga także młodym lekarzom z Polski przyjeżdżającym na lekarskie praktyki. Nie mogą się nadziwić jego znajomości polskiej historii, literatury, sztuki. Są pełni podziwu dla jego medycznej wiedzy oraz zachowania polskiej tożsamości i kultury. Jacek Mostwin jest równocześnie Polakiem i Amerykaninem. Osiągnął to, o co zabiegali jego rodzice. Zdobył tzw. trzecią wartość. Wzbił się na wyżyny intelektu i świadomości własnego rozwoju. Posiada wysoki status społeczny, ceniony jest jako lekarz i naukowiec, ale ma jeszcze coś, co stanowi o jego dodatkowej sile. Nieśie w sobie równocześnie polską i amerykańską kulturę i język. To przyciąga do niego nie tylko innych byłych emigrantów czy pokolenia Amerykanów polskiego pochodzenia, lecz także urodzonych w Polsce Polaków poszukujących dla siebie miejsca w USA. Jest dla nich amerykańskim przewodnikiem, doradcą i autorytetem.

Dlatego warto zadać sobie trud takiego wychowania dzieci na obczyźnie, aby mogły one później służyć swoją wiedzą i doświadczeniem zarówno w kraju pobytu, jak i w kraju pochodzenia rodziców. Staną się wówczas szczególnie wartościowi. Warunkiem wstępnym jest pilna nauka języka polskiego, szczególnie w pierwszej fazie, kiedy silna jest jeszcze więź rodziców ze swoim dzieckiem.

www.wojciechreszczyński.pl

Latynopolska

Nie jesteśmy „normalnym krajem”, nie budujemy tu żadnych „rządów prawa”. Gdyby tak było, inicjatorzy FOZZ, Narodowych Funduszy Inwestycyjnych, zlecniodawcy zabójstw Marka Papaya, Jacka Dębskiego, Andrzeja Leppera czy Sławomira Petelickiego, winowajcy SKOK Wołomin dawno byliby wykryci i siedzieli w mamrze. Siedzą? No więc o czym tu gadać?

Sędziowie dalej są na telefon i dalej są umazani nie swoimi barwami, publiczne fundusze nadal stanowią łup, a nie budulec do tworzenia państwa i jego sprawności. Gadanie o sprawiedliwości to czysta retoryka. Owszem, na mizernym poziomie i przy żadnych układach jakaś tam „sprawiedliwość” się trafi, ale jak już mamy do czynienia z politykiem (nawet i samorządowym), to sieć jest tak dziurawa, że może mucha ugrzęźnie, ale byle bąk i truteń na pewno się przebiją.

Nikt za nic nie odpowiedział, nikogo nie zamknięto do więzienia dla przykładu, żeby pokazać, że jednak polska Temida nie jest breszcząca na rozumie i poczuciu sensu. Media są przekupione lub niemieckie. Komunistyczne dzieci pyszną się tak, jak ich rodzice w PRL. Czy może się mylę? Czy może przesadzam? Całe to gadanie o przywracaniu sprawiedli-

wości nie jest funta kłaków warte, dopóki nie ma epilogu dla rządowego „bilansu otwarcia”. Prezydent Duda nie publikuje aneksu do raportu z likwidacji WSI i nawet nie chce mu się tego wyjaśnić. Nie, bo nie! Ze Smoleńskiem od ośmiu lat Ruscy odgrywiają szopkę i żadnemu politrukowi nie przyszło do głowy, aby umiędzy-narodowić sprawę, oddać ją pod międzynarodowy arbitraż!

Tyle mamy wspólnego z „normalnymi państwami”, co Michał Wiśniewski z Plácido Domingo. Nie przykładajmy do siebie światowych miar.

Zobaczmy się we właściwym kontekście – kontekście państw latynoamerykańskich: Kolumbii, Wenezueli, w najlepszym wypadku Meksyku. Tam też politycy i ich gadanie to tylko elementy przedstawienia. Tam rządzą narkobossowie. U nas

też halastry akurat nie ma, ale rządzą ludzie uzależnieni od kradzieży publicznych pieniędzy. Żyją na koszt podatników, kłamią, kradną i plotą. Rządzą gangi i jeśli do któregoś z nich należysz, to ci ani sądy, ani administracja nic nie zrobią. Mogą ci po prostu nagwizdać.

Mówiąc serialowo: nie szukajcie tu elementów „House of Cards” ani „Homeland”. Aby zrozumieć nasze położenie, warto obejrzeć „Narcos” i „El Chapo”. Ot i wsio. 



**Witold
Gadowski**

Kto policzy głosy?

Wyborach samorządowych 2014 r. w głosowaniu do sejmików wojewódzkich liczbą głosów nieważnych wahała się od 5 do 51 proc. W głosowaniu do rad powiatów rozpiętość głosów nieważnych wyniosła od 7 do 36 proc. W sumie 14 mln głosujących oddało ponad 5 mln nieważnych głosów, a PSL osiągnął wynik prawie 24 proc., przebijając dwukrotnie prognozy. Tymczasem w Europie przy 0,5 proc. nieważnych głosów zapala się już czerwona lampka ostrzegawcza, a przy 1 proc. bije się na alarm! Jednak to, co działo się wtedy w Polsce, zupełnie nie przeszkadzało obrońcom demokracji z UE.

Kiedy przed ostatnimi wyborami prezydenckimi i parlamentarnymi zapytałem prominentnego polityka PiS, czy partia będzie w stanie upilnować rzetelnego liczenia głosów – z rozbrajającą szczerością odpowiedział mi, że nie ma takiej możliwości. Tym większy szacunek należy się społecznemu Ruchowi Kontroli Wyborów, który zmobilizował w kraju tysiące mężów zaufania i umożliwił dobrą zmianę.

21 października pójdziemy ponownie do wyborów samorządowych. Ich wynik będzie rzutował na kolejne głosowania: do europarlamentu, Pałacu Prezydenckiego, Sejmu i Senatu. Teoretycznie partia rządząca dysponuje dziś wszelkimi narzędziami, aby zabezpieczyć prawidłowe liczenie głosów. To ważne zwłaszcza w wyborach samorządowych, które ze względu na duże rozproszenie, braki kadrowe i lokalne siły są szczególnie narażone na nieprawidłowości. Zagrożenia wynikają także z unijnych przepisów RODO, eliminujących skuteczny nadzór w postaci kamer czy przezroczystych urn. A co z listami poparcia (ochrona danych osobowych)? Zaskodzić też może zwykłe lenistwo części zadufanych w sobie urzędników. I wycofanie się z komisji pełnych entuzjazmu społeczników, według których partia

rządząca sama powinna sobie poradzić. Gdyby to ode mnie zależało, ponownie zmobilizowałbym oddolny RKW. Gra idzie o zbyt wysoką stawkę – o nasz kraj i o przyszłość naszych dzieci. 



**Lech
Makowiecki**

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Jedynie słuszny motłoch

Gdzieś w Polsce, bodaj w Pcimiu, grupa ludzi wyglądających na emerytów, o niemal identycznych twarzach, którym nie grozi więcej niż 70 punktów IQ, ledwie kilkadziesiąt osób, z których kilkoro miało czapeczki z gazety („Wyborczej”?) na głowie, wrzaskiem, bębenkami, tupaniem i czym jeszcze demolowała uroczystość rozpoczęcia roku szkolnego. Po drugiej stronie stały ubrane w garsonki nauczycielki, elegancka Beata Szydło, ale nade wszystko dzieci i młodzież. Były uroczysty przemarsz z orkiestrą młodzieżową, sztandar szkoły, powitania, kwiaty, popisy uczniów (zapewne długo przygotowywane kosztem wakacji), białe bluzki i ciemne spódniczki, garniturki chłopców, a nawet muszki. Uroczyste rozpoczęcie roku szkolnego nie jest niczym nowym. Odbywały się takie uroczystości w II RP, odbywały się za komuny, tej stalinowskiej też, w III RP również. Ale teraz, w tym roku, miały wyjątkowy charakter. Nie tylko dlatego, że to rok jubileuszu naszej niepodległości, lecz także że po raz pierwszy towarzyszył im jazgotliwy motłoch. Po prostu – motłoch, tłuszcza. Gdyby Wikipedia chciała zilustrować hasło „motłoch”, to mogłaby śmiało umieścić zdjęcie tych aborygenów w Pcimiu. To kwintesencja motłochowatości. Fotorelacje pokazały te peerelowskie twarze podobne do gęb dawnych esbeków, cywilnych pracowników wojska, sekretarek w komendach milicji, dawnych aparatczyków. Uderzyli w młodzież. Nie sądzę, aby był to krok przemyślany, bo od myślenia to ich Rów Mariański oddziela. Bo dla nich ważne jest, aby przeszkodzić tak, by telewizja pokazała. Bo to rozrywka znudzonych starszaków, zapóźnionych bojowników o wolność i pospolitych szumowin. Ale przekroczyli granicę. Uderzyli de facto w szkołę, w uroczystość, która od blisko osiemdziesięciu lat łączona jest z tragiczną datą 1 września 1939 r. Ale motłoch jest bezrefleksyjny, bo motłoch nie ma mózgu, bo zamiast niego ma czapeczki z gazety. Motłoch nie ma żadnej świadomości, bo ma zamiast niej gotowe (gdzie jest ta hurtownia?) plakaty, hasła i okrzyki. Wszędzie te same. Jak te twarze.

Znosimy to na własne życzenie. Cierpliwie i koncyliacyjnie się na to godzimy, tak jak bezbronni uczniowie w Pcimiu, nauczyciele i pani premier. Czyż nie była to uroczystość oficjalna z udziałem władz samorządowych i przedstawicielki rządu? Na co czekał burmistrz czy kto tam jeszcze? Należało po prostu strumieniem zimnej wody z wozu strażackiego OSP



**Aleksander
Nalaskowski**

*Mam wrażenie, że gdy motłoch
wdarł się do szkoły, to może
jej tak szybko nie opuścić.
Potem zostaną już tylko kościoły*

ostudzić wrzeszczący motłoch. Najwyraźniej tej prostackiej tłuszczy lato zaszkodziło. Ucierpiał dzieciaki, które uczymy szacunku dla tradycji, dla ważnych uroczystości, dla szkoły. Mam wrażenie, że gdy motłoch już się wdarł do szkoły, to może jej tak szybko nie opuścić. Potem zostaną już tylko kościoły. Ale jak się Smarzewskim dobrze motłoch podpompuje, to i tam dotrze.

Ci, którzy trzymają joystick tych „oddolnych manifestacji”, liczą na jedno – na sprowokowanie agresji. Liczą, że w końcu wyprowadzeni z równowagi normalni nie wytrzymają i tak jak w Warszawie ktoś oberwie po pysku. I wtedy hucpa się rozhuśta na dobre. Zachodnie media będą piły całymi haustami ten „rozlew krwi”

i Polska dzięki ich przekazom stanie się europejską Rwandą. Pisowscy Hutu będą eksterminować opozycyjnych Tutsi. Mechanizm tego jest prosty. Opisał mi go kolega, profesor fizyki pracujący od ćwierćwiecza w USA.

Przeciętny Amerykanin nie interesuje się całym światem. Czyta głównie lokalną prasę, z której dowiaduje się najważniejszych informacji o charak-

terze „co, gdzie, kiedy”. Wiedzę o Europie czerpie z gazet centralnych. Myśli, że są one tak samo wiarygodne, jak miejskie popołudniówki, które swoim zainteresowaniem nie wychodzą poza swój stan. Dotyczy to także pracowników akademickich i dużej części middle class. Większość moich studentów nie rozumie różnicy między prawicą i lewicą polityczną, a elitę stanowią ci, którzy znają, rozróżniają program demokratów i republikańców amerykańskich. O Polsce nie wiedzą najczęściej nic. Ci, którzy znają Polańskiego, nie wiedzą, że jest z Polski, niewielu ma pojęcie, czym jest Nagroda Nobla. Uwierzą jednak niemal we wszystko, co napisze gazeta, bo jest to im właściwie zupełnie obojętne.

I wszystko jasne. Tak właśnie mógł karierę zrobić m.in. Gross ze swoimi rewelacjami o „polskim holokauście”. Facet, który pozazdrościł sławy Kosińskiemu. Obu już za życia strawił ogień piekielnej nienawiści. Gross ma to nawet na twarzy.

Zajścia w Pcimiu to zmaganie pomiędzy demokracją i ochłokracją, pomiędzy cywilizowaną krytyką posunięć władzy a upustem emocji goryli w stadzie. Ale znajdzie się dość korespondentów prasowych, usługowych informatorów i pospolitych cyników, aby w polskich i zagranicznych mediach przedstawić to inaczej, zupełnie inaczej. Tak, aby z szumowin zrobić elitę i jedynych sprawiedliwych. ▲

PRZESZŁOŚĆ

Rynkokracja

Jestem w jednym z kurortów na południu Polski. No dobrze, jestem w Krynicy na tzw. forum. Forum jak forum, daleko mu do Forum Romanum, ale mało zarżnięta przez październik PRL i zachłanność III RP Krynica jednak piękna, wionąca duchem Nikifora, więc przechadzam się deptakiem. To całkowity przypadek, rzecz jasna, ale od dziecka tak mam jakoś, że zwracam uwagę na pleć piękną, a nie piękną inaczej. Mija mnie pierwsze młode dziewczę, na piersi czerwony „Levis”. Kolejna – „Levis”. Dalej idzie starsza nastolatka (w moim wieku), z córką mniej więcej 20-letnią i obie mają na czerwono „Levis” na koszulkach napisane. Szczerze mówiąc, tak było przez cały ostatni rok. W Polsce, Bułgarii, Szwajcarii, Niemczech wszystkie kobiety – te, na które akurat przypadkowo się obejrzałem – ta sama koszulka. W sumie jeśli chodzi o odzienie płci przeciwnej, można nie było się ruszać z domu.

Nie to, żeby jakoś emocjonalnie mnie to ruszało. Pan Levi Strauss ponoć wynalazł dżinsy, a zdaniem innych wynalaziono je długo przed jego narodzinami. Ponoć to on jest fundatorem firmy, a zdaniem innych jego truchło nie ma z nią nic wspólnego. Ale jak to jest, że po boomie wczesnych lat 90., kiedy polskie nastolatki głośno się, parały się kradzieżą albo zapożyczały na odzież z logo Levis, nagle zwykła, opatrzona marką wróciła? Nagle wszyscy, przepraszam, baby, a i część chłopów rzucili się na koszulki ze zwykłym logo?

Na pewno w internecie jest gdzieś wyjaśnienie. Jakaś skomplikowana, pełna też i hipotez eksplanacja. Niestety tu, gdzie śpię, bo zawsze w trakcie forum w Krynicy staram się oddalić od forum do lasu, internet działa kiepsko, więc macie nade



**Wiktor
Świątlik**

Jak to jest, że nagle połowa Polek, Niemek, Rumunek ponad podziałami stwierdziła, że założy koszulki reklamujące tę samą firmę?

mną przewagę. Zapewne tam, w sieci, ważni socjologowie albo choć modystki tłumaczą, jak to jest, że nagle połowa Polek, Niemek, Rumunek ponad podziałami stwierdziła, że założy koszulki reklamujące tę samą firmę. Tak jak kiedyś wszystkie kobiety zakładały koszulki w paski. Nie poznam tych teorii. Zresztą dla mnie to po prostu kolejna epidemia. Taka jak szaleńcze tańce, które w średniowieczu opanowywały kolejne miasta.

Podobnie jest z przedwyborczymi sondażami. Zdaje się, że któraś z sondażowni dowiodła już, iż Patryk Jaki wygra w pierwszej turze. Inne nas przekonują, że wygra mocno Rafał Trzaskowski, tak samo jak pani Hania od reprivatyzacji miała wygrać mocno z całkiem kompetentnym, ale mało rozpoznawalnym, Jackiem Sasinem, a wygrała o włos. Według niektórych z ostatnich sondaży premierem do dziś jest madame Kopacz, a Roman Giertych jest europosłem.

Jak widać, zamawiający sondaże uważają, że ludzie są jak te kobiety w koszulkach. Ale jeśli chodzi o ostatnie wybory, przynajmniej część społeczeństwa pokazała, że potrafi się zachowywać mniej stadnie niż przy zakupie koszulek. Choć z drugiej strony, jeżeli w bliskiej mi sercem Łodzi znowu

wygra towarzystwo madame Zdanowskiej, a w Warszawie towarzystwo HGW, pozostaje pytanie, czy na pewno my, tzw. wyborcy, nie powinniśmy się zajmować wyłącznie doborem koszulek i nadruków na nich, a wyborów niech dokonuje za nas małpa. Szczególnie że można jej założyć charakterystyczną koszulkę.

Autor jest dyrektorem Programu 3 Polskiego Radia

AUTOPROMOCJA

PARTNERZY:



niepodległa

POLSKA
STULECIE ODZYSKANIA
NIEPODLEGŁOŚCI

PROJEKT REALIZOWANY
W RAMACH OBCHODÓW
STULECIA ODZYSKANIA
NIEPODLEGŁOŚCI



JAN POSPIESZAŃSKI

List abp. Viganò jest wstrząsem nie dlatego, że opisuje obrzydliwość, jakiej dopuszczał się abp Waszyngtonu McCarrick. Poraża, bo informuje o hierarchach Kurii Rzymskiej, którzy tuszowali skandale i wspierali homoseksualistów w sutannach. Wśród nich są najbliżsi współpracownicy papieża: kard. Tarcisio Bertone, kard. Angelo Sodano i kard. Pietro Parolin. Od czerwca 2013 r. o skandalach miał wiedzieć również sam papież Franciszek. Ponadto abp Viganò oskarża kard. Francesca Coccopalmeria i abp. Vincenza Paglia, że należą oni do nurtu homoseksualnego, dążącego do obalenia katolickiej nauki, czyli szerzą homoherezję. Zarzuty mają taką moc rażenia, że nie da się ich zbyć milczeniem czy po prostu przeczeć. Choć autora listu, abp. Viganò, oskarża się, że napisał świadectwo nie po to, aby oczyścić Kościół, ale po to, by uderzyć w papieża Franciszka, to jednak wiarygodność (przynajmniej części zarzutów) jest trudna do podważenia. Wiele z tych informacji ma potwierdzenie w innych źródłach.

HOMOLOBBY TAKŻE U NAS

Nie unieważniając wątpliwości, cała sprawa zmusza nas, byśmy postawili pytanie: czy nasz Kościół wolny jest od podobnych przypadłości? Czy w polskim Kościele istnieje lobby homoseksualne, którego przedstawiciele dopuszczali (dopuszczają) się i tuszują przypadki wynaturzeń?

Ujawnione przez program „Warto rozmawiać” w 2007 r. nadużycia w diecezji płockiej były wstrząsające nie tylko dlatego, że donosiły o obrzydliwościach, jakich wobec kleryków i podwładnych

Skandal i nadzieja

Jeżeli nie chcemy podzielić losu Irlandii, powinniśmy potraktować list abp. Viganò jako alarmowy sygnał, ale też mobilizację do naprawy

dopuszczali się niektórzy duchowni. Problem był poważny, bo akty te latami były tajemnicą poliszynela, a próby interwencji u władz duchownych, również w Nuncjaturze Apostolskiej, nie przyniosły rezultatu. Pozwala to sformułować wniosek, że nuncjusz abp Kowalczyk nie chciał podjąć walki z tymi wynaturzeniami, a skoro tak, to znaczy, że wspierał lub przynajmniej tuszował zachowania zdeprawowanych księży.

PRÓBA OCZYSZCZENIA

Tym należy tłumaczyć decyzję odważnych i uczciwych kapłanów z Płocka, którzy zdecydowali się poinformować media. To potwierdza tylko, jak silne i wpływowe było/jest (?) lobby homoseksualne wśród duchownych. Pozostaje mieć nadzieję, że proces oczyszczania struktur w diecezji płockiej jest realny, a sitwa deprawatorów została odsunięta od jakichkolwiek wpływów. Nieco inaczej potoczyły się sprawy w Sosnowcu. Choć tam po ujawnieniu nadużyć homoseksualnych rozwiązano seminarium, to w kurii rewolucji kadrowej raczej nie było. Ale czy problem dotyczy tylko Płocka i Sosnowca?

ZANIM WYBIJE SZAMBO

Wypowiedź ks. Henryka Zielińskiego w TVP Info w programie „Salon Dziennikarski” (1 września 2018 r.), że w polskich seminariach ignorowany jest zakaz przyjmowania osób o skłonnościach homoseksualnych, nie wróży niczego dobrego. To sprawa arcyważna i rację ma papież, gdy mówi o problemie, jakim jest klerykalizm. Tak, geje w seminariach, parafiach i kurii nie są sprawą tylko duchownych. To też nasz problem. My, świeccy katolicy, nie chcemy się wstydzić

za prezbitera, który tanecznym krokiem z obleśną manierą mówienia sprawuje Najświętszą Ofiarę. Nie chcemy świecić oczami w szkołach, gdy rodzice skarżą się na dziwnego wikarego katechetę o miękkich ruchach. Czekają nas w Polsce poważne dyskusje, choćby za sprawą filmu „Kler”, którego premierę zapowiedziano jeszcze w tym miesiącu. Karykaturalne obrazy duchownych w kulturze masowej nie biorą się tylko z nienawiści do religii i nie są tylko dziełem wrogów Kościoła. Mają często swoje źródła w codziennych obserwacjach.

NIE LĘKAJCIE SIĘ

Jeżeli nie chcemy podzielić losu Irlandii, gdzie turbosekularyzacja była następstwem homoseksualizmu, powinniśmy potraktować list Viganò jako bolesną diagnozę, alarmowy sygnał, ale też mobilizację do naprawy. Nie możemy się zgodzić, by błędy i grzechy nielicznych rzutowały na wszystkich kapłanów. A przecież właśnie w Polsce pojawiły się najbardziej kompetentne opracowania dotyczące zagadnienia homoseksualizmu wśród duchowieństwa. Ogromny dorobek ma m.in. ks. Józef Augustyn SJ. Polscy naukowcy, ks. prof. Andrzej Kobyliński i ks. prof. Dariusz Oko, są autorami fundamentalnych publikacji o zasięgu międzynarodowym. Prace „Z papieżem przeciw homoherezji” ks. Oko i „Homoseksualizm – węzeł gordyjski Kościoła” ks. Kobylińskiego są cytowane przez najwybitniejsze autorytety na świecie. Mamy wiarę, są naukowe podstawy, mamy się do czego odwołać i są zdrowe siły, by zmierzyć się z problemem. Potrzeba jeszcze odwagi i woli. Czy i na ile w tym procesie będziemy mogli liczyć na wsparcie Watykanu, to temat na kolejny felieton.

Sumienie Sejmu

Droga pani poseł, miła pani Kingo, od dawna chciałem przejechać do Warszawy, aby swoje przeżycia i przemyślenia przekazać pani osobiście na jej ręce razem z kwiatami. Wiązanką najpiękniejszych róż – pisze do posłanki PO Kingi Gajewskiej Kamil O.

Może najpierw się przedstawię. Mam już swój wiek – w tym roku trzasnęła mi trzydziestka. Chciałbym się wyrobić politycznie, bo w przyszłości, jak pani, może zostanę posłem. Żeby móc się poświęcić działalności. Dlatego prowadzę samotne życie, dokształcając się wieczorami zaocznie. Uczę się na technika melioracji. Żyję w małej miejscowości obok Koszalina, w którym, jak pani wie, mieszka nasz partyjny kolega Stanisław Gawłowski. Często bywam w Koszalinie służbowo, dokąd dojeżdżam kursującym tylko dwa razy dziennie autobusem PKS marki San, który regularnie się psuje na trasie i siłą rzeczy bardzo spóźnia. Zdarza się, że kiedy przyjeżdżam, wszystkie urzędy są pozamykane. Marwię się też, że ostatnio w ogóle nie widuję Stanisława Gaw-



**Jerzy
Jachowicz**

łowskiego, choć jak jestem w Koszalinie, zaglądam do jego ulubionej restauracji przy hotelu Bałtyk, bo mam do niego pytanie związane właśnie z melioracją. Planuję też kupienie zegarka na podarunek, ale nie chcę tego robić w ciemno. Czy mogłaby pani doradzić mi markę i model? Wszak, jak zaznaczyłem na samym początku, jest pani w ogóle moim idolem, w tym politycznym. Wzorem mądrości i odwagi. Nie każdy wszak odważyłby się powiedzieć, że Grzegorz Schetyna to najlepszy lider partii, jaki mógł się trafić.

Jako jedyna zareagowała pani jak należy na sugestię ks. Rydzka, aby państwo wpompowały pieniądze w toruńską uczelnię, założoną przez tę zakalę duchowieństwa. Jego apel wywołał u pani zdrowy odruch oburzenia, wyrażony określeniem „parszywy”. Kogo dziś stać na taką bezkompromisowość? Z drugiej strony, broniąc Stanisława Gawłowskiego czy emerytur oficerów MSW z czasów PRL, jest pani dla mnie sumieniem Sejmu.

Z partyjnym pozdrowieniem,
Kamil O. /

CO MNIE CIESZY I SMUCI

Bo do tanga...

Tak, do tanga trzeba dwojga. Do rozmowy trzeba partnera. Do dyskusji trzeba drugiej strony, która chce konstruktywnie dyskutować.

Kościół ustami biskupów apeluje o pokój w Polsce. O zgodę narodową. Pan prezydent zaprasza wszystkich do wspólnego świętowania odzyskania niepodległości. Pan premier również o to zabiega i wyciąga rękę do opozycji. A opozycja? Kiedyś ogłosiła się totalną, a potem powiedziała, że będzie miała propozycje totalne. I te propozycje skuliły się tylko do jednego – zniszczyć PiS. To jest cel tej konstruktywnej opozycji. Od razu twierdzą, że jest to nieszczerze wyciąganie ręki i zapraszanie. Straszą wyrzuceniem z Unii, więzieniami, bezrobociem.

Zadano mi pytanie, czy jestem za rozmową. Tak, jestem jak najbardziej za rozmową. Jak człowiek jest młody, to jest zapalczywy, pamiętliwy, a jak stary, to chciałby rozmawiać – mądrzał. Polityka nasza też mądrzeje. Ale do rozmowy trzeba dwojga. U nas jeśli chcemy zapytać przeciwników dobrej zmiany, wszystko jedno z jakiej dziedziny: „Dobrze, ale co się wam nie podoba?”. Odpowiadają: „Wszystko”. Wszystko to znaczy nic. Jak zapytać, kto zawinił personalnie i przeciwko komu występują? Przeciwno wszystkim. Wszyscy, czyli znów nikt. Nie ma możliwości nawiązania dialogu. Powtarzają stare wytarte slogany sprzed lat albo po prostu obrażają, plują, kopią.



**Katarzyna
Łaniewska**

Oni sobie wymyślili alternatywną rzeczywistość. Swoją sąd – by się nic nie zmieniło, swoje Sejm i Senat – by uchwałyły tylko takie prawo, jakie im pasuje, lub nie uchwałyły nic. Ich szkolnictwo z przymusem sześciolatków i programem seksualnego wychowania.

Ich była też bieda, która narastała w Polsce. To jest smutne, bo nawet niezrozumiałe.

Przypominają mi się dawne dyskusje, jak prezydentem był pan profesor Lech Kaczyński. Strona, która go nie akceptowała, powtarzała głupie dowcipy i obrażała go. Zabierano samolot i krzesło. Rozmawiałam z kimś z mojego środowiska: „Powiedz, co ci się w tym prezydencie nie podoba? Jest wykształconym Polakiem, katolikiem, ma wiedzę z różnych dziedzin i umie ją przekazać, wiele zrobił dla Warszawy. Dlaczego go wyśmiewasz?”. „Bo to Kaczor...” – słyszałam. I mniej więcej takie argumenty ma totalna opozycja. Jak nasi przywódcy mówią z nimi jak Polak do Polaka. Nie wierzymy – od razu jest negacja. Nie rozumiem, dlaczego tak jest i niestety z przykrością stwierdzam, że nie wierzę, by to się zmieniło do 11 listopada. To mnie bardzo smuci.

A cieszy mnie to, że dobra zmiana idzie dalej i zmienia Polskę. Ma siłę, pomysły i niech przyszłe wybory, których nas czeka kilka, zaowocują zwycięstwem na wszystkich frontach. /

Rysuje Jerzy Wasiukiewicz

TRENDY I OWĘDY

Pisarka z laleczką

*Maria Nurowska z uporem
wymienia autentyczny
dorobek literacki na śmieciowe
przemyslenia*

Zagadką naszych czasów są osoby wykształcone, utalentowane, które zainfekowały się permanentną antypisowatością. Pewnie mają państwo w swoim otoczeniu takie przypadki. Ludzie niby na poziomie, z intelektualnymi inklinacjami, gdy usłyszą „Kaczyński” albo „PiS”, wpadają w swoisty amok. Wygląda to jak na filmach szpiegowskich, w których hasłem budzeni są uprzednio zahipnotyzowani agenci.

Gdy przegląda się wpisy na Facebooku uznanej pisarki Marii Nurowskiej, aż trudno uwierzyć, że to autentyczny profil, a nie fejkowe konto. Hasło typu: „W pałacu mieszka Pan Pajac i Pani Pajacowa!” – no niby każdy może. Ale wezwanie: „Panowie Generalowie i Wyżsi dowódcy wojskowi...” zróbcie pucz, odsuńcie obecne władze – z jednej strony groteskowe, z drugiej strony poważne. Natomiast wpis: „Stało się, zrobiłam laleczkę prokuratora Piotrowicza i wbijam w nią szpilki. Jego dni są policzone...” – wzbudził opór nawet jej naturalnego lewacko-kodziarskiego środowiska. Oczywiście jest obrończynią konstytucji. Notabene na pierwszy rzut oka kadry wrzeszczące „Konstytucja!” musiały żyć też pod konstytucją PRL gwarantującą kierowniczą rolę PZPR i przyjaźń z ZSRS. Nie wadziło im to i nie protestowały obwoźnie.

Musimy się różnić poglądami, żeby nie było nudno. Jednak gdy osoby ze świecznika artystycznego wpadają w irracjonalne zacierzwienie i one na tym tracą (rozum), i niestety my też (ich twórczość).



**Ryszard
Makowski**



Zawistowski prezentuje: *Pytanie prejudycjalne*



Wycinki z przeszłości

Marzenie o skonstruowaniu robota, który będzie dokładnie taki jak człowiek, przenika kolejne już pokolenie miłośników techniki, informatyki, robotyki. W jednym z pism polskich z początku wieku (ok. 1912 r.) znajdujemy reprodukcję obok zdjęcie i taki tekst:



„Człowiek mechaniczny
Pewien mechanik berliński skonstruował mechanizm, który według jego zapewnienia, do złudzenia naśladuje »człowieka prawdziwego«. Za nakręceniem sprężyn »człowiek sztuczny« wykonywa wszelkie odpowiednie ruchy, a nawet wydaje rozmaite dźwięki ludzkie. Zastosowania praktycznego mechanizmu nie posiada

i musi być uważany za osobliwy okaz ludzkiej pomysłowości”.

Owa pomysłowość ludzka nieraz brała się i potem za stworzenie „człowieka sztucznego”. I jak na razie, nie udało się. Chyba na szczęście.

(mk)

Wrześniowe elegie

W 130. rocznicę urodzin Słowackiego, na wrzesień 1939 r., zaplanowano w Krzemieńcu cykl spotkań, coś w rodzaju ówczesnego Kongresu Kultury. Albo już tam pociągnęli, albo mieli taki plan – „wszyscy”. Rozjeżdżali się w najdalsze kąty świata. Ilu już na niepowrót? Polecam państwu wielce, w całości, ten piękny wiersz i poniekąd dokument.



Leszek Długosz

Stanisław Baliński (1898–1984) POŻEGNANIE Z KRZEMIŃCEM 1939 (fragment)

*Ach, jaki zjazd w Krzemieńcu, jaki splendor sławy
Spłynął na miasto nasze, poezją spowite.
Przyjechali najpierwsi panowie z Warszawy,
Przybył Rząd Najjaśniejszej Rzeczypospolitej.
Wojna się rozpoczęła na zachodnich drogach
Wiejąc grozą, lecz tutaj jej głosów nie słysząc.
Siedzimy w cichym dworku, modląc się do Boga.*

*Ach, jaki wrzesień piękny i noc jaka cicha!
– Tak mówiła w Krzemieńcu starsza jakaś pani
Do grona domowników i przyjezdnych paru,
Co wnikliwe spojrzenie smutnie kładli na niej,
Jakby nie wierząc jeszcze ciszy pełnej czaru.*

*Bo oni już wiedzieli i we krwi już czuli
Zagładę – i bezsilne zaciskali pięście,
Chłonąc w sennym zakątku woń róż i paczuli,
Co płynęła przez okno, jak ostatnie szczęście.
Bo ich wojna już tknęła ognistym piorunem
I szła za nimi groźnie, fatalnie, obłudnie;
Byli ognia i zniszczenia niedobrym zwiastunem,
– Urzędnicy państwowi – w drodze na południe.
Jutro dwie wściekłe armie ten ogród strącą
I rozniosą tych ludzi z furją dramatyczną.
Oni to już odgadli i w sercu już czują,
Żegnając podświadomie przeszłość romantyczną. [...]*

*W taką to noc gwiazdzistą, w taką noc wrześniową,
Żegnałem Cię, Ojczyzno, przed wielką podróżą [...]*

CENNIK

PRENUMERAT*

OKRES PRENUMERATY

	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	69 zł	129 zł	229 zł
wSIECI HISTORII	21 zł	39 zł	75 zł
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	84 zł	158 zł	280 zł

*dane do przeliczeń w stopce redakcyjnej

Niechęć do rządów Prawa i Sprawiedliwości potrafi być tak potężna, że nawet starzy wyjadacze odsłaniają swoje ludzkie, arcyłudzkie, choć często głęboko ukrywane instynkty.

Dariusza Rosatiego za takiego wyjadacza śmiało można uznać. Obecny poseł do Parlamentu Europejskiego Platformy Obywatelskiej i profesor nauk ekonomicznych w III RP był ministrem spraw zagranicznych, członkiem Rady Polityki Pieniężnej, posłem na Sejm. W Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej był sekretarzem komitetu uczelnianego PZPR i obficie stażował się międzynarodowo. A w okresie początków naszej ustrojowej transformacji był członkiem rady nadzorczej osławionego Funduszu Obsługi Zadłużenia Zagranicznego.

A jaka powściągliwość! Całe dekady sam z siebie nawet nie pisał, że w 1978 r. był zarejestrowany przez wywiad PRL jako kontakt operacyjny „Buyer”.

WIATR DZIEJÓW

W polityce tak już jest, że często trzeba w ryzach trzymać swe naturalne (nie zawsze zbożne) ludzkie instynkty. Że trzeba mieć stale włączony radar rozpoznający, skąd wiatr wieje, a zwłaszcza, na czym polega aktualna poprawność polityczna. Ale czasem maska poprawności politycznej jakby przestaje działać. Wtedy, na moment, odsłania się... prawda.

LOT-EM Z RYGI

„Wracam LOT-em z Rygi. Samolot CRJ 900 lekko sfatygowany, z napisem Nordica na kadłubie, przy drzwiach flagi polska i estońska, napisy na trapie po hiszpańsku, stewardessy z różnych krajów Europy, załoga estońska. Co się w tym LOT-cie dzieje? Czym i z kim my latamy?” Taki twitterowy wpis Dariusza Rosatiego pojawił się pod koniec sierpnia.

Te słowa postępowego przecież przez całe życie europosła wykpił już liczni

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Antypis obala poprawność



Nienawiść jest siłą ludzką i potrafi wyłączać spryt i czujność. Ukazała, jak powierzchowna jest polityczna religijność Dariusza Rosatiego

internauci oraz portale sympatyzujące z dobrą zmianą. Aż się prosi przecież, by słowa Rosatiego traktować humorystycznie. Ale można też sprawę psychosocjologicznie podrażnić.

Co jest tak arcyłudzkiego w zachowaniu posła? Nie tylko to, że niechęć do przeciwnika politycznego tak może opanować umysł, że maska poprawności politycznej opada. Potrzeba dopieczenia rządzącym okazała się silniejsza od świadomości, że multikulti, ponadetniczność, ponadpaństwowość (tudzież polityka gender) to kluczowe motywy lansowane w Brukseli religii.

Nienawiść jest siłą ludzką i potrafi wyłączać spryt i czujność. Ukazała, jak powierzchowna jest polityczna religijność Rosatiego.

Ale arcyłudzkie w tym wszystkim jest coś innego jeszcze.

IGRANIE Z CHAOSEM

Prądy kulturowe, które znaczna część elit Unii próbuje narzucać nie tylko reszcie Europy, są – chyba jest to coraz szerzej dostrzegane – igraniem z podstawowymi ramami, za pomocą których od wieków opisywany i ujmowany był świat ludzki. Są igraniem, które niesie z sobą widmo chaosu.

Gdzie powędruje ludzki świat, gdy na poważnie zadekretujemy, że pleć biologiczna jest bez znaczenia, że tożsamość ludzka może być w pełni elastyczna? Że podobnie jak gendery także narody są konstrukcjami kulturowymi tak bardzo giętkimi, że jeśli tylko przekonująco to sobie uświadomimy, to raz, dwa zbudujemy superpokojową Europę ponadnarodową! I że w gruncie rzeczy także kapitał nie ma narodowości, zaś granice – i te fizyczne, i te symboliczne – są zbędne.

GŁOWA AŻ PĘKA

Wrogość do PiS wyzwoliła u Rosatiego zdrowy niepokój: dokąd zmierzasz, Europo?

Takie zagubienie z powodu niemożliwości jednoznacznego zidentyfikowania przewoźnika po przestworzach to nic niezwykłego.

Wiedza potoczna, artystyczny i filozoficzny dorobek ludzkości, a także badania nad mózgiem ludzkim pokazują, że jedną z naszych naturalnych potrzeb jest potrzeba spójnego, zazwyczaj spontanicznego, interpretowania doświadczanego świata: jak LOT – to polski. A jak polski – to... swojski. Ale swojski nie może przecież być pisowski; zaraz, zaraz – przecież pisowski lud to faszysta i ksenofoba zamknięci na obcych, a cywilizowani Europejczycy są otwarci na wielokulturowość, czyli na... obcość? No to, czyż jest ten LOT?

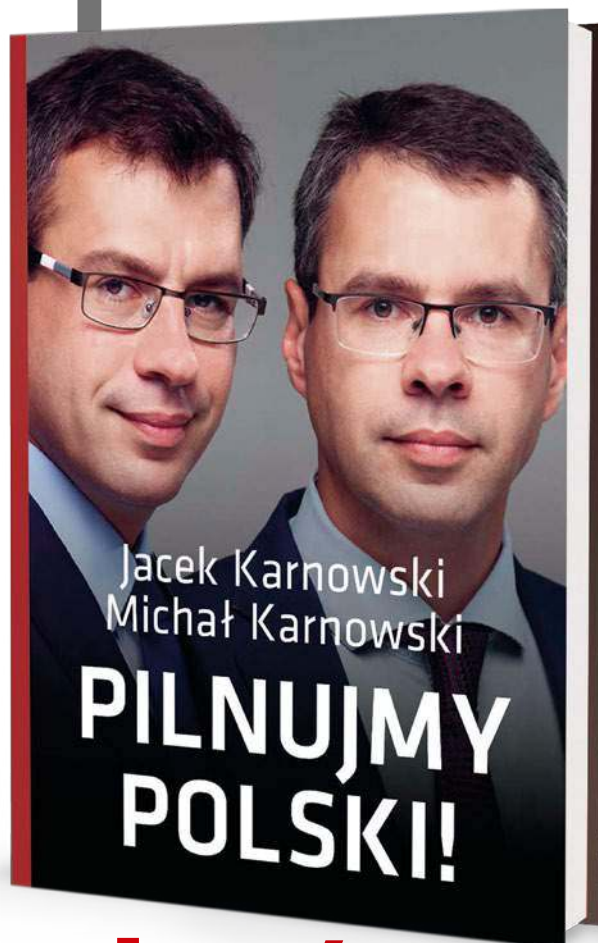
Świata nie da się przecież tak po prostu obiektywnie, bez uprzedzeń odczuwać. Co się dziwić, że europosłowi PO głowa od wieloetniczności pęka.

Katarzyna i Andrzej Zybortowiczowie

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW

100 książek w prezencie

Zamów roczną prenumeratę pakietu:
tygodnik **SIECI** i miesięcznik
wSIECI HISTORII za 280 zł, a książkę
„Pilnujmy Polski” o wartości 44,90 zł
otrzymasz **gratis!**



ZAMÓW JUŻ DZIŚ!

Sprawdź dostępność książek
na www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

tel. 22 616 15 70

prenumerata@fratria.pl

www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia,
w tytule wpłaty wpisując: Prenumerata pakiet i pełne dane adresowe do wysyłki.

Oszczędzaj z głową!

Przenieś numer do Plusa, dobierz telewizję od Cyfrowego Polsatu, a wszystko już od 40 zł miesięcznie. Do tego dokup Światłowód Netii z rabatem smartDOM.



40
od
zł/mies.
z rabatem smartDOM



TELEFON



TELEWIZJA



Dokup
Światłowód Netii
do **900**
Mb/s



[1] TELEFON: Dotyczy wybranych wariantów ofert. Szczegóły w regulaminach promocji: „PLUS.”, „PLUS. ELASTYCZNA”, „smartDOM 4 - Telewizja, Internet, Telefon” dostępne na www.plus.pl i u Doradców.

[2] TELEWIZJA: Dotyczy promocji dla nowych Klientów dostępnych z ofertą elastyczną Rodzinny HD + Cinemax HD z min. zobowiązaniem 10 zł/mies. z rabatem smartDOM przy umowach z okresem podstawowym składającym się z 24 okresów rozliczeniowych. Szczegóły w Warunkach Oferty i regulaminie, dostępne na www.cyfrowypolsat.pl i u Doradców.

[3] SMARTDOM: Opłata miesięczna 40 zł uwzględnia rabaty wynikające z programu smartDOM. Rabaty dostępne przez całą umowę w przypadku zachowania warunków promocji. Szczegóły w regulaminie programu „smartDOM 4 - Telewizja, Internet, Telefon”. Warunkiem otrzymania rabatu smartDOM na usługę Światłowodu Netii jest spełnienie wymogów wynikających z regulaminu promocji „Najlepsza rozrywka - smartDOM”. Regulaminy dostępne na: www.plus.pl, www.cyfrowypolsat.pl i u Doradców.